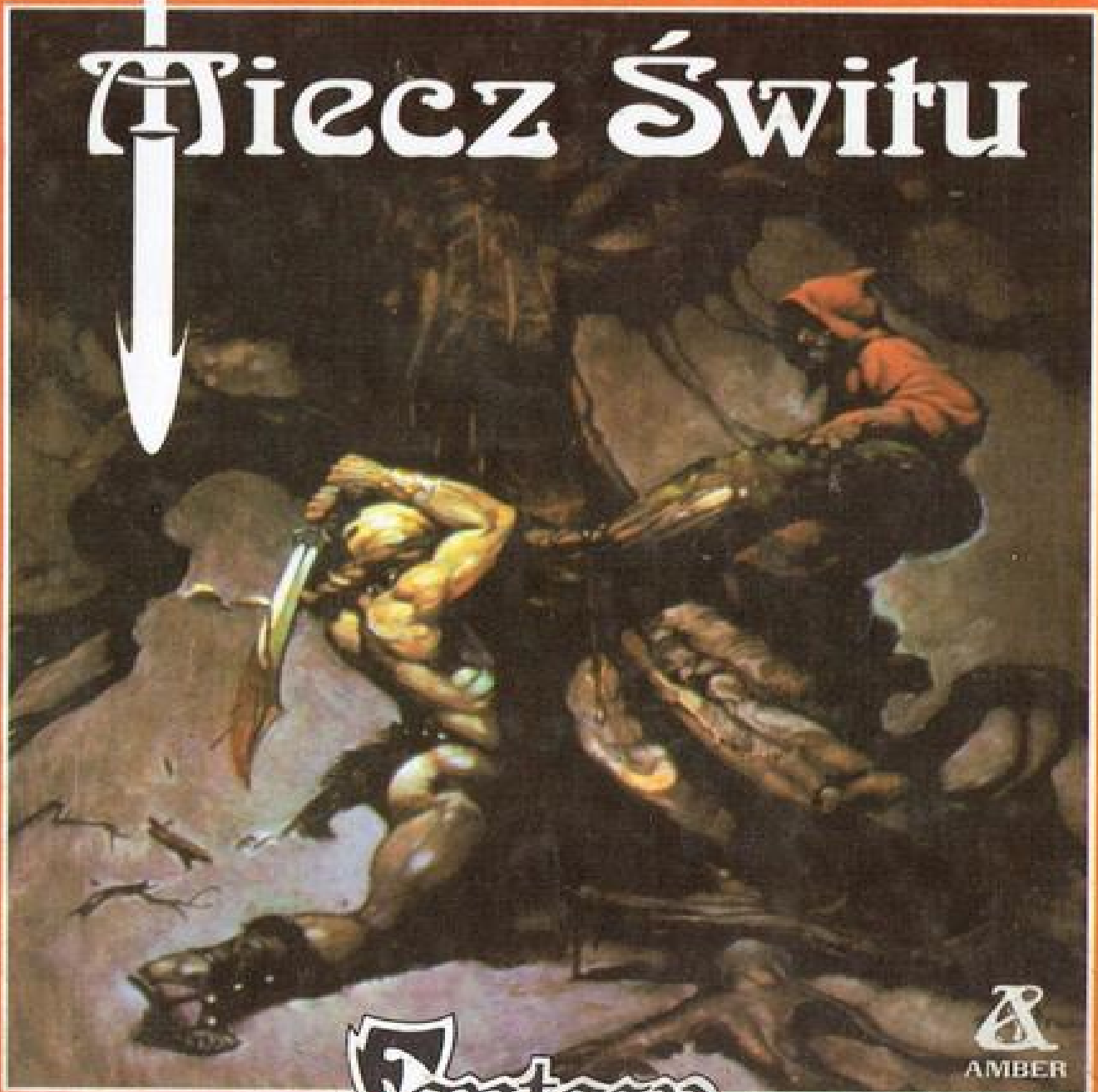


# MICHAEL MOORCOCK

HISTORIA RUNESTAFFA:

## Wiecz Świtu



Fantasy

AMBER

# Spis treści

- [KARTA TYTUŁOWA](#)
- [KSIĘGA PIERWSZA](#)  
[Wielka Historia Magicznej Laski](#)
  - [ROZDZIAŁ I OSTATNIE MIASTO](#)
  - [ROZDZIAŁ II TANIEC FLAMINGÓW](#)
  - [ROZDZIAŁ III ELYEREZA TOZER](#)
  - [ROZDZIAŁ IV FLANA MIKOSEYAAR](#)
  - [ROZDZIAŁ V TARAGORM](#)
  - [ROZDZIAŁ VI AUDIENCJA](#)
  - [ROZDZIAŁ VII EMISARIUSZE](#)
  - [ROZDZIAŁ VII MELIADUS W PAŁACU CZASU](#)
  - [ROZDZIAŁ IX INTERMEDIUM W ZAMKU BRASS](#)
  - [ROZDZIAŁ X WIDOKI LONDRY](#)
  - [ROZDZIAŁ XI PRAGNIENIA HRABINY FLANY](#)
  - [ROZDZIAŁ XII ODKRYCIE](#)
  - [ROZDZIAŁ XIII IRYTACJA KRÓLA HUONA](#)
  - [ROZDZIAŁ XIV UGORY YELU](#)
  - [ROZDZIAŁ XV OPUSZCZONA JASKINIA](#)
  - [ROZDZIAŁ XVI MYGAN Z LLANDARU](#)
- [KSIĘGA DRUGA](#)  
[Wielka Historia Magicznej Laski](#)
  - [ROZDZIAŁ I ZHENAK-TENG](#)
  - [ROZDZIAŁ II CHARKI](#)
  - [ROZDZIAŁ III RZEKA SAYOU](#)
  - [ROZDZIAŁ IV YALJON ZE STARYELU](#)
  - [ROZDZIAŁ V PAHL BEWCHARD](#)
  - [ROZDZIAŁ VI NARLEEN](#)
  - [ROZDZIAŁ VII OGIEŃ](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII MURY STARVELU](#)
  - [ROZDZIAŁ IX ŚWIĄTYNIA BATACHA GERANDIUNA](#)
  - [ROZDZIAŁ X PRZYJACIEL Z MROKÓW](#)
  - [ROZDZIAŁ XI ROZSTANIE](#)

- [BLURB](#)

Michael Moorcock

MIECZ  
ŚWITD

(The Sword of the Dawn)

Przełożył: Andrzej Leszczyński

RUNESTAFF  
TOM: 31



AMBER

Wydawca światowych  
bestsellerów

1992

# KSIĘGA PIERWSZA

## Wielka Historia Magicznej Laski



**K**iedy Dorian Hawkmoon, ostatni książę Koln, zerwał Czerwony Amulet z szyi Szalonego Boga i przejął jego moc, wrócił wraz z Huillamem d'Avercem oraz Oladahnem z Gór do Kamargu, gdzie hrabia Brass i jego córka Yisselda i wierny przyjaciel, filozof Bowgentle, razem z wszystkimi mieszkańcami bronili krainy obleganej przez hordy Mrocznego Imperium, którym dowodził zaciekły wróg Hawkmoona, baron Meliadus z Kroiden. Mroczne Imperium tak bardzo urosło w siłę, że zagrażało nawet świetnie chronionej prowincji kamarskiej. Gdyby zdobyło ją, Meliadus posiadłby Yisseldę, pozostałych uśmiercił stosując straszliwe tortury, a cały Kamarg obrócił w proch. Ocalenie przyniosły potężne siły, zdolne do izolowania fragmentów czasu i przestrzeni, które — uwolnione ze starożytnej maszyny widmowców — pozwoliły ludziom schronić się w innym wymiarze Ziemi. Tym sposobem uzyskali azyl — sanktuarium w jakimś innym Kamargu, gdzie nie istniało zło i terror Granbretanu. Wiedzieli jednak, że gdyby krystaliczna maszyna kiedykolwiek uległa zniszczeniu, natychmiast zostaliby przeniesieni z powrotem do chaosu właściwych im czasu i przestrzeni. Chwilowo mogli cieszyć się

*spokojem, ale Hawkmoon coraz częściej zaciskał dłoń na rękojeści swego miecza, rozmyślając nad losami ich ojczystego świata...*

# ROZDZIAŁ I

## OSTATNIE MIASTO



Posępni jeźdźcy, zanosząc się kaszlem od gęstego czarnego dymu unoszącego się z doliny, spinali ostrogami bojowe rumaki, kierując je w górę błotnistej stoku wzgórza.

Zapadał zmierzch, słońce chyliło się ku zachodowi, groteskowo wydłużając ich cienie. W półmroku zdawało się, że to gigantyczne stworzenia o głowach bestii, a nie ludzie dosiadają koni.

Każdy dźwigał splamioną w bojach chorągiew, każdy miał na sobie wielką, przypominającą kształtem pysk zwierzęcia maskę z metalu nabijanego drogimi kamieniami i nosił ciężką zbroję ze stali, spiżu i srebra, ozdobioną herbem swego rodu, pogiętą i zakrwawioną, a w okrytych rękawicami dłoniach ściskali miecze zbroszone krwią setek pomordowanych niewinnych ludzi.

Sześciu jeźdźców dotarło do szczytu wzgórza, zatrzymało parskające rumaki i wbiło w ziemię chorągwie, które w ciepłym napływającym z doliny wietrze zatrzepotały niczym skrzydła drapieżnych ptaszysk.

Maska przedstawiająca wilka zwróciła się ku głowie muchy, mała spojrzała na kozła, a szczur jak gdyby wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu do psa. Bestie Mrocznego Imperium — każdy był wodzem wielotysięcznej armii — popatrzyły ponad

dolinami i wzgórzami w stronę morza, po czym skierowały spojrzenia z powrotem na płonące u ich stóp miasto, z którego wciąż dobiegały głośne wrzaski mordowanych i torturowanych.

Słońce zaszło i zapadła noc, a sprawiające teraz wrażenie jeszcze jaśniejszych ognie zagrały refleksami na ciemnych metalowych maskach Lordów Granbretanu.

— Cóż, moi panowie — odezwał się baron Meliadus, Wielki Konstabl Zakonu Wilka i Naczelny Wódz Armii Zdobywców, głębokim, wibrującym i rezonującym pod olbrzymim łbem Wilka głosem. — Teraz już cała Europa znajduje się pod naszym panowaniem.

Mygel Holst, chudy jak szkielet arcyksiążę Londry, dowodzący Zakonem Kozła, zaśmiał się na głos:

— Owszem, cała Europa. Nie została nawet jedna piędź obcej ziemi. A poza tym należy już do nas olbrzymia część Wschodu. — Hełm pochylił się w ukłonie wyrażającym satysfakcję, a w rubinowych oczach odbijających blask płomieni zagrały złośliwe błyski.

— Już wkrótce — mruknął radośnie Adaz Promp, Mistrz Zakonu Psa — cały świat będzie nasz. Cały!

Baronowie Granbretanu, władcy kontynentu, niezrównani stratedzy i rycerze o szaleńczej odwadze, gardzący własnym życiem, istoty o zepsutych duszach i chorych umysłach, nienawidzący wszystkiego, czego nie doprowadzili jeszcze do ruiny, dzierżący władzę nie ograniczoną żadnymi regułami moralnymi, potężni siłą nie opartą na sprawiedliwości, zaśmiali się uradowani, spoglądając na śmierć ostatniego miasta Europy, które im się opierało. A było to bardzo stare miasto. Nosило nazwę Atena.

— Cały świat — rzekł Jerek Nankenseen, Rycerz Zakonu



Muchy — z wyjątkiem ukrytego Kamargu...

Baron Meliadus ucichł nagle i wykonał gest, jakby chciał uderzyć swego kompana.

Wysadzana kamieniami owadzia maska Jereka Nankenseena zwróciła się nieco w stronę Meliadusa, a dobywający się spod niej głos brzmiał niezwykle uszczypliwie:

— Czyż nie wystarczy ci, że się ich pozbyłeś, mój drogi baronie?

— Nie — warknął Mistrz Wilków. — Nie wystarczy.

— Nie mogą nam w żaden sposób zagrozić — mruknął baron Brenal Farnu w szurzej masce. — Jak twierdzą nasi naukowcy, zniknęli w jakimś pozaziemskim wymiarze, w innym czasie i przestrzeni. Nie możemy ich dosięgnąć, ale też nie są w stanie dosięgnąć nas. Cieszymy się więc sukcesem, porzućmy smutne myśli o Hawkmoonie i hrabi Brassie...

— Ja nie mogę!

— A może co innego nie daje ci spokoju, bracie baronie? — Jerek Nankenseen wyraźnie drwił z mężczyzny, który niejednokrotnie był jego przeciwnikiem w morderczych pojedynkach w Londrze. — Może chodzi ci o tę niedostępną Yisseldę? Czyżby to miłość kierowała tobą, mój panie? Dozgonna miłość?

Tamten przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, jedynie palce zaciśnięte kurczowo na rękojeści miecza świadczyły o jego furii. Lecz gdy ponownie rozległ się dźwięczny głos, brzmiał już zupełnie spokojnie, niemal beztrasko:

— Moim motywem jest wyłącznie zemsta, baronie Jereku Nankenseenie...

— Jesteś bardzo porywczym człowiekiem, baronie... — stwierdził oschle Nankenseen.

Meliadus szybkim ruchem schował miecz do pochwy i sięgnąwszy po swoją chorągiew, wyciągnął drzewce z ziemi.

— Oni znieważyli naszego Króla-Imperatora, nasz kraj, a także mnie. Pojmał tę dziewczynę dla własnej przyjemności, ale nie będzie mną kierowała żadna miękkość serca ani też żadna słabostka...

— Oczywiście, że nie — mruknął Jerek Nankenseen omalże protekcjonalnym tonem.

— Co się tyczy pozostałych, także dostarczą mi wiele uciechy... w więziennych lochach Londry. Dorian Hawkmoon, hrabia Brass, filozof Bowgentle, ten nie-człowiek Oladah z Gór Bułgarskich oraz zdrajca Huillam d'Averc, oni wszyscy będą cierpieć katusze przez wiele lat. Przysięgam na Magiczną Laskę!

Za nimi rozległ się jakiś dźwięk. Spojrzeli równocześnie do tyłu i w ciemnościach dostrzegli zadaszoną lektykę wnoszoną na szczyt wzgórza przez tuzin ateńskich jeńców przykutych łańcuchami do drągów. W lektyce spoczywał ekscentryczny Shenegar Trott, hrabia Sussex. Z pogardą odnosił się do noszonych w Granbretanie masek; skrywał oblicze pod srebrną osłoną, niewiele większą od ludzkiej twarzy, przedstawiającą jego własne, karykaturalnie zniekształcone rysy. Nie należał do żadnego zakonu, a był tolerowany przez Króla-Imperatora oraz cały dwór tylko z powodu niewyobrażalnego bogactwa i wręcz nadludzkiej odwagi na polach bitew. Z pozoru sprawiał wrażenie gnuśnego głupca, nosił bowiem stroje kapiące od klejnotów i demonstracyjnie okazywał znudzenie. W istocie cieszył się nawet większymi niż Meliadus względami Króla-Imperatora, gdyż jego rady niemal zawsze okazywały się znakomite. Widocznie musiał usłyszeć ostatnie słowa, gdyż odezwał się żartobliwym tonem:

— To bardzo niebezpieczna przysięga, mój drogi baronie. Pod

każdym względem musi wywrzeć także wpływ na losy człowieka, który ją składa...

— Miałem tę świadomość, kiedy ją składałem — odparł Meliadus. — Znajdę ich, hrabio Shenegarze. Proszę się o to nie martwić.

— Przybyłem tu — oświadczył Shenegar Trott — żeby przypomnieć wam, panowie, iż Król-Imperator niecierpliwi się, by nas zobaczyć i usłyszeć wiadomość, że teraz już cała Europa jest jego własnością.

— Natychmiast wyruszam do Londry — odparł Meliadus. — Tam będę mógł zasięgnąć rady naszych magików--naukowców i znaleźć sposób pojmania moich wrogów. Żegnam, panowie.

Ściągnął wodze rumaka, zawrócił konia i ruszył galopem w dół, odprowadzany spojrzeniami pozostałych.

Zwierzęce maski w słabym blasku ogni obróciły się ku sobie.

— Jego osobliwa mentalność może doprowadzić do zguby nas wszystkich — szepnął któryś z nich.

— Co za różnica? — zachichotał Shenegar Trott. — Jeśli do tej pory my sami zdołamy zniszczyć wszystko...

Odpowiedział mu głośny, chóralny śmiech, dudniący w głębiach wysadzanych klejnotami hełmów. Był to śmiech szaleńców, żywiących równie silną nienawiść do samych siebie, jak i do całego świata.

W tym bowiem tkwiła tajemnica potęgi Lordów Mrocznego Imperium — nie umieli docenić niczego na Ziemi, nie liczyły się dla nich żadne ludzkie wartości, nie cenili sobie nawet swoich własnych. Nieustanne podboje, pustoszenie, sianie terroru i przemocy stanowiły ich główną rozrywkę, jedyne zajęcie na wypełnienie wszystkich dni żywota. Walka była dla nich li tylko najbardziej satysfakcjonującym sposobem zabicia nudy...

## ROZDZIAŁ II

# TANIEC FLAMINGÓW



Oświcie, kiedy z legowisk pośród trzcin wzbijały się stada gigantycznych szkarłatnych flamingów i zaczynały wykreślać na niebie figury swych niezwykłych rytualnych tańców, hrabia Brass zwykł przystawać na brzegu bagnisk i spoglądać ponad taflą wody na dziwne konfiguracje mrocznych lagun i brunatnych wysepek, które w jego oczach wyglądały na hieroglify jakiegoś pierwotnego pisma.

Zawsze intrygowały go ontologiczne rewelacje, jakie mogły kryć się w tych wzorach; ostatnio zaczął nawet badać ptaki, trzciny i laguny, mając nadzieję znaleźć klucz do owego tajemnego krajobrazu.

Był przekonany, że ukryty jest w nim jakiś szyfr. Być może tu zawarte zostały odpowiedzi na pytania, z których sam nawet nie w pełni zdawał sobie sprawę; niewykluczone, że poznałby źródła nękającego go poczucia narastającego zagrożenia, jakie odczuwał coraz silniej, zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Wstało słońce, rozjaśniając wody delikatnym światłem. Hrabia Brass usłyszał jakiś dźwięk, odwrócił się i spostrzegł swoją córkę Yisseldę, złotowłosą madonnę lagun, w powłóczystej błękitnej sukni sprawiającą wrażenie istoty ponadnaturalnej, która na oklep dosiadała białego rogatego kamarskiego konia i

uśmiechała się tajemniczo, jakby to ona posiadała pewien jemu wciąż wymykający się sekret.

Hrabia, chcąc uniknąć spotkania, uczynił kilka szybkich kroków wzdłuż brzegu, lecz ona dostrzegła go i skierowała się w tę stronę, machając ręką.

— Ojczy! Wcześniej dziś wstałeś! Ostatnio dzieje się tak coraz częściej.

Hrabia Brass skinął głową, odwrócił się, popatrzył raz jeszcze na wodę i trzciny, a następnie uniósł wzrok ku tańczącym ptakom, jak gdyby chciał je zaskoczyć i przechytryć, poznać w jakimś instynktownym, wieszczym przebłysku sekret owych niezwykłych, niemal obłąkańczych figur kreślonych na niebie.

Yisselda zsiadła z konia i stanęła obok niego.

— To nie są nasze flamingi, chociaż tak bardzo podobne — powiedziała. — Czy udało ci się coś dostrzec? Hrabia wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

— Nic. Gdzie podziewa się Hawkmoon?

— W zamku. Śpi jeszcze.

Hrabia Brass mruknął coś i z głośnym kłaśnięciem złączył dłonie przed sobą, jakby składał je do desperackiej modlitwy, po czym zasłuchał się w dobiegające z góry odgłosy ciężkich uderzeń skrzydeł. Wreszcie rozluźnił się, ujął córkę pod ramię i poprowadził wzdłuż brzegu laguny.

— Wschód słońca — szepnęła. — Taki piękny. Hrabia ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

— Ty nie rozumiesz... — rzekł, lecz urwał nagle. Zdał sobie sprawę, że ona nigdy nie spojrzy na ten krajobraz jego oczyma. Kiedyś próbował go jej opisać, ale szybko straciła zainteresowanie, nie starała się nawet dostrzec znaczenia tajemnych wzorów, które on widział wszędzie dookoła — na

wodzie, w trzcinach, drzewach, w zachowaniu zwierząt licznie zamieszkujących ten Kamarg, nie mniej licznie, niż występowały w tamtym Kamargu, jaki porzucili.

Dla niego wszystko to stanowiło kwintesencję porządku, dla niej zaś przedstawiało jedynie przyjemny widok — coś pięknego, jak sama przyznawała, przez swój pierwotny charakter.

Jedynie Bowgentle, filozof i poeta, jego stary przyjaciel, miał jakieś pojęcie o tym, co naprawdę zaprzętało głowę hrabiemu, chociaż i on utrzymywał, że nie jest to wynikiem oddziaływania charakteru krajobrazu, lecz przejawem szczególnych właściwości umysłu hrabiego Brass.

— Jesteś wycieńczony i zdezorientowany — powtarzał Bowgentle. — Mechanizm systematyzujący twego umysłu pracuje zbyt intensywnie, dlatego dostrzegasz w całym otoczeniu przejawy uporządkowania, które faktycznie są tylko efektem twojego własnego przemęczenia i niepokoju...

Hrabia Brass zwykle zbywał te tłumaczenia kwaśną miną, zakładał spiżową zbroję i wyruszał z zamku ku niezadowoleniu swych bliskich i przyjaciół. Spędzał wiele godzin badając tę nową krainę, która tak bardzo podobna była do ojczystego Kamargu, tyle że nie dostrzegało się tu nawet śladów działalności ludzkiej.

— To człowiek czynu, podobnie jak ja — zwykł mawiać Dorian Hawkmoon, małżonek Yisseldy. — Obawiam się, że coraz bardziej zamyka się w sobie, szukając jakiegoś ważkiego problemu, w którego rozwiązanie mógłby się zaangażować bez reszty.

— Ważkie problemy sprawiają wrażenie nierozwiązywalnych — odpowiadał wówczas Bowgentle i rozmowa dobiegała końca, gdyż Hawkmoon także opuszczał zamek, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

W całym Zamku Brass, podobnie jak w leżącym u jego stóp miasteczku, wyczuwało się napięcie. Ludzie chodzili zamyśleni, uradowani skuteczną ucieczką przed terrorem Mrocznego Imperium, niepewni jednak, czy zdołają na dłużej zapuścić korzenie w tej krainie, tak łudząco podobnej do porzuconego Kamargu. Na początku, kiedy się tu znaleźli, otoczenie wydawało się im zniekształconym odbiciem Kamargu i mieniło się wszystkimi kolorami tęczy, te jednakże z upływem czasu stopniowo, jakby pod wpływem wspomnień ludzi, zmieniały się w naturalne barwy, tak że obecnie trudno było dostrzec jakąkolwiek różnicę w krajobrazie. Żyły tu stada rogatych koni, oswajające się łatwo białe bydło oraz szkarłatne flamingi, które można było wytresować jako skrzydlate wierzchowce, mimo to z umysłów mieszkańców nie zniknęło poczucie zagrożenia ze strony Mrocznego Imperium, szukającego sposobu, by osiągnąć ich nawet w tym wymiarze.

Dla Hawkmoona i hrabiego Brassa — a chyba także i dla d'Averca, Bowgentle'a i Oladahna — świadomość ta nie wiązała się z tak silnym poczuciem zagrożenia. Chwilami powitaliby z radością jakąś realną napaść ze świata, z którego uciekli.

Podczas gdy hrabia Brass podziwiał krajobrazy, szukając sposobu przeniknięcia ich tajemnic, Dorian Hawkmoon wyruszał galopem ścieżkami wzdłuż brzegów lagun w poszukiwaniu wroga, płosząc stada bydła i koni oraz podnosząc w powietrze ciężkie flamingi.

Pewnego dnia, kiedy wracał na pokrytym pianą rumaku z kolejnej badawczej wyprawy na wybrzeże niemal fioletowego morza, zwrócił uwagę na flamingi, które zataczały koła na niebie, to wznosząc się spiralnie w prądach powietrznych, to znów szybując w stronę ziemi. Było popołudnie, a gigantyczne

ptaki wykonywały swój taniec tylko o świcie, doszedł więc do wniosku, że zostały spłoszone i postanowił poszukać sprawcy.

Skierował konia krętą ścieżką poprzez trzęsawiska, a gdy znalazł się pod stadem latających flamingów, stwierdził, że zataczają koła nad niewielką wysepką porośniętą gęsto trzcinami. Przyjrzał się jej uważnie i po chwili odniósł wrażenie, że dostrzega coś między trzcinami — coś błyszczącego czerwono, przypominającego szaty człowieka.

W pierwszej chwili pomyślał, że to ktoś z miasteczka wybrał się na polowanie na kaczki, ale po chwili zrozumiał, że w takim wypadku ów człowiek powinien przywitać się z nim, a przynajmniej pomachać ręką, żeby nie przeszkadzał w łowach.

Zdumiony skierował konia w wodę, dopłynął do wysepki i po chwili znalazł się na grząskim gruncie. Potężnie zbudowany wierzchowiec zaczął przedzierać się przez morze trzcin, a książę Koln, ponownie dostrzegłszy przebłyski czerwieni, nabierał pewności, że ukrywa się tu człowiek.

— Halo! — zawołał. — Kto tu jest?!

Nie otrzymał odpowiedzi. Pasma falujących trzcin świadczyło jednak, że tamten rzucił się do ucieczki na oślep.

— Kim jesteś?! — krzyknął Hawkmoon, a przez myśl przemknęło mu, że hordom Mrocznego Imperium udało się w końcu przedostać do nich i że wszędzie w trzcinach czają się żołdacy gotowi do przypuszczenia ataku na Zamek Brass.

Spiął konia do pościgu za ubranym na czerwono człowiekiem i wkrótce dostrzegł go wyraźnie, kiedy obcy rzucił się w wody laguny i zaczął płynąć w kierunku brzegu.

— Stój! — zawołał Hawkmoon, lecz płynący nie zareagował.

Ponownie skierował konia w wodę i rumak skoczył, rozbryzgując pianę. Uciekinier wdrapał się na przeciwległą



brzeg, obejrzał, a zobaczywszy Hawkmoona tuż za sobą odwrócił się szybko, wyciągając błyszczący wąski miecz niezwyklej długości.

Lecz to nie miecz najbardziej zaskoczył księcia Koln, ale wrażenie, iż przeciwnik w ogóle nie ma twarzy. Pomędzy długimi, zmierzwionymi i posklejanymi włosami widniała ciemna plama. Hawkmoon wciągnął głęboko powietrze dobywając miecza. Czyżby był to mieszkaniec tego obcego świata?

Zeskoczył szybko z konia, kiedy tylko wierzchowiec znalazł się na brzegu, i stanął przed tajemniczym przeciwnikiem na szeroko rozstawionych nogach, wyciągając przed siebie miecz. Zaśmiał się głośno, dostrzegłszy, że twarz człowieka skrywa maska z cienkiej skóry o tak wąskich otworach na oczy i usta, że trudno je było zauważyć z większej odległości.

— Z czego się śmiesz? — zapytał donośnym głosem zamaskowany mężczyzna, zasłaniając się mieczem. — Nie masz powodu do śmiechu, mój przyjacielu, ponieważ wkrótce pożegnasz się z życiem.

— Kimże jesteś? — spytał Hawkmoon. — Na razie dałeś się tylko poznać jako samochwała.

— Jestem z pewnością lepszym szermierzem od ciebie — odparł tamten. — Lepiej poddaj się od razu.

— Żałuję, ale nie mogę uwierzyć na słowo w twoje umiejętności szermiercze — rzekł z uśmiechem Hawkmoon. — Dlaczego taki mistrz miecza miałby paradować w łachmanach?

Ostrzem wskazał poplamiony czerwony kaftan obcego oraz spodnie i buty z popękanej skóry; nie miał nawet pochwy na miecz, nosił go w sznurowej pętli zwieszającej się z konopnego pasa, do którego przymocowana była także pękata sakwa. Dłonie

mężczyzny zdołały pierścienie ze zwykłego szkła i masy plastycznej, a jego skóra o ziemistej barwie zdradzała zły stan zdrowia. Był wysoki, lecz żylasty i wyglądał na wygłodzonego.

— Jesteś żebrakiem, jak sądzę — zauważył ironicznie Hawkmoon. — Gdzie ukradłeś ten miecz, żebraku?

Obcy sapnął z wściekłości i natarł niespodzianie, po czym błyskawicznie się cofnął. Jego ruchy były niewiarygodnie szybkie. Hawkmoon poczuł piekący ból na policzku, uniósł dłoń do twarzy i stwierdził, że krwawi.

— Czy mam cię zadźgać na śmierć? — warknął nieznajomy. — Opuść swój ciężki miecz i poddaj się. Hawkmoon wybuchnął głośnym śmiechem.

— Świetnie! Wreszcie mam godnego przeciwnika. Nawet nie wiesz, z jaką radością zmierzę się z tobą, przyjacielu. Wiele czasu minęło, od kiedy moje uszy słyszały brzęk stali! — Jeszcze to mówiąc natarł na zamaskowanego mężczyznę.

Obcy począł się zaciekle bronić; parując udatnie ciosy wyprowadzał pchnięcia, które Hawkmoonowi z ledwością udawało się w porę zablokować. Ich stopy zagłębiały się w grząskim gruncie, ale żaden nie przesunął się nawet o krok — walczyli niespiesznie, z wielką wprawą, rozpoznając w sobie nawzajem prawdziwych mistrzów fechtunku.

W ciągu godziny wyrównanej walki żaden z nich ani nie otrzymał, ani nie zdołał zadać przeciwnikowi żadnych ran. Hawkmoon zdecydował się w końcu zmienić taktykę — zaczął powoli wycofywać się z brzegu w stronę wody.

Sądząc, że księżę Koln traci siły, zamaskowany mężczyzna nabrał pewności siebie i natarł z jeszcze większą szybkością, tak że Hawkmoon musiał skierować całą uwagę na parowanie ciosów.

Książę Dorian udał nagle, że pośliznął się w błocie i przyklęknął na jedno kolano. Obcy skoczył, chcąc zadać ostateczne pchnięcie, ale miecz Hawkmoona wystrzelił jak błyskawica, uderzając płazem w nadgarstek przeciwnika. Tamten wrzasnął i wypuścił broń z ręki. Książę poderwał się i przycisnąwszy miecz obcego butem, skierował zarazem własne ostrze ku jego szyi.

— To sztuczka niegodna prawdziwego szermierza — warknął zamaskowany mężczyzna.

— Łatwo się nudzę — odparł Hawkmoon. — Miałem już dosyć tej zabawy.

— I cóż teraz?

— Jak się nazywasz? — zapytał książę Koln. — Gdy już poznam twoje imię, chciałbym ujrzeć twą twarz, dowiedzieć się, co tu robisz, a potem, co chyba najważniejsze, usłyszeć, w jaki sposób się tu dostałeś.

— Moje imię będzie ci znane — rzekł tamten dumnym tonem. — Nazywam się Elvereza Tozer.

— Istotnie jest mi ono znane! — przyznał osłupiały książę Koln.

## ROZDZIAŁ III

### ELYEREZA TOZER



Elyereza Tozer w niczym nie przypominał człowieka, jakiego Hawkmoon spodziewałby się ujrzeć, gdyby powiedziano mu, iż spotka najsłynniejszego dramaturga Granbretanu — twórcę, którego dzieła podziwiane były w Europie nawet przez tych ludzi, którzy gardzili wszystkim, co wiązało się z Mrocznym Imperium. Ostatnio niewiele było słyhać o autorze „Króla Stalina”, „Tragedii Katina i Karny”, „Ostatniego z Braldurów”, „Annali”, „Chirshila i Adulfa”, „Komedii stali” oraz wielu innych arcydzieł, ale Hawkmoon kładł to na karb toczących się wojen. Wyobrażał sobie Tozera jako człowieka świetnie ubranego, w każdej sytuacji pewnego siebie, zachowującego się swobodnie i sypiącego mądrościami. Ku swemu zdumieniu zetknął się z kimś lepiej władającym mieczem niż słowami, chełpliwym głupcem i fanfaronem odzianym w łachmany.

Przez całą drogę, kiedy ścieżkami wiodącymi pośród bagien popychał Tozera końcem swego miecza w stronę Zamku Brass, zastanawiał się nad tymi rażącymi sprzecznościami. Czyżby ów człowiek kłamał? A jeśli tak, to z jakich powodów chciał uchodzić za znakomitego dramaturga?

Tozer maszerował, wyraźnie nie przejmując się zmianą swojego położenia, i pogwizdywał jakąś skoczną melodyjkę.

Hawkmoon zatrzymał się.

— Chwileczkę — powiedział, sięgając po wodze konia idącego tuż za nim. Tozer odwrócił się. Jego oblicze nadal skrywała maska. Książę był tak zaskoczony usłyszawszy nazwisko dramaturga, że zapomniał rozkazać mu, by odsłonił twarz.

— No cóż — mruknął Tozer rozglądając się dookoła. — To przepiękna kraina, chociaż, jak sądzę, nie znalazłbym tu zbyt licznej widowni...

— Tak — odparł zakłopotany Hawkmoon. — Owszem... Lepiej będzie dosiąść rumaka. — Wskazał ręką konia. — Siodło dla pana, mistrzu Tozer.

Kiedy tamten wspiął się na siodło, Hawkmoon usadowił się za nim, ściągnął wodze i popędził wierzchowca kłusem.

W ten sposób dość szybko dotarli do bram miasta, minęli je i zwolniwszy na krętych uliczkach zaczęli piąć się stromą drogą ku murom Zamku Brass.

Kiedy dotarli na dziedziniec, zsiadli z konia, Hawkmoon przekazał wodze stajennemu i wskazując drzwi wiodące do głównego holu rzekł do Tozera:

— Tędy, jeśli łaska.

Ten wzruszywszy nieznacznie ramionami, wolnym krokiem wszedł do środka i pokłonił się dwóm mężczyznom stojącym przy wielkim kominku, w którym płonął ogień. Hawkmoon skinął im głową.

— Dzień dobry, panie Bowgentle, d'Avercu. Przyprowadziłem jeńca...

— To widać — odparł d'Averc, a na jego pociągłej, urodziwej twarzy odmalował się wyraz skrywanego zainteresowania. — Czyżby rycerze Granbretanu znów stali u naszych bram?

— O ile zdążyłem się przekonać, był tylko ten jeden —

oznajmił Hawkmoon. — Twierdzi, że nazywa się Elvereza Tozer...

— Naprawdę? — Emanujące zwykle spokojem oczy ascetycznego Bowgentle'a rozszerzyły się ze zdumienia. — Autor „Chirshila i Adulfa”? Trudno w to uwierzyć.

Tozer uniósł wysmukłą dłoń i zaczął rozwiązywać rzemienie mocujące maskę.

— Nie jest pan mi obcy — powiedział. — Spotkaliśmy się dziesięć lat temu, kiedy przybyłem do Malagi z moją nową sztuką.

— Tak, pamiętam. Dyskutowaliśmy wtedy o kilku opublikowanych wówczas pańskich wierszach, które tak mi się f podobały... — Bowgentle pokręcił głową. — Pan jest i Elverezą Tozerem, ale...

Maska opadła, odsłaniając wychudzone, inteligentne oblicze o długim, wąskim nosie i bladej, ziemistej cerze, której nie była w stanie ukryć nawet skołtuniona broda. Skóra nosiła liczne ślady przebytej ospy.

— Przypominam sobie także tę twarz, chociaż była bardziej zaokrąglona. Na Boga, co się z panem działo? — zapytał cicho Bowgentle. — Czyżby szukał pan schronienia przed własnymi ziomkami?

— Och — westchnął Tozer, obrzucając Bowgentle'a uważnym spojrzeniem. — Niewykluczone. Czy nie poczęstowałyby mnie pan szklaneczką wina? Czuję, że potyczka z obecnym tu waszym walecznym przyjacielem wycieńczyła mnie.

— Co takiego? — wtrącił d'Averc. — Czyżbyście stoczyli walkę?

— Na śmierć i życie — odparł posępnym głosem Hawkmoon. — Mam wrażenie, że mistrz Tozer nie przybył do 1 naszego Kamargu z misją dobrej woli. Znalazłem go wśród trzcin, na południu, gdzie się ukrywał. Sądzę, że zjawił się tu jako szpieg. —

Dlaczegoż to Elvereza Tozer, najsłynniejszy dramatopisarz świata, miałby szpiegować? — stwierdził Granbretańczyk pełnym pogardy, stanowczym tonem. Nie zabrzmiało to jednak nazbyt przekonywająco.

Bowgentle, skubiąc wargę, pociągnął za linkę dzwonka, przyzywając służącego.

— Och, to właśnie pan powinien nam to wyjaśnić — rzekł Huillam d'Averc z wyraźnym rozbawieniem. Zakasłał ostentacyjnie. — Proszę mi wybaczyć, to tylko drobne przeziębienie. W tym zamku stale są przeciągi... J — Nie miałbym nic przeciwko temu — odparł Tozer — gdyby można tu znaleźć jakiś przeciąg. — Powiódł po obecnych uważnym wzrokiem. — Przeciąg, który pomógłby nam zapomnieć o wichurze, jeśli wiecie, co mam na myśli. Przeciąg...

— Tak, owszem — wtrącił pospiesznie Bowgentle i odwrócił się w stronę wchodzącego służącego. — Dzban wina dla naszego gościa — polecił. — Czy chciałby pan coś zjeść, mistrzu Tozer?

— „Zjadłbym nawet chleba z Babel i mięsiwa z Marakhanu...” — odparł w zamyśleniu Tozer. — „Gdyż owoce, które przynoszą mi głupcy, są jedynie...”

— O tej porze możemy zaproponować ser — przerwał mu ironicznie d'Averc.

— „Annala”, akt szósty, scena piąta — mówił dalej Tozer. — Pamięta pan tę scenę?

— Pamiętam — przytaknął d'Averc. — Zawsze uważałem, że ta część jest nieco słabsza od reszty.

— Subtelniejsza — odparł afektowanym tonem Tozer. — Subtelniejsza.

Wrócił służący z winem i Tozer obsłużył się sam, napełniając sporych rozmiarów kielich.

— Wymowa literatury — powiedział — nie zawsze jest oczywista dla zwykłych prostaków. Za sto lat ludzie odczytają ostatni akt „Annali” nie jako napisany w pośpiechu i nie do końca przemyślany, jak osądzili jacyś głupi krytycy, lecz jako złożoną strukturę, która stanowi w rzeczywistości...

— Ja także uważam się w jakimś stopniu za pisarza — rzekł Bowgentle — ale muszę przyznać, że nie dostrzegam subtelności... Może mógłby pan to wyjaśnić.

— Kiedy indziej — uciął Tozer, niedbale machnąwszy ręką. Wypił wino i ponownie napełnił kielich.

— A na razie — powiedział z naciskiem Hawkmoon — może mógłby pan wyjaśnić swoją obecność w Kamargu. Mimo wszystko uważaliśmy, że jesteśmy tu bezpieczni, a jednak...

— Jesteście bezpieczni, proszę się nie obawiać — odparł Tozer. — Wyłączywszy mnie samego, rzecz jasna. Udało mi się tu dostać wykorzystując siłę mojego umysłu.

D'Averc z powątpiewaniem potarł policzek.

— Wykorzystując siłę... umysłu? Jaką siłę?

— Starożytną wiedzę, którą przekazał mi pewien mistrz filozofii, mieszkający wśród nie zbadanych dolin Yelu... — Tozer beknął i raz jeszcze napełnił kielich winem.

— Yel jest prowincją Granbretanu, leżącą na południowym zachodzie, prawda? — zapytał Bowgentle.

— Tak. To dzika, prawie bezludna kraina, zamieszкана przez ciemnoskórych barbarzyńców, którzy żyją w jamach w ziemi. Kiedy moja sztuka „Chirshil i Adulf” przyjęta została przez pewne frakcje na dworze z oburzeniem, uznałem za rozsądne schronić się tam na jakiś czas, zostawiając na pastwę wrogów wszelkie moje dobra, pieniądze i kochanki. Cóż mogłem wiedzieć o brudnej polityce? Skąd mogłem przypuszczać, że niektóre



fragmenty dzieła odzwierciedlały, jak się zdaje, dworskie intrygi.

— A zatem został pan zniesławiony? — rzekł Hawkmoon, spoglądając na Tozera spod oka. Owa historyjka mogła być przecież po prostu wymyślona.

— Więcej, omal nie straciłem życia. Zresztą w trakcie pobytu w tej dziczy groziło mi to także...

— I tam spotkał pan filozofa, który nauczył pana podróżować poprzez różne wymiary? Później przybył pan tu, szukając schronienia? — Hawkmoon uważnie śledził reakcję Tozera na te pytania.

— Nie... a w zasadzie tak... — odparł dramaturg. — Jeśli mam być szczery, nie wiedziałem dokładnie, dokąd zawędruję...

— Sądzę, że został pan tu przysłany przez Króla-Imperatora, by dopomóc w zniszczeniu nas — oznajmił Hawkmoon. — Myślę, mistrzu Tozer, że pan nas okłamuje.

— Okłamuję? A czymże jest kłamstwo? Czym jest prawda? — Tozer uśmiechnął się krzywo do Hawkmoona i czknął głośno.

— Prawda — odparł stanowczo książę Koln — to pętla ze sznura na pańskiej szyi. Uważam, że powinniśmy pana powiesić. — Potarł palcami matowy czarny kamień tkwiący pośrodku jego czoła. — Nie są mi obce sztuczki Mrocznego Imperium. Za często bywałem jego ofiarą, bym ryzykował ponowne uwięzienie. — Popatrzył na pozostałych. — Nalegam, byśmy powiesili go niezwłocznie.

— Skąd jednak możemy wiedzieć, czy rzeczywiście nie jest on jedynym człowiekiem, któremu udało się do nas dotrzeć? — rozsądnie zapytał d'Averc. — Nie możemy działać w pośpiechu, Hawkmoonie.

— Jestem jedynym, przysięgam! — w głosie Tozera pojawiły się nerwowe tony. — Przyznaję, dobrzy panowie, że polecono mi

tu przybyć. Gdybym się nie zgodził, straciłbym życie w katakumbach więziennych Wielkiego Pałacu. Kiedy posiadałem sekret starego filozofa, wróciłem do Londry z nadzieją, że owa moc pomoże mi stawić czoło tym wszystkim na dworze, którzy żywili do mnie urazę. Chciałem jedynie odzyskać poprzednią pozycję i wiedzieć, że nadal mam dla kogo pisać. Kiedy jednak powiedziałem im o nabytej wiedzy, natychmiast zagrozili mi śmiercią, jeśli nie zgodzę się przedostać tutaj i zniszczyć to, dzięki czemu zdołaliście znaleźć schronienie w tym wymiarze... A zatem przybyłem i muszę przyznać, iż cieszę się, że mogłem im uciec. Nie byłem nazbyt skłonny, by ryzykować własną skórę i występować przeciwko wam, uczciwym ludziom, lecz...

— I nie zabezpieczyli się w jakiś sposób, aby mieć pewność, że pan wykona powierzone mu zadanie? — zapytał Hawkmoon. — To raczej dziwne.

— Jeśli mam być szczery — odparł Tozer, spuszczać wzrok — odniosłem wrażenie, że nie do końca uwierzyli w moją moc. Chyba chcieli tylko wypróbować jej działanie. Musieli doznać szoku, kiedy przystałem na ich propozycję i w tej samej chwili zniknąłem.

— Niepodobna, by Lordowie Mrocznego Imperium popełnili takie przeoczenie — mruknął d'Averc marszcząc brwi. — Z drugiej strony, jeśli nie udało się panu zdobyć naszego zaufania, nie widzę powodu, dla którego oni mieliby ufać. W każdym razie nie jestem do końca przekonany, że mówi pan prawdę.

— Czy powiedział im pan o tym starym filozofie? — zapytał Bowgentle. — Jeśli tak, będą mogli sami osiąść ów sekret.

— Nie — odparł Tozer, chytrze łypiąc okiem. — Twierdziłem, że udało mi się samemu opanować tę wiedzę podczas kilku samotnie spędzonych miesięcy.

— Nie ulega wątpliwości, że nie potraktowali tego poważnie — uśmiechnął się d'Averc. Tozer wyglądał na zboląłego. Pociągnął jeszcze łyk wina.

— Trudno mi uwierzyć, że zdolny był pan przedostać się do nas jedynie za pomocą swej woli — przyznał Bowgentle. — Czy na pewno nie korzystał pan z żadnych środków...?

— Z żadnych.

— Nie podoba mi się to wszystko — stwierdził ponurym głosem Hawkmoon. — Nawet jeśli on mówi prawdę, Lordowie Granbretanu zaczną się teraz zastanawiać, gdzie mógł osiąść tę wiedzę, zaczną dokładnie odtwarzać jego kroki i z pewnością natkną się na starego filozofa. A wtedy zdobędą sposób, żeby przybyć tu z całą swą potęgą, i będziemy zgubieni!

— Rzeczywiście, nadchodzą ciężkie czasy — rzekł Tozer, po raz kolejny napełniając swój kielich. — Przypomnijcie sobie „Króla Stalina”, akt czwarty, scena druga: „Straszne dni, straszni jeźdźcy, wojnę zapachnie na całym świecie!” Aha, byłem wizjonerem i przewidziałem to! — Wyraźnie odczuwał już skutki wypitego wina.

Hawkmoon utkwiał wzrok w poblądłej twarzy pijanego, wciąż nie mogąc pogodzić się z myślą, że ma przed sobą sławnego dramaturga.

— Jak widzę, zastanawia was mój wygląd — rzekł Tozer. Zaczynał mu się plątać język. — Jak już mówiłem, to wszystko przez kilka wierszy w „Chirshilu i Adulfie”. Zwykle zrzędzenie losu. Zaledwie kilka wierszy napisanych w dobrej wierze i oto staję tu dziś wobec groźby stryczka na szyi. Na pewno pamiętacie tę scenę, ten dialog. „Cały dwór i król jednako przekupieni...” Akt pierwszy, scena pierwsza. Ulitujcie się nade mną, panowie, nie wieszajcie mnie. Wielki artysta zgładzony przez własny potężny

geniusz.

— Jaki on był, ten stary filozof? — zapytał Bowgentle. — Gdzie dokładnie mieszka?

— Ten stary... — Tozer wlał do gardła następną porcję wina. — Ten stary przypominał mi trochę loniego z mojej „Komedii stali”, akt drugi, scena szósta...

— Jaki on był? — wtrącił zniecierpliwiony Hawkmoon.

— „Machinom zaprzędany, każdą godzinę poświęcał zdradliwym obwodom, aż się zestarzał nie wiadomo kiedy, służąc swym urządzeniom”. Rozumiecie, on żył tylko swoją nauką. Produkował te pierścienie... — Tozer pospiesznie zakrył dłonią usta.

— Pierścienie? Jakie pierścienie? — zapytał szybko d'Averc.

— Chyba musicie mi, panowie, wybaczyć — odparł Tozer, podnosząc się i próbując utrzymać równowagę. — To wino okazało się za mocne na mój pusty żołądek. Ulitujcie się, błagani...

Istotnie twarz Tozera przybrała zielonkawy odcień.

— Proszę bardzo — rzekł ociężale Bowgentle. — Pokażę panu drogę.

— Zanim odejdzie — padły czyjeś słowa od strony drzwi — zapytajcie go o pierścień, który nosi na środkowym palcu lewej dłoni. — Wypowiedziane to zostało stłumionym, brzęczącym z lekka sarkastycznie głosem.

Hawkmoon rozpoznał go natychmiast i odwrócił się. Tozer zaś jęknął, zakrywając ręką pierścień.

— Co ci wiadomo na ten temat? — zapytał. — Kim jesteś?

— Obecny tu książę Koln — rzekł przybysz wskazując Hawkmoona — nazywa mnie Rycerzem w Czerni i Złocie.

Wyższy od wszystkich pozostałych, zakuty w zbroję oraz hełm

mieniające się czernią i złotem, tajemniczy Rycerz uniósł dłoń, wyciągając skryty w osłoniętej metalem rękawicy palec w stronę Tozera.

— Oddaj mi ten pierścień.

— To zwykłe szkło, nic poza tym. Nie przedstawia żadnej wartości...

— On sam wspomniał coś o pierścieniach — stwierdził d'Averc. — Czyżby właśnie one posłużyły mu do przeniesienia się w ten wymiar?

Tozer stał nieruchomo, z głupim wyrazem twarzy, na której malowała się mieszanina upojenia winem i wściekłości.

— Powiedziałem już, że jest ze szkła, nie przedstawia żadnej wartości...

— Na Magiczną Laskę, rozkazuję ci! — ryknął Rycerz przeraźliwym głosem.

Nerwowym ruchem Elvereza Tozer ściągnął klejnot z palca i cisnął na kamienną posadzkę. D'Averc podszedł, uniósł go i zaczął mu się przyglądać.

— To kryształ — stwierdził — a nie szkło. Skądś znam ten rodzaj kryształu...

— Został wykonany z tej samej substancji, z jakiej wyrzeźbiono urządzenie, które pomogło wam schronić się tutaj — odparł Rycerz w Czerni i Złocie. Wyciągnął ku nim otwartą dłoń, demonstrując wsunięty na rękawicę, na środkowy palec, taki sam pierścień. — Ma identyczne właściwości, może przenosić ludzi poprzez różne wymiary.

— Tak, jak myślałem — rzekł Hawkmoon. — To nie zdolności umysłowe, lecz odłamek kryształu pozwolił ci dostać się do nas. Teraz nie unikniesz stryczka! Jak zdobyłeś ten magiczny przedmiot?

— Od tego człowieka, Mygana z Llandaru. Przysięgam, że to prawda. On miał ich wiele, mógł wyprodukować następne! — wykrzyknął Tozer. — Nie wieszajcie mnie, błagam was. Powiem wam dokładnie, gdzie można znaleźć owego starca!

— Tego musimy się dowiedzieć — powiedział w zamyśleniu Bowgentle — gdyż powinniśmy pojmać go, zanim uczynią to Lordowie Mrocznego Imperium. Musimy schwytąć go i osiąść jego tajemnice dla naszego bezpieczeństwa.

— Co takiego? Czyżbyśmy musieli wyprawić się do Granbretanu? — zapytał zdumiony d'Averc.

— To raczej nieuniknione — stwierdził Hawkmoon.

## ROZDZIAŁ 10

### FLANA MIKOSEYAAR



Flana Mikosevaar, hrabina Kanbery, poprawiła maskę splecioną ze złotego drutu i obrzuciła nie widzącym spojrzeniem resztę widowni, która zdała jej się jedynie wielobarwną mozaiką. Orkiestra, umieszczona w centrum sali balowej, grała dziwną, skomplikowaną melodię, jedno z późniejszych dzieł ostatniego wielkiego kompozytora Granbretanu, Londena Johne'a, zmarłego dwieście lat wcześniej.

Maska hrabiny przedstawiała głowę czapli, w której — w miejsce oczu — widniały tysiące okruchów rzadkich klejnotów. Gruba suknia z błyszczącego brokatu mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, zależnie od oświetlenia. Była wdową po Asrovaku Mikosevaarze, który zginął z ręki Doriana Hawkmoona podczas pierwszej bitwy o Kamarg. Jednakże Flana z Kanbery nie opłakiwała śmierci moskoviańskiego renegata, twórcy Legionu Sępów, którego hasło brzmiało: ŚMIERĆ DLA ŻYCIA; nie nosiła też w sercu żalu do jego zabójcy. Asrovak był jej dwunastym mężem i zdążyła zaspokoić swe żądze szaleńczymi uniesieniami krwawego kochanka na długo przedtem, zanim wyruszył on na wojnę o Kamarg. Od tamtego czasu miała już kilku kochanków i wspomnienia o mężu zniknęły we mgle, podobnie jak pamięć o wielu innych mężczyznach, jako że Flana była samolubnym

stworzeniem — rzadko zaprzętała sobie głowę odróżnianiem jednego mężczyzny od drugiego.

Stało się już regułą bez wyjątku, że jej mężowie czy kochankowie ginęli właśnie wtedy, kiedy zaczynali być dla niej niewygodni. Raczej instynkt, niż jakiegokolwiek pobudki rozumowe, powstrzymywał ją przed zamordowaniem tych najbardziej wpływowych. Rzecz w tym, że nie była niezdolna do miłości, potrafiła bowiem ulegać pasji, wariować na punkcie swoich oblubieńców, nie potrafiła jednak żywić tych uczuć przez dłuższy czas. Nienawiść, podobnie jak wierność były dla niej czymś zupełnie obcym. Przypominała w dużym stopniu oswojone zwierzątko, jednym przywodziła na myśl kota, innym zaś pająka — chociaż zarówno wdziękiem, jak i urodą bliższa była zdecydowanie temu pierwszemu. Wiele kobiet darzyło ją nienawiścią i obmyślało sposoby zemsty za zabranie męża czy też otrucie brata, z pewnością też wywarłyby swą zemstę, gdyby Flana nie była hrabiną Kanbery i kuzynką Króla-Imperatora Huona, nieśmiertelnego monarchy zamkniętego na wieczność w przypominającej łono Kuli Tronowej, umieszczonej w ogromnej Sali Tronowej jego pałacu. Znajdowała się w centrum uwagi także wielu innych osób, ponieważ była jedyną żyjącą krewną monarchy, a osoby owe sądziły, że jeśli zniszczą Huona i uczynią z niej Królową-Imperatorową, będzie służyła ich interesom.

Nieświadoma snutych wokół jej osoby intryg, Flana z Kanbery przyjęłaby ze stoickim spokojem wszelkie informacje o nich, jako że nie przejawiała najmniejszego zainteresowania sprawami zajmującymi pobratymców; szukała jedynie sposobów zaspokojenia swoich skrytych żądz, wydarcia z duszy dziwacznej, melancholijnej tęsknoty, której nie potrafiła nawet sprecyzować. Dla wielu mężczyzn stanowiła zagadkę, zabiegali o



jej względy tylko po to, by móc cokolwiek wyczytać z jej nie osłoniętej maską twarzy. Ale to oblicze — o pięknych rysach i gładkiej cerze, z zawsze lekko zaróżowionymi policzkami i olbrzymimi złocistymi oczyma — pozostawało mroczne i tajemnicze, skrywając znacznie więcej niż złota maska.

Muzyka umilkła, ludzie zaczęli poruszać się. Wielobarwna mozaika ożyła w rytm falowania odzieży, obracających się masek, ukłonów i gestów. Delikatnie rzeźbione maski dam poczęły gromadzić się wokół bitewnych hełmów tych spośród dowódców licznych granbretańskich armii, którzy ostatnimi czasy wrócili do kraju. Hrabina wstała, lecz nie uczyniła nawet kroku w ich kierunku. Z trudem rozpoznawała niektóre hełmy — najprędzej ten należący do Meliadusa z Zakonu Wilka, który był jej mężem przed pięcioma laty i rozwiódł się z nią (co zresztą ledwie zauważyła). Był tam również Shenegar Trott, rozparty na stercie poduszek, obsługiwany przez nagą niewolnicę z kontynentu, skryty pod srebrną maską — karykaturą ludzkiej twarzy. Dojrzała też maskę księcia Lakasdehu, Prą Plenna, ledwie osiemnastolatka, któremu poddało się dziesięć wielkich miast. Jego hełm przedstawiał głowę szczerzącego zęby smoka. Odniosła wrażenie, że rozpoznaje także pozostałych — bez wyjątku najślawniejszych dowódców, którzy wrócili, by świętować swe zwycięstwa, by dzielić między siebie podbite terytoria i odbierać gratulacje od swego Imperatora. Otoczeni tłoczącymi się kobietami dumnie wypinali piersi i wybuchali gardłowym śmiechem. Wyjątek stanowił jej były mąż, Meliadus, który chyba unikał towarzystwa i stał pogrążony w rozmowie ze swym szwagrem Taragormem, Mistrzem Pałacu Czasu, oraz ukrytym pod węzokształtną maską baronem Kalanem z Vi tali, Wielkim Konstablem Zakonu Węża i naczelnym naukowcem

Króla-Imperatora. Flana zmarszczyła brwi pod maską, przywoławszy odległe wspomnienia: Meliadus zwykle unikał Taragorma...

## ROZDZIAŁ V

### TARAGORM



Jak ci się powodzi, bracie Taragormie? — zapytał Meliadus, siląc się na uprzejmość. Człowiek, który wziął za żonę jego siostrę, odpowiedział krótko:

— Dobrze.

Niepokoilo go, dlaczego Meliadus się z nim przywitał; wszyscy dobrze wiedzieli, jak głęboko był zazdrosny o to, że Taragorm zdobył względy jego siostry. Wyniośle uniósł głowę osłoniętą wielką maską. Przedstawiała ogromną tarczę zegarową o cyferblacie z emaliowanego i pozłacanego mosiądzu, w wielu miejscach zdobionego macicą perłową oraz wskazówkach inkrustowanych srebrem, pudło zaś, w którym umieszczono wahadło, zwieszało się nisko aż na szeroką pierś Taragorma. Wykonano je z jakiegoś przezroczystego materiału, podobnego do szkła o niebieskawym odcieniu, przez który widać było poruszające się złote wahadło. Cały zegar wyposażono w skomplikowany mechanizm, mający niwelować skutki poruszania głową. Wydzwaniał co kwadrans, a w południe i o północy wygrywał pierwsze osiem taktów „Chwilowych antypatii” Shenevena.

— A jak miewają się — kontynuował Meliadus tym samym, niezwykłym dla niego, ugrzecznionym tonem — zegary w twoim

pałacu? Wszystkie tykają i cykają, co?

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do Taragorma, że jego szwagier zdobył się na dowcip. Nie odpowiedział. Meliadus chrząknął. Skryty za węzową maską Kalan wtrącił:

— Słyszałem, że przeprowadzasz jakieś eksperymenty z maszyną zdolną podróżować w czasie, Lordzie Taragormie. Tak się składa, że ja również eksperymentuję... z maszyną...

— Chciałbym porozmawiać z tobą, bracie, o twoich doświadczeniach — odezwał się Meliadus do Taragorma. — Jak daleko zaawansowane są twe prace?

— Dość zaawansowane, bracie.

— Czy podróżowałeś już w czasie?

— Nie osobiście.

— Moja maszyna — mówił nie spieszony Kalan — zdolna będzie przenosić statki z niewiarygodną szybkością na ogromne odległości. Będziemy mogli podbić dowolny kraj na kuli ziemskiej, niezależnie od tego, jak daleko...

— Kiedy uzyskasz możliwość — zapytał Meliadus, przysuwając się bliżej do Taragorma — wysłania człowieka w podróż ku przeszłości lub przyszłości?

Baron Kalan wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem.

— Muszę wracać do moich laboratoriów -r- rzekł. — Król-Imperator nalega, bym jak najszybciej zakończył swoje prace. Miłego dnia, moi panowie.

— Miłego dnia — odparł machinalnie Meliadus. — A więc, bracie, musisz mi opowiedzieć więcej o swojej pracy. Może nawet pokazać mi prototypowe urządzenie.

— Muszę... — odparł żartobliwie Taragorm. — Ależ moja praca jest okryta tajemnicą, bracie. Nie mogę wprowadzić cię do Pałacu Czasu bez zgody Króla Huona. Najpierw musisz postarać się o

pozwolenie.

— Czy jesteś pewien, że nawet ja potrzebuję takiego pozwolenia?

— Nikt nie jest aż tak wszechmocny, by działać bez zgody naszego Króla-Imperatora.

— Ale ja mam niezwykle ważną sprawę, bracie — rzekł Meliadus desperackim, niemal błagalnym tonem. — Umknęli nasi wrogowie, prawdopodobnie schronili się w innej epoce Ziemi. Stanowią poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Granbretanu!

— Mówisz o tej grupce barbarzyńców, których nie udało ci się pojmać w trakcie bitwy o Kamarg?

— Miałem ich już w garści, tylko nauka lub magia pozwoliła im umknąć przed moją zemstą. Co prawda, nikt mnie nie obwinia za to, co się stało...

— Oprócz ciebie samego? Czyżbyś oskarżał siebie?

— Nie, pod żadnym względem nie mam sobie nic do zarzucenia. Po prostu chciałbym skończyć z nimi, chciałbym pozbyć się wrogów Imperium. Czy jest w tym coś złego?

— Słyszałem plotki, że jest to raczej twoja prywatna wojna, a nie działania na rzecz kraju, oraz że przystajesz na głupie ugody tylko po to, by zemścić się na tych, którzy znaleźli schronienie w Kamargu.

— Cóż, to tylko jeden z możliwych poglądów — rzekł Meliadus, z trudem przełykając upokarzające słowa. — A mnie chodzi jedynie o dobro naszego Imperium.

— W takim razie powiedz Królowi Huonowi o swych obawach, a być może pozwoli ci zwiedzić mój pałac. — Taragorm odwrócił się, a w tym samym momencie jego maska zaczęła z hukiem wybijać godzinę, czyniąc jakąkolwiek dalszą rozmowę

niemożliwą. Meliadus chciał iść za nim, lecz po chwili zmienił zdanie i płonąc wściekłością odszedł korytarzem w drugą stronę.

Otoczona przez młodych Lordów Granbretanu, z których każdy chciał zdobyć jej niebezpieczne względy, hrabina Flana Mikosevaar popatrzyła za odchodzącym.

Z jego energicznych kroków wywnioskowała, że jest w złym nastroju. Szybko zapomniała więc o nim i zwróciła uwagę na sypiących pochlebstwami adoratorów, wsłuchując się nie w słowa, świetnie jej znane, lecz w samo brzmienie głosów, zdających się płynąć niczym stara przyjemna melodia.

Natomiast Taragorm wymienił grzeczności z Shenegarem Trottem.

— Mam się stawić przed Królem-Imperatorem jutro rano — oznajmił Trott Mistrzowi Pałacu Czasu. — Wierzę, iż czeka mnie jakaś misja, która w tej chwili stanowi tajemnicę znaną jedynie naszemu władcy. Musimy być zawsze czymś zajęci, prawda, Lordzie Taragormie?

— Oczywiście, że musimy, hrabio Shenegarze. Zęby nuda nie pochłonęła nas bez reszty.

# ROZDZIAŁ VI

## AUDIENCJA



Następnego ranka Meliadus czekał niecierpliwie przed wejściem do Sali Tronowej Króla-Imperatora. Zapisał się na audiencję poprzedniego wieczora i został poinformowany, że ma się stawić o godzinie jedenastej. Teraz była już dwunasta, ale ciągle nie otwierano przed nim wznoszących się wysoko ku potężnemu sklepieniu drzwi, nabijanych klejnotami, które układały się w mozaikę przedstawiającą jakieś prehistoryczne sceny. Wejścia strzegło pięćdziesięciu nieruchomych, uzbrojonych w ogniste lance strażników w maskach modliszek. Meliadus chodził tam i z powrotem wzdłuż szeregu gwardzistów, nie spoglądając nawet w połyskujące głębie korytarzy niesamowitego pałacu Króla-Imperatora.

Próbował zdusić w sobie poczucie głębokiej urazy wywołane faktem, iż Król-Imperator nie przyjął go od razu. Czyż nie był jednym z najznakomitszych rycerzy Europy? Czy nie pod jego dowództwem armie Granbretanu podbiły cały kontynent? Czy to nie on poprowadził te same armie na Środkowy Wschód, włączając kolejne terytoria w granice Mrocznego Imperium? Dlaczego Król-Imperator miałby znieważać go w ten właśnie sposób? Meliadus, najważniejszy pośród rycerstwa Granbretanu, powinien mieć pierwszeństwo przed wszystkimi śmiertelnikami.

Spodziewał się, że uknuto przeciwko niemu jakąś intrygę. Z tego, co mówił Taragorm, a zapewne powtarzali także inni, wynikało, że panowała opinia, iż sprawy wymykają mu się z rąk. Lecz tylko głupcy mogli nie dostrzegać zagrożenia, jakie stwarzali Hawkmoon, hrabia Brass oraz Huillam d'Averc. Jeśli nie załatwi się z nimi do końca porachunków, gotowi są poderwać ludzi do rebelii i znacznie opóźnić dalsze podboje. Czyżby Król Huon dał posłuch jego wrogom? Nie, Król-Imperator był mądry, kierował nim obiektywizm. W przeciwnym razie nie byłby zdolny do rządzenia... Meliadus z przerażeniem odrzucił dalsze wnioski.

Nabijane klejnotami drzwi zaczęły się w końcu powoli otwierać, a kiedy rozchyliły się na tyle, by przepuścić człowieka, zwawym krokiem wyszedł przez nie korpulentny mężczyzna.

— Shenegar Trott! — wykrzyknął Meliadus. — To przez ciebie musiałem czekać tak długo?

Silne światła korytarza zagrały refleksami na srebrnej masce Trotta.

— Wybacz, baronie Meliadusie. Przyjmij moje przeprosiny. Musieliśmy przedyskutować wiele szczegółów, ale skończyliśmy już. Otrzymałem misję, mój drogi. Misję! Cóż to za misja, cha, cha!

Zanim Meliadus zdołał zadać mu choćby jedno pytanie, tamten pośpiesznie oddalił się.

Z sali tronowej dobiegł młodzieńczy, dźwięczny głos — głos samego Króla-Imperatora.

— Teraz mogę cię przyjąć, baronie Meliadusie.

Strażnicy w maskach modliszek rozstąpili się, przepuszczając Meliadusa do sali tronowej. W gigantycznej komnacie pomalowanej w jaskrawe barwy, gdzie wzdłuż ścian zwisały różnokolorowe sztandary pięciuset najznamienitszych rodów



Granbretanu, pod którymi stały szeregi — po tysiąc z każdej strony — nieruchomych strażników w maskach modliszek, baron Meliadus z Kroiden uniżenie dotknął czołem posadzki.

Jedna za drugą bogato rzeźbione galerie wznosiły się piętrami ku półkolistemu sklepieniu. Zbroje żołnierzy z Zakonu Modliszki połyskiwały czernią, zielenią i złotem.

Kiedy podniósł się na nogi, dostrzegł w oddali, jako białą plamkę na tle zielono-purpurowej ściany, Kulę Tronową Króla-Imperatora.

Dojście wolnym krokiem w to miejsce zajęło Meliadusowi dwadzieścia minut. Tu ponownie padł twarzą na posadzkę. Kulę wypełniała powoli wirująca mlecznobiała ciecz, którą od czasu do czasu przecinały opalizujące krwistoczerwone i błękitne żyłki. Wewnątrz tego fluidu tkwił Król Huon — zwinięta na kształt płodu, pomarszczona, prastara i nieśmiertelna istota, w której żywe wydawały się jedynie czarne oczy o przenikliwym, złowieszczym spojrzeniu.

— Baronie Meliadusie — rozległ się ponownie dźwięczny głos, wyrwany z gardła jakiegoś pięknego młodzieńca, by zapewnić Królowi Huonowi zdolność mowy.

— Wasza Wysokość — mruknął Meliadus. — Dziękuję ci za wspaniałomyślność przyjęcia mnie na audiencji.

— Z jakiego to powodu prosisz nas o posłuchanie? — W głosie pojawiły się odcienie sarkazmu i zniecierpliwienia. — Czyżbyś jeszcze raz chciał usłyszeć pochwały za zdobycie dla nas całej Europy?

— Starczy mi wyrazów uznania, Najszlachetniejszy Panie. Chciałem ostrzec cię, że nadal zagraża nam niebezpieczeństwo w Europie...

— Co takiego? A więc nie zdołaliście jeszcze podbić całego

kontynentu?

— Ależ tak, Wielki Imperatorze, twe włości rozciągają się od morza do morza, aż po same granice Moskovii, a nawet dalej. Niewiele jest ludzi nie będących jeszcze naszymi niewolnikami. Lecz mnie chodzi o tych, którym udało się uciec...

— O Hawkmoona i jego przyjaciół?

— Właśnie, Potężny Królu-Imperatorze.

— Przepędziłeś ich. Nie mogą nam w żaden sposób zagrozić.

— Dopóki żyją, stanowią zagrożenie, Najszlachetniejszy Panie, gdyż udaną ucieczką mogą zaszczepić nadzieję innym, a my musimy zniszczyć jakąkolwiek nadzieję wśród poddanych, inaczej trudno będzie utrzymać wśród nich dyscyplinę.

— Niejednokrotnie już rozprawiałeś się z buntownikami, umiesz sobie z nimi radzić. Obawiamy się, baronie Meliadusie, że zaczynasz przedkładać ponad interesy twojego Króla-Imperatora swoje osobiste porachunki...

— Moim interesem są twoje pragnienia, Wielki Królu-Imperatorze, a twoje sprawy są zarazem moimi. Nie da się ich rozdzielić. Czyż nie jestem najbardziej lojalnym z twoich sług?

— Możliwe, że za takiego się uważasz, baronie Meliadusie. Niewykluczone, że twoim zdaniem...

— Co chcesz przez to powiedzieć, Wszechmocny Monarcho?

— Chcę powiedzieć, że twoja obsesja na punkcie tego Germanina, Hawkmoona, oraz garstki wieśniaków będących jego przyjaciółmi nie musi być zbieżna z naszymi zainteresowaniami. Oni nie wrócą, a gdyby odważyli się na to, wtedy bez trudu poradzimy sobie z nimi. Obawiamy się, że jedynym motywem twojego działania jest pragnienie zemsty, które to pragnienie w twoim umyśle łączy się z przekonaniem, że ci, na których chciałbyś wyrzucić zemstę, stanowią zagrożenie dla całego

Mrocznego Imperium.

— Nie! Przysięgam, że to nieprawda, Najwyższy Władco!

— Zostaw ich własnemu losowi, Meliadusie. Rozprawisz się z nimi, jeżeli powrócą.

— Wielki Królu, oni stwarzają potencjalne zagrożenie dla Imperium. Muszą być związani z jakimiś innymi siłami, które udzielają im pomocy. Skąd bowiem wzięliby maszynę, dzięki której mogli zniknąć, kiedy już mieliśmy ich zniszczyć? Nie dysponuję w tej chwili żadnymi dowodami, lecz gdybyś pozwolił mi pracować z Taragormem i wykorzystać jego wiedzę do odnalezienia schronienia Hawkmoona i jego kompanów, wtedy zdobędę dowody i uwierzysz mi!

— Wątpimy w to, Meliadusie. Bardzo wątpimy... — W dźwięcznym głosie pojawiły się wyraźnie posępne tony. — Lecz jeśli nie przeszkodzi ci to w wykonywaniu innych obowiązków na dworze, jakie mamy zamiar ci powierzać, możesz odwiedzić pałac Lorda Taragorma i poprosić go o pomoc w odnalezieniu twoich wrogów...

— Naszych wrogów, Najwyższy Władco...

— Zobaczymy, baronie Meliadusie. Zobaczymy.

— Dziękuję za okazane mi zaufanie, Wasza Wysokość. Ja...

— Audiencja nie dobiegła jeszcze końca, baronie Meliadusie. Nie powiedzieliśmy ci jeszcze o twoich obowiązkach na dworze, o których już wspomnieliśmy.

— Będę zaszczycony, mogąc je wypełniać, Szlachetny Panie.

— Mówiłeś, że ze strony Kamargu zagraża nam niebezpieczeństwo. Wierzimy jednak, że zagrożenie tkwi gdzie indziej. Dla ścisłości, niepokoi nas, że nowi wrogowie mogą nadciągnąć ze Wschodu, a z tego, co nam wiadomo, dorównują oni potęgą Mrocznemu Imperium. Myślimy, że może to mieć

związek z twoimi podejrzeniami dotyczącymi Hawkmoona i jego tajemniczych sprzymierzeńców, gdyż możliwe jest, że właśnie dzisiaj będziemy przyjmowali na naszym dworze przedstawicieli tychże sprzymierzeńców...

— W takim razie, Potężny Królu-Imperatorze...

— Nie skończyliśmy jeszcze, baronie Meliadusie!

— Błagam o wybaczenie, Najszlachetniejszy Panie.

— Wczoraj wieczorem pojawili się u bram Londry dwaj obcy, którzy utrzymują, iż są emisariuszami Imperium Azjokomuny. Przybyli w jakiś tajemniczy sposób, co wskazuje, że znane są im metody transportu, których my nie zgłębiliśmy. Stwierdzili, że wyruszyli ze swojej stolicy zaledwie dwie godziny wcześniej. Naszym zdaniem powierzono im misję wybadania naszych sił; czyniliśmy zresztą podobnie na interesujących nas obszarach. My również powinniśmy spróbować ich wysondować, gdyż nadejdzie taka chwila, nawet jeśli nie będzie to w najbliższej przyszłości, kiedy znajdziemy się z nimi w konflikcie. Bez wątpienia dowiedzieli się o naszych podbojach na Bliskim i Środkowym Wschodzie i to ich zaniepokoiło. Musimy dowiedzieć się o nich jak najwięcej, przekonać ich, że nie żywimy w stosunku do nich wrogich zamiarów, i postarać się nakłonić, by pozwolili naszym emisariuszom odwiedzić ich terytoria. Gdyby okazało się to możliwe, chcielibyśmy,

żebyś ty, Meliadusie, był jednym z emisariuszy, gdyż masz największe doświadczenie w dyplomacji spośród wszystkich naszych sług.

— To niepokojące nowiny, Wielki Imperatorze.

— Owszem. Trzeba po prostu jak najlepiej się zabezpieczyć przed tym, co nas czeka. Będiesz ich przewodnikiem. Traktuj tych obcych z szacunkiem, zdobądź ich zaufanie i spróbuj

wydobyć jakieś informacje dotyczące ich potęgi, wielkości terytorium, liczby żołnierzy, którymi dysponuje monarcha, jakości uzbrojenia oraz zdolności w zakresie transportu. Jak sam widzisz, baronie Meliadusie, ta wizyta przywodzi na myśl znacznie poważniejsze potencjalne zagrożenie niż to, jakie stwarza hrabia Brass i ludzie, którzy zniknęli razem z jakimś tam zamkiem.

— Możliwe, Najszlachetniejszy Panie...

— Z całą pewnością, baronie Meliadusie! — Spomiędzy pomarszczonych warg wyskoczył chwytny język. — To twoje najważniejsze zadanie. Jeśli zostanie ci trochę wolnego czasu, będziesz mógł go poświęcić swojej zemście na Dorianie Hawkmoonie i całej reszcie.

— Ależ, Potężny Królu-Imperatorze...

— Dobrze wypełnij to zadanie, Meliadusie. Nie zawieź nas. — W głosie zabrzmiała wyraźna już groźba. Język dotknął niewielkiego klejnotu, unoszącego się we fluidzie w pobliżu głowy, i Kula Tronowa zaczęła tracić przejrzystość, a po chwili przybrała wygląd jednolitej czarnej bryły.

## ROZDZIAŁ VII

### EMISARIUSZE



**B**aron Meliadus nie mógł pozbyć się wrażenia, że Król-Imperator przestał mu ufać i wyraźnie zbagatelizował sugestie o zagrożeniu ze strony mieszkańców Zamku Brass. Królowi udało się wprawdzie ostatecznie go przekonać, iż powinien przystąpić z dużym zaangażowaniem do rozmów z dziwnymi emisariuszami, schlebił mu nawet, wspominając, że tylko on może sobie poradzić z tym problemem i że zyska zarazem sposobność, by w późniejszym czasie zostać nie tylko Pierwszym Rycerzem Europy, lecz także Najznamienitszym Rycerzem Azjokomuny. Zainteresowanie Meliadusa Azjokomuny było jednakże wyraźnie mniejsze niż zainteresowanie Zamkiem Brass — wierzył bowiem, że istnieją podstawy do tego, by uważać zagrożenie Mrocznego Imperium ze strony Zamku Brass za realne, podczas gdy monarcha nie dysponował żadnymi dowodami na to, że istnieje takowe ze strony Azjokomuny.

Odziany w najbardziej wykwintny strój i najlepszą maskę, Meliadus podążał przez połyskliwe korytarze pałacu w stronę holu, gdzie poprzedniego dnia szukał pomocy Taragorma. Dziś miała się tam odbyć inna uroczystość — powitanie, z odpowiednim ceremoniałem, gości ze Wschodu.

Występował w zastępstwie Króla-Imperatora, powinien zatem

zostać przyjęty z pełnymi honorami, zyskiwał bowiem prestiż pierwszego po samym Królu Huonie. Lecz nawet ta świadomość nie zdołała rozświetlić jego wypełnionych mściwością myśli. Wkroczył do holu przy dźwięku fanfar rozbrzmiewających z galerii, które biegły wzdłuż ścian. Czekali tu zgromadzeni wszyscy szlachcice Granbretanu w olśniewających uroczystych strojach. Emisariusze z Azjokomuny nie zostali jeszcze wprowadzeni. Baron skierował się ku podwyższeniu, na którym ustawiono trzy złote trony, wszedł po schodkach i usiadł na środkowym. Tłum szlachty skłonił się przed nim i po chwili hol zaległa wyczekująca cisza. Meliadus nie miał jeszcze okazji widzieć emisariuszy, do tej pory opiekował się nimi kapitan Viel Phong z Zakonu Modliszki.

Rozejrzał się po zgromadzonych, zauważając obecność Taragorma, Flany, hrabiny Kanbery, Adaza Prompa i Mygela Holsta, Jereka Nankenseena oraz Brenala Farnu. Zdumiał się, ale przez dłuższą chwilę nie mógł uzmysłwić sobie, co go tak zaskoczyło. Wreszcie zrozumiał, że spośród wszystkich wielkich wodzów brakowało jedynie Shenegara Trotta. Przypomniał sobie, że tamten wspominał o ważnej misji. Czyżby już wyruszył, żeby ją wypełnić? Dlaczego on, Meliadus, nie został poinformowany o wyprawie Trotta? Czy utrzymywano coś w tajemnicy przed nim? Czyżby rzeczywiście tracił zaufanie Króla-Imperatora? Pełen niepokoju odwrócił się, kiedy fanfary rozbrzmiały ponownie i drzwi holu otwarto przed dwoma cudacznie wystrojonymi postaciami.

Odruchowo powstał z tronu, zdumiony widokiem fantastycznych barbarzyńców — byli gigantami ponad dwumetrowego wzrostu i poruszali się na sztywnych nogach niczym automaty. „Czy to ludzie?” — przemknęło mu przez myśl.

Do tej pory nie sądził nawet, że mogą być odmiennymi istotami. Niewykluczone, że owe monstrualne stworzenia powstały w efekcie Tragicznego Millenium. A może mieszkańcy Azjokomuny w ogóle nie byli ludźmi?

Ukrywali oblicza, podobnie jak Granbretañczycy, za maskami — o ile te dziwne konstrukcje, jakie nosili na ramionach, można było tak nazwać — nie udało się zatem stwierdzić, czy mają ludzkie twarze. Wysokie, nieregularne, owalne zasłony wykonane były ze skóry malowanej w jaskrawe, niebieskie, zielone, żółte i czerwone spiralne wzory, na tle których widniały diabelskie rysy — płonące oczy i rzędy obnażonych kłów. Od ramion aż do ziemi okrywały ich ciężkie futrzane kożuchy, a ponieważ były rozpięte, odsłaniały skórzane stroje zdobione karykaturalnymi wizerunkami ludzkich organów, które Meliadusowi przypominały rysunki, jakie oglądał w atlasach anatomicznych. Herold przedstawił gości:

— Lord Komisarz Kaow Shalang Gatt, Dziedziczny Przedstawiciel Prezydenta-Imperatora Azjokomuny, Jong Mang Shena, oraz księżę Elekt Zastępów Słońca.

Pierwszy emisariusz wystąpił do przodu, przy czym poły jego kożucha odgięły się, odsłaniając podszewkę z wielobarwnego grubego jedwabiu, a zarazem zdradzając, że mężczyzna miał sporo ponad metr szerokości w ramionach. W dłoni dzierżył buławę z wysadzanego klejnotami złota, która — sądząc po sposobie, w jaki ją trzymał — musiała być co najmniej samą Magiczną Laską.

— Lord Komisarz Orkai Heong Phoon, Dziedziczny Przedstawiciel Prezydenta-Imperatora Azjokomuny, Jong Mang Shena, oraz księżę Elekt Zastępów Słońca.

Drugi, podobnie ubrany, chociaż nie mający buławy człowiek



— o ile był to człowiek — zrobił kilka kroków do przodu.

— Witam szlachetnych emisariuszy Prezydenta-Imperatora Azjokomuny, Jong Mang Shena, i pragnę zapewnić, że cały Granbretan jest do ich dyspozycji, by wypełniać wyrażone przez nich życzenia. — Meliadus rozłożył szeroko ramiona.

Człowiek z buławą zatrzymał się przed podwyższeniem i zaczął przemawiać z dziwnym, śpiewnym akcentem, jak gdyby język Granbretanu, a w rzeczywistości całej Europy i Bliskiego Wschodu, nie był jego ojczystym językiem.

— Dziękujemy bardzo serdecznie za to powitanie i pokornie prosimy o oświecenie, jakież to potężny wódz raczył nas przyjąć.

— Jestem baron Meliadus z Kroiden, Wielki Konstabl Zakonu Wilka, Najświetniejszy Rycerz Europy, Przedstawiciel Nieśmiertelnego Króla Huona Osiemnastego, Władcy Granbretanu, Europy i Ligi Wszystkich Krajów Śródziemnomorskich, Wielkiego Konstabla Zakonu Modliszki, Pana Przeznaczenia, Twórcy Historii, Potężnego i Wszechmocnego Księcia nad Księciami. Witam was tak, jak on by was powitał, przemawiam jego słowami, postępuję zgodnie z jego życzeniami, musicie bowiem wiedzieć, że będąc nieśmiertelnym nie może on opuścić chroniącej go tajemnej Kuli Tronowej, strzeżonej dniem i nocą przez tysiąc gwardzistów. — Meliadus uznał za stosowne opisać nieco szerzej ochronę Króla-Imperatora, aby wywrzeć wrażenie na gościach, tak by stało się dla nich jasne, że porwanie się na życie Króla Huona było niemożliwością. Po chwili dodał, wskazując dwa trony po jego bokach: — Usiądźcie, proszę. Zabawimy się nieco.

Dwie dziwaczne postacie weszły po schodkach i z niejaką trudnością zasiadły w złoconych siedziskach. Nie przygotowano bankietu, ponieważ mieszkańcy Granbretanu gardzili jedzeniem,

traktowali je jako czynność osobistą, związaną nieodłącznie z koniecznością zdjęcia maski i zgrozą obnażenia twarzy. Tylko trzy razy do roku zdejmowano publicznie maski oraz całą odzież, kiedy w zamkniętej Sali Tronowej, na oczach żadnego sensacji Króla Huona, odbywały się trwające cały tydzień orgie połączone z przerażającymi i krwawymi ceremoniami, których nazwy istniały jedynie w tajemnych językach poszczególnych zakonów i o których nie wspomiano nigdy, z wyjątkiem owych okazji.

Baron Meliadus klasnął w dłonie, dając znak do rozpoczęcia występów. Tłum dworzan rozdzielił się niczym kurtyna, zajmując miejsca wzdłuż dwóch boków holu, na środek zaś wybiegli akrobaci, linoskoczkowie i klauni, a z galerii na górze rozbrzmiała skoczna muzyka. Ludzkie piramidy chwiały się, załamywały, po czym szybko rozsypywały by zaraz utworzyć następną, jeszcze bardziej skomplikowaną konstrukcję. Klauni wywijali koziołki i robili sobie nawzajem niebezpieczne, lecz gorąco przyjmowane przez publiczność kawały, natomiast akrobaci i linoskoczkowie przemykali wśród nich z niewiarygodną szybkością, chodzili po linach rozpiętych między galeriami i pokazywali ewolucje na trapezach wysoko nad głowami widzów.

Flana z Kanbery nie patrzyła na ekwilibrystyczne popisy, nie dostrzegała także nic zabawnego w poczynaniach komików. Zwróciła swą piękną maskę czapli ku obcym, zaszczycając ich niezwykłym jak na nią zainteresowaniem. Rozmyślała o tym, że chciałaby poznać ich lepiej, przekonać się, czy w ich towarzystwie znajdzie jakieś niecodzienne rozrywki, zwłaszcza że zgodnie z jej oceną nie byli zwykłymi ludźmi.

Meliadus, który nie mógł pozbyć się myśli, że Król Huon uprzedził się do niego, a rywale uknuli jakiś spisek, za wszelką

cenę starał się okazać gościom uprzejmość. Gdyby tylko chciał, mógłby ich oczarować — podobnie jak kiedyś wywarł wrażenie na hrabi Brassie — swoim dostojenstwem, dowcipem oraz męstwem, lecz tego dnia wymagałoby to od niego ogromnego wysiłku i obawiał się, że będzie to wyraźnie wyczuwalne w jego głosie.

„Czy podobne rozrywki odpowiadają waszym gustom, szlachetni panowie z Azjokomuny?” — mógłby zapytać, a w odpowiedzi otrzymać zaledwie nieznaczne skinienie gigantycznych masek. „Czyż ci klauni nie są zabawni?” — na co Kaow Shalang Gatt, dzierżący złote berło, zbyłby go ruchem dłoni. Albo: „Cóż za umiejętności! Przywieźliśmy tych sztukmistrzów z naszych posiadłości w Italii, natomiast linoskoczkowie byli niegdyś własnością księcia Krahkova. Macie chyba na dworze waszego Imperatora równie zdolnych akrobatów...?” A wówczas ten drugi, o nazwisku Orkai Heong Phoon, mógłby poruszyć się niespokojnie, jakby nie chcąc okazać niezadowolenia. W każdym wypadku barona Meliadusa ogarnęłoby zniecierpliwienie oraz narastające poczucie, że te osobliwe istoty uważają się za lepsze od niego albo po prostu są znudzone jego wysiłkami zachowania uprzejmości. Z tego właśnie powodu z każdą chwilą coraz trudniej przychodziło mu rozpoczęcie nic nie znaczącej rozmowy, gdyż tylko taka możliwa była w trakcie występów.

Po dłuższym czasie wstał i klasnął w dłonie.

— Dość tego. Odeślijcie ich. Popatrzmy teraz na bardziej egzotyczne sporty. — Rozchmurzył się nieco, kiedy na salę wkroczyła grupa gimnastyków seksualnych, cieszących się dużą popularnością wśród zdeprawowanych mieszkańców Mrocznego Imperium. Odchrząknął, rozpoznając niektórych z wykonawców,

po czym rzekł, wskazując ich gościom: — Tamten był kiedyś księciem Madżarii, a te dwie bliźniaczki to siostry króla Turcji. Blondynkę pojmałem własnoręcznie. Ogier pochodzi ze stajni bułgarskiej, sam wytrenowałem wiele podobnych. — Występy podziałały jak balsam na napięte nerwy barona Meliadusa z Kroiden, emisariusze Prezydenta-Imperatora Jong Mang Shena siedzieli jednak tak samo małowólni i niewzruszeni, jak poprzednio.

Wreszcie przedstawienie dobiegło końca i artyści wyszli z sali ku wyraźnej uldze emisariuszy. Odprężony Meliadus zaczął się zastanawiać, czy w żyłach gości w ogóle płynie krew. Po chwili dał znak do rozpoczęcia balu.

— A teraz, panowie — rzekł, podnosząc się z tronu — powinniśmy pójść między ludzi, byście mogli poznać tych, którzy mieli zaszczyt uczestniczyć w dzisiejszej uroczystości.

Goście z Azjokomuny poszli na sztywnych nogach za Meliadusem. Przewyższali o głowę najwyższych mężczyzn spośród zgromadzonych w holu.

— Czy macie ochotę zatańczyć? — spytał baron z Kroiden.

— Żałuję, ale my nie tańczymy — odparł Kaow Shalang Gatt bezbarwnym głosem.

Etykieta wymagała, by pierwszy taniec należał do gości, potem ruszali w tany inni, dlatego też w ogóle zrezygnowano z tańców. Meliadus zachmurzył się. Czego właściwie Król Huon spodziewał się po nim? Co można było zrobić z tymi automatami?

— Czyżbyście nigdy nie tańczyli w Azjokomunie? — zapytał drżącym od tłumionej złości głosem.

— Przypuszczam, że my gustujemy w zupełnie innych rodzajach tańców — stwierdził Orkai Heong Phoon i chociaż jego głos pozbawiony był jakiegokolwiek intonacji, Granbretańczyk po

raz kolejny odniósł wrażenie, że podobne rozrywki uwłaczają godności szlachcica Azjokomuny. Pomyślał, że z coraz większym trudem przychodzi mu zachowanie uprzejmości w stosunku do dumnych przybyszów. Meliadus nie był przyzwyczajony do tłumienia własnych uczuć w obecności byle cudzoziemców, obiecał sobie zatem przyjemność rozprawienia się właśnie z tymi dwoma, kiedy otrzyma przywilej poprowadzenia którejś z armii na podbój Dalekiego Wschodu.

Zatrzymał się przed Adazem Prompem, który nisko pokłonił się gościom.

— Mam zaszczyt przedstawić jednego z naszych najwybitniejszych wodzów, hrabiego Adaza Prompa, Wielkiego Konstabla Zakonu Psa, Księcia Parii i Protektora Monchainu, Komandora Dziesięciu Tysięcy.

Zdobna maska przedstawiająca pysk psa skłoniła się ponownie.

— Hrabia Adaz dowodził wojskami, które zajęły główną część kontynentu europejskiego w dwa lata, podczas gdy liczyliśmy się z dwudziestoletnią wojną — kontynuował Meliadus. — Jego zastępy są niezwyciężone.

— Baron pochlebia mi — odezwał się Adaz Promp. — Jestem pewien, że dysponujecie w Azjokomunie potężniejszymi legionami, szlachetni panowie.

— Możliwe, trudno to ocenić. Wydaje mi się, że pańska armia jest równie waleczna, jak nasi łowcy smoków — stwierdził Kaow Shalang Gatt.

— Łowcy smoków? A cóż to takiego? — wtrącił Meliadus, przypomniawszy sobie o zadaniu powierzonym mu przez Króla-Imperatora.

— Nie macie tych stworzeń w Granbretanie?

— Możliwe, że znamy je pod inną nazwą. Czy mógłbyś je opisać, panie?

Kaow Shalang Gatt machnął berłem.

— Są mniej więcej dwa razy wyższe od człowieka, to znaczy od nas. Mają po siedemdziesiąt niesłychanie ostrych zębów, są pokryte gęstą sierścią, a ich szpony przypominają kocie pazury. Wykorzystujemy je do polowań na te gady, których nie wytresowaliśmy jeszcze na potrzeby armii.

— Rozumiem — mruknął Meliadus. Przyszło mu na myśl, że armia stojąca naprzeciw takim bestiom będzie musiała zastosować specjalną taktykę. — Ilu łowców smoków udało się wam wyćwiczyć w walce?

— Wystarczająco dużo — odparł gość.

Poszli dalej, witając się z kolejnymi szlachcicami i towarzyszącymi im damami, a wszyscy zadawali przygotowane wcześniej pytania, podobne do zadanego przez Adaza Prompa, które miały na celu stworzenie Meliadusowi możliwości wydobycia z emisariuszy jak najwięcej informacji. Wkrótce stało się jednak jasne, że o ile dość chętnie mówili o potędze swych wojsk i ich uzbrojeniu, to jednak byli na tyle ostrożni, by nie ujawniać takich szczegółów jak liczebność armii. Meliadus zrozumiał, iż będzie musiał poświęcić o wiele więcej czasu niż jeden wieczór na zdobycie jakichś ważniejszych danych, miał zresztą przeczucie, że w ogóle nie uda mu się ich zdobyć.

— Nauka u was jest z pewnością bardzo rozwinięta — powiedział, kiedy przedzierali się przez tłum. — Prawdopodobnie bardziej od naszej.

— Niewykluczone — odparł Orkai Heong Phoon. — Zbyt mało wiemy o waszych osiągnięciach. Byłoby niezwykle interesujące porównać je z naszymi.

— Owszem — przyznał Meliadus. — Słyszałem na przykład, że wasza maszyna latająca przeniosła was na odległość kilku tysięcy kilometrów w bardzo krótkim czasie.

— To nie była maszyna latająca — oświadczył Orkai Heong Phoon.

— Nie? A zatem jak...?

— Nazywamy to powozem ziemnym. Potrafi przemieszczać się pod ziemią...

— W jaki sposób go napędzacie? Co powoduje rozstępowanie się przed nim ziemi?

— Nie jesteśmy naukowcami — wtrącił Kaow Shalang Gatt. — Nie mamy zamiaru poznawać sposobów działania naszych urządzeń. Podobne problemy zostawiamy niższemu kastom.

Po raz kolejny czując się zlekceważony, baron z Kroiden stanął przed osłoniętą piękną maską czapli hrabiną Flaną Mikosevaar. Przedstawił ją gościom.

— Jesteście bardzo wysocy — powiedziała gardłowym głosem kłaniając się. — Tak, bardzo wysocy...

Meliadus chciał iść dalej, zmieszany zachowaniem hrabiny Mikosevaar, której zresztą nie spodziewał się tu zastać. Przedstawił ją tylko po to, by zapełnić chwilę milczenia, jaka zapadła po ostatniej uwadze przybysza. Lecz ona dotknęła ramienia Orkai Heong Phoona.

— I jesteście tak mocno zbudowani — dodała.

Emisariusz nie odpowiedział, stał przed nią nieruchomo. „Czyżby poczuł się urażony? — przemknęło przez myśl Meliadusowi. Stanowiłoby to dla niego drobną satysfakcją. Nie podejrzewał, żeby emisariusze się poskarżyli, wiedział bowiem, że tak samo w interesie tamtych leżą dobre stosunki z Granbretańczykami, jak w interesie możnowładców

Granbretanu, przynajmniej na tym etapie, leżało zachowanie dobrych układów z obcymi.

— Czy mogę zabawić was w jakiś sposób, panowie? — zapytała Flana energicznie gestykułując.

— Dziękujemy, ale w tej chwili nic konkretnego nie przychodzi nam na myśl — odparł przybysz i ruszyli dalej.

Zdumiona Flana spoglądała ich śladem. Nigdy przedtem jej względy nie zostały odrzucone, toteż zaczęli ją mocno intrygować. Stwierdziła, że musi później, w bardziej stosownym czasie, gruntowniej wy badać obcych. Te małomówne, poruszające się na sztywnych nogach istoty wywarły na niej silne wrażenie. Przypominali jej stwory z metalu. Zadała sobie w duchu pytanie, czy cokolwiek jest w stanie obudzić w nich ludzkie emocje.

Ich gigantyczne maski z malowanej skóry pochyliły się nad głowami tłumu, kiedy Meliadus przedstawiał im Jereka Nankenseena i jego żonę, księżnę Falmolivę Nankenseen, która za młodych lat brała udział w bitwach u boku męża.

Gdy zakończyli wreszcie przemarsz przez salę, baron z Kroiden wrócił na złocony tron, z narastającym zaciekawieniem i poczuciem frustracji zastanawiając się, gdzie przebywa jego rywal, Shenegar Trott, i dlaczego Król Huon nie zaufał mu i nic nie powiedział o misji Trotta. Z całego serca pragnął pozbyć się uciążliwych obowiązków i pospieszyć do laboratoriów Taragorma, by ocenić postępy prac Mistrza Pałacu Czasu i dowiedzieć się, czy istnieje jakakolwiek możliwość odkrycia położenia w czasie i przestrzeni znienawidzonego Zamku Brass.



## ROZDZIAŁ VII

### MELIADUS W PAŁACU CZASU



Wczesnym rankiem następnego dnia, po męczącej nocy — bo choć świadomie zrezygnował ze snu, nie mógł jednak znaleźć ukojenia — Meliadus wyruszył na spotkanie z Taragormem w Pałacu Czasu.

Zaledwie kilka ulic w Londrze otwierało się ku górze. Domy, pałace, magazyny i koszary były w większości połączone ze sobą i tworzyły mroczne pasáže, których ściany w bogatszych dzielnicach miasta szokowały jaskrawymi barwami emaliowanego szkła, w uboższych zaś odpychały oślizgłą powierzchnią ciemnego kamienia.

Meliadus pokonał drogę pasażami, niesiony w osłoniętej lektyce przez tuzin niewolnic — nagich, o silnie uróżowanych ciałach; tylko takim zresztą niewolnicom pozwalał sobie usługiwać. Miał zamiar zakończyć wizytę u Taragorma, zanim jeszcze obudzą się ci nudni szlachcice z Azjokomuny. Przypuszczał, że są reprezentantami narodu pomagającego Hawkmoonowi i całej reszcie, nie miał jednak na to żadnego dowodu. Gdyby spełniły się jego nadzieje związane z wynalazkiem Taragorma, mógłby wówczas znaleźć odpowiednie dowody i przedstawić je Królowi Huonowi, umacniając jeszcze swą pozycję, a zarazem pozbywając się uciążliwych obowiązków

gospodarza i przewodnika emisariuszy.

Pasaże zaczęły się w końcu poszerzać, a jednocześnie przybierały na sile dziwne odgłosy — głucho dudnienia i rytmiczny, miarowy huk. Meliadus domyślił się, że słyszy zegary Taragorma.

Im bliżej byli wejścia do Pałacu Czasu, tym bardziej ogłuszający stawał się hałas — tysiąc gigantycznych wahadeł poruszało się w tysiącu odmiennych rytmów, maszyna brzęczała i syczała, młotki uderzały w dzwony, gongi i cymbały, pokrzykiwały mechaniczne ptaki i rozbrzmiewały mechaniczne głosy. Zlewało się to w niesamowity, denerwujący jazgot, a ponieważ niezależnie od tego, że wewnątrz zgromadzono kilka tysięcy różnej wielkości zegarów, sam pałac także stanowił gigantyczny, będący dla pozostałych nadrzędnym regulatorem zegar, ponad to wszystko wybijał się powolny, ciężki, grzmiący echem rytm masywnej zapadki wychwyty, umieszczonej wysoko pod dachem, oraz świst monstrualnego wahadła przecinającego powietrze w Sali Wahadłowej, gdzie Taragorm przeprowadzał większość swoich eksperymentów.

Gdy lektyka Meliadusa znalazła się przed stosunkowo niewielkimi, wykonanymi z brązu drzwiami, na drodze stanął im mechaniczny człowiek, a jego sztuczny głos z trudem przedarł się przez huk zegarów.

— Kto odwiedza Lorda Taragorma w Pałacu Czasu?

— Baron Meliadus, jego szwagier, z zezwolenia Króla-Imperatora — odparł, zmuszony do krzyku.

Drzwi pozostawały zamknięte o wiele dłużej, niż można się było tego spodziewać, wreszcie rozchyliły się powoli, przepuszczając lektykę.

Weszli do holu o zakrzywionych metalowych ścianach,

stwarzających pozór wnętrza podstawy zegara. Hałasy nasiliły się. Całe pomieszczenie wypełniały tak ogłuszające stuknięcia, łomoty, warczenia, bębnienia, dudnienia, świsty i dzwonienia, że gdyby nie olbrzymi wilczy hełm na głowie Meliadusa, z chęcią zakryłyby uszy dłońmi. Nie mógł tego jednak uczynić, toteż stopniowo zaczął nabierać przekonania, że niedługo ogłuchnie do reszty.

Minęli hol i przeszli do sali o ścianach wyłożonych gobelinami, które, jak należało się spodziewać, przedstawiały w uproszczony sposób setki różnych urządzeń do odmierzania czasu i w znacznym stopniu tłumiły hałas. Niewolnice postawiły lektykę na podłodze, a baron Meliadus dłonią w rękawicy rozsunął firanki i czekał na pojawienie się szwagra.

Znowu kazano mu straszliwie długo czekać, nim wreszcie otworzyły się drzwi w odległym końcu sali. Gospodarz podszedł do niego majestatycznym krokiem, kiwając przy tym swą wielką maską przedstawiającą zegar.

— Jest bardzo wczesna pora, bracie — oznajmił Taragorm. — Wybacz mi, że kazałem na siebie czekać, nie jadłem jednak jeszcze śniadania.

Baronowi przemknęło przez myśl, że Taragorm nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do szczegółów etykiety.

— Wybacz mi, bracie — warknął. — Spieszyłem, by zapoznać się z twoją pracą.

— Jestem zaszczycony. Pójdź za mną, bracie.

Taragorm odwrócił się i ruszył w kierunku tych samych drzwi, którymi wszedł. Meliadus niemal deptał mu po piętach.

Przeszli licznymi korytarzami o ścianach wyściełanych arrasami, aż w końcu Taragorm z trudem uniósł sztabę zamykającą ciężkie drzwi, a kiedy te otworzyły się, otoczył ich

nagle świst silnego wiatru i huk gigantycznego, odzywającego się w nieznośnie powolnym rytmie bębna.

Meliadus odruchowo spojrział w górę i dostrzegł nad głową rozcinające powietrze wahadło; ruch pięćdziesięcotonowego mosiężnego ciężaru, rzeźbionego na kształt stylizowanego promiennego słońca powodował tak silny przeciąg, że gobeliny w korytarzu za nimi zaczęły łopotać na ścianach, a poły płaszcza Meliadusa uniosły się w górę niczym para ciężkich jedwabistych skrzydeł. Towarzyszył temu świst wichury, a niewidoczna stąd, umieszczona gdzieś pod sklepieniem zapadka wychwyty bębniła z hukiem. Cała ogromna Sala Wahadłowa zastawiona była maszynami znajdującymi się w różnych stadiach konstrukcji oraz stołami ze sprzętem laboratoryjnym, instrumentami z mosiądzu, brązu i srebra, zwojami cieniutkiego złotego drutu, bryłami szlachetnych kruszców oraz wszelkiego typu przyrządami do odmierzenia czasu — zegarami wodnymi, wahadłowymi, dźwigniowymi, kulowymi, zegarkami kieszonkowymi, chronometrami, zegarami listkowymi, szkieletowymi, stołowymi i słonecznymi. Wszędzie krzątali się niewolnicy Taragorma, naukowcy i inżynierowie z wielu podbitych narodów, niejednokrotnie najtęższe umysły ojczystych krajów.

Na oczach Meliadusa w jednym kącie sali buchnął jęzor purpurowych płomieni, w drugim sypnął snop zielonkawych iskier, a po chwili nie wiadomo skąd pojawiła się chmura szkarłatnego dymu. Ujrzał, jak czarna maszyna rozsypuje się w pył, a obsługujący ją człowiek zanosząc się od kaszlu pada na twarz i znika bez śladu.

— Cóż to było? — rozległo się tuż za nim lakoniczne pytanie. Meliadus obejrzał się i dostrzegł Kalana z Yitall, Naczelnego

Naukowca Króla-Imperatora, również będącego gościem Taragorma.

— Eksperyment ze strumieniem przyspieszonego czasu — odparł Taragorm. — Potrafimy go uzyskać, ale nie umiemy jeszcze kontrolować. Jak do tej pory zawodzą wszelkie sposoby. Spójrzcie tam — wskazał wielką jajowatą maszynę z jakiejś żółtej szklistej substancji. — To urządzenie wytwarza efekt odwrotny, którego, niestety, także nie umiemy kontrolować. Stojący obok człowiek — mówił o postaci, którą jego szwagier początkowo wziął za naturalnej wielkości posąg, wyjęty z jakiegoś naprawianego zegara — zamarł w bezruchu na wiele tygodni!

— A co z podróżami w czasie? — zapytał Meliadus.

— Tamta maszyna — wskazał Taragorm — składająca się ze srebrnych sześcianów, z których każdy zawiera osobne, skonstruowane przez nas urządzenie, może przenosić obiekty w czasie, zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość, chociaż nie wiemy, na jak wielkie dystanse. Ale żywe istoty nie są w stanie przetrwać takiej podróży. Kilku niewolników oraz zwierzęta, na których przeprowadzaliśmy próby, wrócili żywi, lecz straszliwie zdeformowani lub śmiertelnie poranieni.

— Gdybyśmy tylko uwierzyli Tozerowi — wtrącił Kalan — pewnie posiadlibyśmy już umiejętność podróżowania w czasie. Nie trzeba było drwić z niego. Ale ja naprawdę nie mogłem uwierzyć, że ten nadęty gryzipiórek posiadał tak wielką tajemnicę!

— Co takiego? O czym mówicie? — zapytał Meliadus, który nie znał historii Tozera. — Sądziłem, że ten dramatopisarz nie żyje. Czyżby wiedział coś o podróżach w czasie?

— Tak, pojawił się znowu, próbując z powrotem wkraść się w łaski Króla-Imperatora opowiadaniem o tym, jak od pewnego

starca z Zachodu nauczył się podróżować w czasie. Stwierdził, że to zwykła sztuczka myślowa. Przyprawiliśmy go tutaj, drwiąc sobie i prosząc, by udowodnił nam, że naprawdę potrafi przenosić się w czasie. I proszę sobie wyobrazić, baronie Meliadusie, że zniknął!

— A wy... nie zrobiliście nic, żeby go zatrzymać...?

— Nikt mu nie wierzył — wtrącił Taragorm. — A ty uwierzyłybyś?

— W każdym razie zachowałbym ostrożność, nakłaniając go do przeprowadzenia próby.

— Sądziłem, że w jego własnym interesie leży powrót do nas. Poza tym, bracie, nie byliśmy zmuszeni chwycić się brzytwy.

— Co chcesz przez to powiedzieć... bracie? — spytał stanowczo baron z Kroiden.

— Tylko tyle, że my pracujemy dla czystej nauki, tobie natomiast potrzebne są natychmiast rezultaty, byś mógł kontynuować swą wendetę przeciwko mieszkańcom Zamku Brass.

— Ja jestem wojownikiem, bracie. Człowiekiem czynu. Nie odpowiada mi spędzanie całego życia na przerzucaniu zabawek i ślęczeniu nad książkami. — Wziąwszy rewanż za obrazę honoru baron Meliadus wrócił do poprzedniego tematu. — Mówicie, że ten dramatopisarz przejął sekret od jakiegoś starca z Zachodu?

— Tak twierdził — odparł Kalan. — Sądzę jednak, że kłamał. Utrzymywał, że podróżuje dzięki mentalnej sztuczce, którą zdołał opanować. Doszliśmy do wniosku, że nie byłby zdolny do czegoś takiego. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zniknął na naszych oczach.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedziano?! — ryknął rozzłoszczony Meliadus.

— Przebywałeś na kontynencie, kiedy to się zdarzyło — wyjaśnił Taragorm. — Ponadto nie sądziliśmy, że może to zainteresować takiego człowieka czynu, jak ty.

— Przecież ta wiedza mogłaby znacznie pomóc w waszych pracach — zauważył Meliadus. — Tym sposobem przegapiliście wyjątkową okazję.

Taragorm wzruszył ramionami.

— Cóż mogliśmy zrobić? Posuwamy się krok po kroku... — przerwał mu głośny huk i wrzask człowieka, a salę zalał fioletowy i pomarańczowy blask — i wkrótce powinniśmy ujarzmić czas, tak jak opanowaliśmy przestrzeń.

— Może za tysiąc lat! — parsknął jego szwagier. — Jakiś starzec z Zachodu? Musimy go zatem odnaleźć. Jak on się nazywa?

— Tozer zdradził jedynie, że ma na imię Mygan i jest czarownikiem o znacznych możliwościach. Lecz, jak już powiedziałem, nie wierzę w to. Cóż znajduje się na Zachodzie poza bezludziem? Od czasu Tragicznego Millenium nikt tam nie mieszka z wyjątkiem zdeformowanych mutantów.

— Musimy się tam udać — oświadczył Meliadus. — Trzeba przeszukać wszystkie zakamarki, nie wolno nam zaprzepaścić żadnej szansy...

— Beze mnie. Nie mam zamiaru błędzić po tych nagich urwiskach, szukając na ślepo — stwierdził Kalan wzruszając ramionami. — Mam tu swoją pracę. Muszę wyposażyć w nowe silniki statki, które pozwolą nam podbić resztę świata równie szybko, jak dokonaliśmy podboju Europy. Poza tym wydaje mi się, że pan również, baronie z Kroiden, otrzymał odpowiedzialne zadanie. Nasi goście...

— Do diabła z nimi. Zabierają tylko mój cenny czas.

— Już niedługo będę mógł zaoferować ci tak wiele czasu, jak tylko zapragniesz, bracie — rzekł Taragorm. — Już wkrótce...

— Ba! Widzę, że nie znajdę tu pomocy. Twoje rozsypujące się pudła i eksplodujące maszyny stanowią dość spektakularny widok, lecz nic mi po nich. Pracuj dalej, bracie. Pracuj dalej. Życzę ci miłego dnia!

Czując przemożną ulgę, że nie musi już dłużej zachowywać manier wobec znieawidzonego szwagra, Meliadus odwrócił się, szybkim krokiem wyszedł z Sali Wahadłowej, przemierzył obite gobelinami korytarze i odnalazł swą lektykę.

Wskoczył do środka rozkazując dziewczynom, by go stąd zabrały. Przez całą drogę powrotną do swego pałacu zastanawiał się nad zdobytymi informacjami.

Przy pierwszej sposobności powinien pozbyć się uciążliwych obowiązków i wyruszyć na Zachód, powędrować śladami Tozera i spróbować odnaleźć starca, znającego nie tylko sekret podróży w czasie, lecz prawdopodobnie także wiele innych tajemnic, może również przydatnych do wywarcia zemsty na mieszkańcach Zamku Brass.



## ROZDZIAŁ IX

### INTERMEDIUM W ZAMKU BRASS



**N**a dziedzińcu zamkowym hrabia Brass oraz Oladahń z Gór Bułgarskich dosiedli rogatych koni, minęli bramę, przejechali między krytymi czerwonymi dachami domami miasteczka i jak co ranka skierowali się ku moczarom.

Hrabia Brass od czasu wizyty Rycerza w Czerni i Złocie nie uciekał już w samotność, przeciwnie, coraz częściej szukał czyjegoś towarzystwa.

Elverezę Tozera trzymano jako więźnia w kilku pokojach jednej z wież. Sprawiał wrażenie uradowanego, gdyż Bowgentle zaopatrzył go w papier, pióra i atrament radząc, by poświęcił się w odosobnieniu kolejnej sztuce, obiecując w zamian uważną, choć nieliczną widownię.

— Ciekaw jestem, jak powodzi się Hawkmoonowi — rzekł hrabia Brass do jadącego obok niego kompana. — Żałuję, że to nie ja wyciągnąłem zapalną, dzięki której byłbym teraz razem z nim.

— Ja także żałuję — odparł Oladahń. — D'Avercowi dopisało szczęście. Szkoda, że mieliśmy jedynie dwa pierścienie: Tozera i Rycerza. Jeśli uda im się zdobyć ich więcej, będziemy mogli wypowiedzieć wojnę Mrocznemu Imperium...

— Nadal jednak uważam, że propozycja Rycerza, by wyprawić

się do Granbretanu i spróbować odnaleźć w Yelu Mygana z Llandaru, niesie za sobą narażanie się na ogromne niebezpieczeństwo.

— Podobno czasem bezpieczniej jest w samym legowisku lwa niż gdziekolwiek indziej — stwierdził Oladah.

— Ale najbezpieczniej jest żyć w kraju, w którym w ogóle nie ma lwów — odparł hrabia Brass, nieznacznie wydymając wargi.

— Cóż, w takim razie mogę wyrazić tylko nadzieję, panie, że ten lew ich nie pożre — powiedział Oladah, marszcząc brwi. — Może to zabrzmieć przewrotnie, lecz mimo wszystko zazdroszczę im.

— Mam wrażenie, że nie powinniśmy zbyt długo trwać w tej beczynności — rzekł hrabia Brass, kierując swego konia na wąską ścieżkę ginącą wśród trzciny. — Zdaje mi się, że nasze bezpieczeństwo jest zagrożone nie tylko z jednej strony, lecz z wielu...

— Niezbyt przerażają mnie podobne ewentualności — odparł Oladah. — Martwię się jednak o Yisseldę, Bowgentle'a oraz zwykłych ludzi z miasteczka, którzy nie przywykli tak jak my do wojennego rzemiosła.

Dwaj jeźdźcy wyprowadzili konie na brzeg morza, napawając się spokojem, a zarazem tęskniąc za zgiełkiem i gwarem bitew.

Hrabia Brass zaczął się nawet zastanawiać, czy nie warto by rozłuc krystalicznego urządzenia zapewniającego im bezpieczeństwo i przenieść Zamek Brass z powrotem do tego świata, z którego uciekli, a tym samym zostać zmuszonym do walki, nawet jeśli nikłe były szanse zwycięstwa nad hordami Mrocznego Imperium.

# ROZDZIAŁ X

## WIDOKI LONDRY



Skrzydła załopotwały w powietrzu i latająca maszyna wzniosła się ponad wieżycę Londry. Był to wielki skrzydłolot, którego metalowe cielsko zdobiły spiralne ornamenty i barokowe desenie, zdolny pomieścić czterech czy pięciu ludzi.

Meliadus pochylił nieco głowę w bok i wskazał w dół. Goście wyciągali szyje, zapominając o swej godności. Zdawało się, że wysokie, ciężkie maski pospadają im z ramion, jeśli choć odrobinę bardziej skłonią głowy.

— Oto widzicie pałac Króla Huona, w którym mieszkacie — rzekł, pokazując oszałamiającą w swej okazałości rezydencję Króla-Imperatora. Wznosiła się w samym centrum miasta, oddzielona od innych budowli i zarazem górująca nad wszystkimi pozostałymi. W przeciwieństwie do innych pałaców nie można się było do niego dostać żadnym z ciągów pasaży. Cztery wieże połyskujące blaskiem czystego złota nawet teraz sięgały ponad ich głowy, chociaż znajdowali się w skrzydłolocie, znacznie powyżej innych budynków. Wszystkie kondygnacje gęsto pokrywały płaskorzeźby przedstawiające wszelkiego rodzaju ponure sceny, w jakich lubowano się w całym Imperium. Narożniki parapetów udekorowano gigantycznymi groteskowymi posągami, usytuowanymi tak, jakby za chwilę

miały runąć na leżący nisko w dole dziedziniec. Ściany pałacu mieniły się plamami wszystkich możliwych kolorów, rozmieszczonymi w ten sposób, że w ułamku sekundy przyprawiały o ból oczu.

— Pałac Czasu — rzekł Meliadus, wskazując niezwykle bogato zdobioną budowlę, stanowiącą zarazem gigantyczny zegar.

— A to mój pałac — tym razem skierował palec ku posępnej czarnej wieży ze srebrnymi ornamentami.

— Rzeka, którą widzicie, to oczywiście Tamza. — Na rzece panował intensywny ruch. Po krwistoczerwonych wodach pływały barki z brązu i hebanu oraz statki z drewna tekowego inkrustowanego drogimi metalami i półszlachetnymi kamieniami, nad którymi bieleły się olbrzymie żagle z haftowanymi lub odbitymi na nich wzorami.

— Dalej po lewej — kontynuował Meliadus, z pogardą traktując swoje zadanie — widzicie Wiszącą Wieżę. Przekonacie się, że jest zawieszona w powietrzu i nie dotyka ziemi. To efekt eksperymentu jednego z naszych magów, który zdołał dźwignąć ją kilka metrów w górę, ale nie potrafił unieść jeszcze wyżej. Potem zaś okazało się, że nie można jej także sprowadzić z powrotem na ziemię, pozostała więc zawieszona na zawsze.

Pokazał im nabrzeże, przy którym wielkie wojenne statki granbretańskie o błyszczących burtach wykładanych łupkami granatu wyładowywały zrabowane mienie; Dzielnicę Niezamaskowanych, zamieszkaną przez wyrzutki społeczeństwa; kopułę olbrzymiego teatru, słynącego jeszcze niedawno z wystawianych sztuk Tozera; Świątynię Wilka, kwaterę dowództwa jego zakonu, której półkolisty dach wieńczyła monstrualna, groteskowa rzeźba wilczej głowy, a także różne inne świątynie z podobnymi, ważącymi setki ton kamiennymi

głowami fantastycznych bestii.

Przez cały dzień latali nad miastem, lądując tylko po to, by uzupełnić paliwo i zmienić pilota, a Meliadus z godziny na godzinę zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić. Pokazał gościom wszystkie niezwykłości tego starożytnego i przygnębiającego miasta, starając się, zgodnie z poleceniem Króla-Imperatora, zademonstrować całą potęgę Mrocznego Imperium.

Przed zmierzchem, kiedy ukośne promienie zachodzącego słońca okryły miasto głębokimi cieniami, baron z Kroiden odetchnął wreszcie z ulgą i rozkazał pilotowi skierować skrzydłolot w stronę lotniska na dachu pałacu.

Wylądowali z głośnym szumem metalowych skrzydeł, wśród łopotu i świstu, a dwaj emisariusze wysiedli z maszyny na sztywnych nogach, jakby byli mechanicznymi stworami naśladowującymi żywe istoty.

Ruszyli ku okrytemu półkolistym daszkiem wejściu do pałacu, zeszli wijącą się spiralnie rampą, aż znaleźli się znów w korytarzach pełnych dryfującego światła, gdzie czekała honorowa eskorta — sześciu wysokich rangą wojowników z Zakonu Modliszki ukrytych za owadzimi maskami, na których igrały refleksy bijącego od ścian blasku. Eskorta zaprowadziła gości do ich pokoi, gdzie mieli wypocząć i posilić się.

Pod drzwiami ich apartamentów Meliadus skłonił się nisko i oddalił w pośpiechu, obiecawszy, że jutro będą mogli podyskutować o sprawach naukowych i porównać zdobycze Azjokomuny z osiągnięciami Granbretanu.

Przemierzając szybkim krokiem wywołujące halucynacje korytarze omal nie zderzył się z krewną Króla-Imperatora, Flaną, hrabiną Kanbery.

— Mój panie!

Zatrzymał się i usunął na bok, by ją przepuścić.

— Proszę mi wybaczyć, pani.

— Bardzo się spieszysz, Lordzie!

— Owszem, Flano.

— Poza tym mam wrażenie, że jesteś w złym nastroju.

— Tak, to prawda.

— Nie chciałbyś zatem się pocieszyć?

— Czekają na mnie ważne sprawy...

— Czyż spraw nie należy załatwiać z jasnym umysłem, mój panie?

— Możliwe.

— Gdybyś zdołał ostudzić swój gniew...

Ruszył dalej, lecz zaraz zatrzymał się ponownie. Miał już do czynienia z metodami pocieszania stosowanymi przez Flaną. Niewykluczone, że miała rację. Chyba jej potrzebował. Z drugiej strony musiał zacząć przygotowania do wyprawy na Zachód, by móc wyruszyć zaraz po wyjeździe emisariuszy. Lecz ci mieli zostać w Londrze co najmniej przez kilka dni. Ponadto miał za sobą męczącą noc i był w fatalnym nastroju. Właściwie mógłby też przekonać się, ile miał jeszcze w sobie z kochanka...

— Możliwe... — powtórzył, tym razem znacznie spokojniej.

— Przejdźmy zatem bez zwłoki do moich apartamentów, panie — powiedziała z odcieniem namiętności w głosie. Meliadus ujął ją pod ramię. Narastało w nim podniecenie.

— Ach, Flano — szepnął. — Flano.

## ROZDZIAŁ XI

### PRAGNIENIA HRABINY FLANY



Motywy działania Flany były nieco bardziej złożone, w istocie bowiem nie tyle interesowała się nim samym, co szukała kontaktu z jego gośćmi — dwoma poruszającymi się na usztywnionych nogach gigantami ze Wschodu.

Wypytała go o nich, kiedy leżeli spoceni w ogromnym łożu. Powiedział jej o przyczynach swojej frustracji, o niechęci do wykonywanej misji, o nienawiści do emisariuszy; zdradził także swoje prawdziwe dążenia, chęć wywarcia zemsty na wrogach, zabójcach jej męża, mieszkańcach Zamku Brass. Opowiedział o swym odkryciu, o starcu spotkanym przez Tozera, żyjącym na Zachodzie, w zapomnianej prowincji Yel, który mógł znać tajemny sposób dotarcia do nieprzyjaciół.

Przekazał szeptem obawy dotyczące utraty wpływów i spadku prestiżu — chociaż wiedział, że Flana jest ostatnią kobietą, której można wyznaczyć tego typu lęki. Stwierdził, że ostatnio Król-Imperator, który kiedyś bezgranicznie na nim polegał, obdarzył zaufaniem innych, na przykład Shenegara Trotta.

— Och, Flano — szepnął na krótko przed zapadnięciem w błogi sen. — Gdybyś została królową, razem powiedlibyśmy Imperium ku wspaniałej przyszłości.

Ale Flana nie słuchała go, nie zwracała uwagi na jego słowa.

Po prostu leżała, od czasu do czasu zmieniając tylko pozycję. Meliadusowi nie udało się znaleźć współczucia w jej sercu, niewiele też wzbudził pożądania w jej lędźwiach — wszystkie jej myśli kierowały się ku śpiącym zaledwie dwa piętra wyżej emisariuszom.

Po dłuższym czasie wstała z łóżka, zostawiając kochanka chrapiącego i pojękującego przez sen, założyła z powrotem suknię oraz maskę i wysliznęła się z pokoju. Przemknęła korytarzami, weszła rampą na górę i stanęła przed drzwiami strzeżonymi przez żołnierzy w maskach modliszki, którzy zwrócili ku niej pytające spojrzenia.

— Wiecie, kim jestem — powiedziała cicho.

Bez słowa zrobili jej przejście. Szybko otworzyła drzwi i zanurkowała w ekscytujące ciemności apartamentu emisariuszy.



## ROZDZIAŁ XII

### ODKRYCIE



Pokój zalewał blask księżyca, oświetlając leżącego w łóżku człowieka oraz porozrzucane ozdoby, zbroję i maskę.

Podeszła bliżej.

— Mój panie — szepnęła.

Człowiek gwałtownie usiadł. Dostrzegła zdumienie malujące się na jego obliczu i dłonie wędrujące w górę, by zakryć twarz. Głęboko wciągnęła powietrze, rozpoznawszy jego rysy.

— Ja ciebie znam!

— Kim jesteś? — Tamten wyskoczył spod jedwabnych prześcieradeł i nagi rzucił się, żeby ją pochwycić. — Kobieta!

— Owszem... — mruknęła. — A ty jesteś mężczyzną — zaśmiała się cicho — do tego wcale nie gigantem, chociaż słusznego wzrostu. Z powodu tej maski i zbroi wydawałeś się o dobre trzydzieści centymetrów wyższy.

— Czego chcesz?

— Chciałam cię, panie, zabawić... i sama znaleźć rozrywkę. Jestem jednak rozczarowana, sądziłam bowiem, że spotkam istotę nieco odmienną od człowieka. Teraz wiem, że jesteś tym samym mężczyzną, którego widziałam dwa lata temu w Sali Tronowej. Wówczas Meliadus przywiódł cię przed oblicze Króla-Imperatora.

— Zatem byłaś tam owego dnia. — Ścisnął ją mocniej, unosząc dłoń, żeby zerwać jej maskę i zakryć usta. Flana wbiła mu zęby w palce, szczypiąc jednocześnie napięte mięśnie jego ramienia. Dłoń mężczyzny zsunęła się z jej twarzy.

— Kim jesteś? — szepnął. — Kto wie o twojej wizycie?

— Jestem Flana Mikosevaar, hrabina Kanbery. Nikt nie domyśla się prawdy, odważny Germaninie. Nie wezwę także strażników, jeśli tego się właśnie spodziewasz, nie interesuje mnie bowiem polityka i nie czuję sympatii do Meliadusa. W rzeczywistości winna ci jestem nawet wdzięczność, gdyż uwolniłeś mnie od dość kłopotliwego małżonka.

— Jesteś wdową po Mikosevaarze?

— Tak. I poznałam cię natychmiast po tym czarnym kamieniu na czole, który chciałeś szybko zakryć przede mną. Jesteś księciem Dorianem Hawkmoonem z Koln i nie wątpię, że przybyłeś tu w przebraniu, by poznać tajemnice swych wrogów.

— Sądzę, że powinienem cię zabić, pani.

— Nie mam zamiaru cię zdradzić, księżu Dorianie. W każdym razie nie w tej chwili. Przyszłam, by zaproponować ci rozkosze mego ciała, to wszystko. Zerwałeś już ze mnie maskę. — Skierowała spojrzenie swych złocistych oczu na jego urodziwą twarz. — Teraz możesz zedrzyć ze mnie resztę stroju...

— Nie mogę, pani — rzekł gardłowym głosem. — Jestem żonaty. Zaśmiała się.

— Podobnie jak ja zamężna. Brałam ślub już mnóstwo razy.

Spojrzał jej w oczy. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, a mięśnie naprężyły się.

— Ja... ja nie mogę...

Odwrócili się równocześnie na dźwięk otwieranych drzwi.

W przejściu wiodącym do sąsiedniego apartamentu stanął

wychudzony, dobrze zbudowany, zupełnie nagi mężczyzna. Zakasłał ostentacyjnie, po czym skłonił się nisko.

— Mój przyjaciel, pani — rzekł Huillam d'Averc —» odznacza się nazbyt surowymi zasadami moralnymi. Niemniej, gdybyś nie pogardziła moim towarzystwem...

Ruszyła w jego kierunku, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

— Wyglądasz na dość zdrowego ogiera — stwierdziła.

— Ach, pani — odparł wstydliwie spuszczaając wzrok — jakże to miłe z pani strony, ale niestety, niezbyt dopisuje mi zdrowie. Nie oznacza to jednak — dodał, ujmując ją pod ramię i wprowadzając do swego pokoju — że nie uczynię wszystkiego, co w mej mocy, by zadowolić cię, nim to słabiutkie serce pęknie w mej piersi...

Drzwi zamknęły się za nimi. Hawkmoona przebiegł dreszcz.

Usiadł na krawędzi łóżka, ciskając klątwy na swą głowę za to, że nie położył się spać w nieporęcznym przebraniu, ale znużenie całodniową wycieczką sprawiło, że zapomniał o ostrożności. Gdy Rycerz w Czerni i Złocie przedstawił mu swój plan, ocenił, że zawiera niepotrzebne ryzyko. Później jednak argumenty trafiły mu do przekonania — musieli najpierw przekonać się, czy wrogowie nie odnaleźli już starca z Yelu, a dopiero potem wyruszyć na poszukiwania w zachodnim Granbretanie. Jednak teraz zdawało się, że szansę na uzyskanie odpowiednich informacji spadły do zera.

Strażnicy z pewnością widzieli wchodzącą tu hrabinę. Nawet gdyby ją zabił czy też uwięził, zaczęto by coś podejrzewać. Znajdowali się w mieście, w którym człowiekowi groziła śmierć na każdym kroku. Nie mieli żadnych sprzymierzeńców, nie powinni się więc łudzić nadzieją ucieczki, jeśli zostaną

rozpoznani.

Hawkmoon łamał głowę nad jakimkolwiek planem wydostania się z miasta, póki jeszcze nie ogłoszono alarmu, ale wszystkie pomysły wydawały mu się nierealne.

Zaczął powoli nakładać na siebie ciężkie szaty i zbroję. Jedyłą bronią, jaką dysponował, była pozłacana buława ofiarowana mu przez Rycerza, mająca umacniać wrażenie, że jest szlachetnie urodzonym dygnitarzem z Azjokomuny. Teraz zacisnął na mej dłoń żałując, że nie ma miecza.

Począł chodzić nerwowym krokiem po pokoju, koncentrując się ponownie na obmyśleniu planu ucieczki, nie zdołał jednak nic wymyślić.

Ranek zastał go chodzącego nadal z kąta w kąt. D'Averc wsunął głowę do pokoju i uśmiechnął się.

— Dzień dobry, Hawkmoonie. Czyżbyś nie zaznał wypoczynku, człowieku? Współczuję. Ja też nie zmrużyłem oka. Hrabina jest bardzo wymagającą istotą. Niemniej cieszę się, że jesteś gotowy do drogi, musimy się bowiem pospieszyć.

— Co masz na myśli, d'Avercu? Próbowałem przez całą noc obmyślić jakiś plan, ale nic nie przyszło mi do głowy...

— Wypytałem trochę Flanę z Kanbery i powiedziała mi wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. A najważniejsze jest to, że cieszy się ona wielkim zaufaniem Meliadusa. Zgodziła się ponadto pomóc nam w ucieczce.

— W jaki sposób?

— Jej prywatnym skrzydłolotem. Możemy uznać, że teraz maszyna należy do nas.

— Czy można jej zaufać?

— Nie mamy innego wyjścia. Posłuchaj, Meliadus nie miał jeszcze czasu na poszukiwania Mygana z Llandaru. Szczęśliwym

zbiegiem okoliczności właśnie nasze przybycie zatrzymało go tutaj. Wie jednak o nim, w każdym razie wie, że Tozer posiadał sekret od jakiegoś starca z Zachodu, i ma zamiar go odszukać. Mamy szansę być pierwsi. Część drogi możemy przebyć skrzydłolotem Flany, który podejmuję się pilotować, potem zaś będziemy musieli podróżować na piechotę,

— Ależ jesteśmy bez broni, nie mamy też odpowiednich strojów!

— Broni i ubrań dostarczy nam Flana. Także masek. Ma w swoich komnatach tysiące trofeów z poprzednich podbojów.

— Zatem musimy natychmiast iść do jej apartamentu.

— Nie. Musimy poczekać tutaj na jej powrót.

— Dlaczego?

— Ponieważ w jej sypialni, przyjacielu, wciąż jeszcze może przebywać Meliadus. Zachowaj cierpliwość. Dopisało nam szczęście. Módl się, żeby było tak dalej.

Niedługo później Flana wróciła, ściągnęła z głowy maskę i szybko pocałowała d'Averca, jakby była podlotkiem witającym ukochanego. Na jej obliczu widniał teraz znacznie łagodniejszy wyraz, a z oczu zniknął blask nawiedzenia, jak gdyby nocą d'Averc dostarczył jej jakichś wrażeń, których do tej pory nie знаła — może czułości, której nie przejawiali mężczyźni z Granbretanu.

— Poszedł już — powiedziała. — A ja zastanawiam się, Huillamie, czy nie zatrzymać cię tutaj, tylko dla siebie. Przez wiele lat nosiłam w sercu tęsknotę, której nie potrafiłam określić, a tym samym zaspokoić. Tobie prawie udało się ją stłumić...

D'Averc pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

— Ty także, Flano — rzekł szczerze — dałaś mi coś... — Wyprostował się sztywno i zaczął kompletować swój ciężki,

bogaty strój. W końcu założył na głowę wydłużoną maskę. — Chodźmy, musimy działać szybko, zanim pobudzą się wszyscy w pałacu.

Hawkmoon poszedł za jego przykładem i nasunął na głowę hełm. Obaj znowu przypominali dziwne, na wpół ludzkie istoty — emisariuszy z Azjokomuny.

Wyszli za Flaną na korytarz, minęli strażników w maskach modliszek, którzy szybko utworzyli szereg eskortujący, po czym przemaszerowali krętymi, rzucającymi blaski korytarzami, aż dotarli do jej prywatnych apartamentów. Tu rozkazali strażnikom pozostać przed drzwiami.

— Złożą raport, że przyszli tu za nami — powiedział d'Averc. — Będą cię podejrzewać, Flano! Zsunęła maskę czapli i uśmiechnęła się.

— Nie — stwierdziła. Podeszła po grubym dywanie do stamtąd długą rurkę zakończoną miękką bulwką. — Ta kulka zawiera trujący gaz — wyjaśniła. — Każdy, kto go wciągnie do płuc, zaczyna biegać na oślep jak w ataku szału, aż w końcu umiera. Strażnicy rozbiegną się po wszystkich korytarzach, nim ostatecznie zginą. Używałam tego już przedtem. Działa bez zarzutu.

Mówiła o morderstwie tak spokojnie, że Hawkmoona przeszył dreszcz grozy.

— Widzicie, wystarczy tylko przesunąć tę rurkę przez dziurkę od klucza — kontynuowała — a następnie rozgnieść kulkę.

Ułożyła przyrząd na wieczku szkatułki i poprowadziła ich przez ciąg oszalałymi, ekscentrycznie umeblowanych komnat do pokoju, którego wielkie okno wychodziło na szeroki taras. Stał tam, ze schludnie złożonymi skrzydłami, zrobiony na kształt pięknej szkarłatno-srebrzystej czapli prywatny

skrzydłolot Flany.

Podeszła szybko do zasłony oddzielającej część pomieszczenia i odsunęła ją na bok. Leżały tu zrzucone na stos trofea — stroje, maski i broń jej byłych kochanków i małżonków.

— Bierzcie, co chcecie — rzuciła — i pospieszcie się.

Hawkmoon sięgnął po kubrak z błękitnej wełny, czarne, zamszowe spodnie oraz pochwę ze zdobionej brokatem skóry, zawierającą długi, znakomicie wyważony miecz oraz sztylet. Dołożył do tego hełm jednego z zabitych przez siebie wrogów — groźnie wyglądającą sępią maskę Asrovaka Mikosevaara.

D'Averc wybrał strój w kolorze ciemnożółtym, jasnobłękitny płaszcz, buty z jeleniej skóry oraz miecz podobny do tego, jaki wziął Hawkmoon. Na głowę także założył sępią maskę, tłumacząc, że dwóch podróżników z tego samego zakonu będzie wzbudzało mniej podejrzeń. Teraz nie różnili się już wyglądem od wielkich parów Granbretanu.

Flana otworzyła okno i wyszli na taras. Owiało ich chłodne, wilgotne powietrze poranka.

— Żegnajcie — szepnęła Flana. — Muszę zająć się strażnikami. Żegnaj, Huillamie d'Avercu. Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się znowu.

— Ja też mam taką nadzieję — odparł d'Averc niezwykłym dla niego, pełnym czułości tonem. — Żegnaj.

Wskoczył do kabiny skrzydłolotu i uruchomił silnik. Hawkmoon z ociąganiem wszedł za nim.

Skrzydła maszyny zaczęły uderzać powietrze i po chwili uniosła się z głośnym metalicznym brzękiem w mroczne niebo nad Londrą, po czym skręciła na zachód.

## ROZDZIAŁ XIII

# IRYTACJA KRÓLA HUONA



**S**przeczne uczucia targają baronem Meliadusem, kiedy Wchodził do Sali Tronowej Króla-Imperatora, a następnie po złożeniu hołdu podejmował uciążliwą wędrówkę ku odległej Kuli Tronowej.

Biały fluid wypełniający kulę był zdecydowanie bardziej wzburzony niż zazwyczaj, co nakazało Meliadusowi zachowanie ostrożności. Początkowo przyjął zniknięcie emisariuszy z wściekłością, lękając się gniewu monarchy, zarazem jednak niecierpliwie pragnąc wyruszyć na poszukiwania starca, który mógł otworzyć przed nim drogę do Zamku Brass. Bał się co prawda, że utraci swą pozycję oraz stanowisko i — jak zdarzało się to już poprzednio z innymi — zostanie wygnany do Dzielnicy Niezamaskowanych. Nerwowo gładził palcami swój wilczy hełm, zbliżając się na miękkich nogach do Kuli Tronowej i spoglądając z lękiem na sylwetkę zwiniętego na kształt embriona władcy.

— Wielki Królu-Imperatorze. Twój sługa, Meliadus. Padł na kolana, zginając się w głębokim ukłonie.

— Sługa? Nie przysłużyłeś się nam zbyt dobrze, baronie z Kroiden!



— Wybacz, Szlachetny Monarcho, ale...

— Ale co?

— Skąd mogłem wiedzieć, że planowali opuścić nas tej nocy, używając tej samej metody, dzięki której tu przybyli...

— Przecież do twoich zadań należało przejrzenie ich planów!

— Przejrzenie? Miałem przejrzeć ich plany, Potężny Monarcho...?

— Twój instynkt cię zawiódł, Meliadusie, Kiedyś był wyśmienity, postępowałeś zgodnie z tym, co ci podpowiadał. Ale teraz głupie plany wywarcia zemsty pochłonęły bez reszty twój umysł oraz ducha i uczyniły cię ślepym na wszystko. Ci emisariusze zabili sześciu moich najlepszych gwardzistów! Nie wiem jak, pewnie jakimś tajemniczym zaklęciem, w każdym razie zabili ich, potajemnie opuścili pałac i wrócili do maszyny, która zabrała ich z powrotem. Dowiedzieli się o nas bardzo wiele, natomiast my, Meliadusie, nie dowiedzieliśmy się o nich prawie niczego.

— Wiemy co nieco o ich uzbrojeniu...

— Naprawdę? Czyżbyś nie wiedział, że ludzie potrafią kłamać? Jesteśmy z ciebie niezadowoleni. Daliśmy ci ważne zadanie do wykonania, a ty wypełniłeś je tylko częściowo, nie poświęcając mu całej swej uwagi. Spędziłeś wiele czasu w pałacu Taragorma, zostawiając emisariuszy samych sobie, podczas gdy powinienes być ich zabawiać. Jesteś głupcem, Meliadusie. Głupcem!

— Najjaśniejszy Panie, ja...

— Wszystko przez twoją głupią obsesję na punkcie garstki banitów ukrywających się w Zamku Brass! Czyżbyś pragnął tej dziewczki? Czy tylko z tego powodu ścigasz ich bez opamiętania?

— Boję się, że stanowią oni zagrożenie dla całego Imperium, Wielmożny Władco...

— Nie mniejszym zagrożeniem dla Imperium jest Azjokomuna, dysponująca realnymi mieczami, prawdziwymi armiami oraz autentycznymi statkami, które mogą poruszać się pod ziemią. Musisz zapomnieć o swojej wendecie na mieszkańcach Zamku Brass, gdyż inaczej, ostrzegam cię, przeciwko tobie skieruje się nasz gniew.

— Ależ, Najjaśniejszy...

— Dano ci ostrzeżenie, baronie z Kroiden. Zapomnij o Zamku Brass. Zamiast tego postaraj dowiedzieć się jak najwięcej o emisariuszach, odnaleźć miejsce, gdzie była ukryta ich maszyna, i zbadać, jakim sposobem udało im się wydostać z miasta. Spróbuj się zrehabilitować w naszych oczach, odbudować twój dawny prestiż...

— Tak, Najjaśniejszy Panie —, odparł Meliadus przez zaciśnięte zęby, próbując zapanować nad rosnącą wściekłością i poczuciem upokorzenia.

— Audiencja dobiegła końca, Meliadusie.

— Dziękuję ci, Szlachetny Władco — rzekł baron z Kroiden. Krew pulsowała mu w skroniach.

Wycofał się tyłem od Kuli Tronowej.

Potem wykonał zwrot na pięcie i szybkim krokiem ruszył przez ogromną salę. Dotarł do wybijanych klejnotami drzwi, roztrącił strażników i popędził świetlistymi korytarzami. Szedł tak przez dłuższy czas, nie zwalniając kroku, z pobielającymi palcami zaciśniętymi kurczowo na rękojeści miecza.

Doszedł ostatecznie do wielkiego holu recepcyjnego, gdzie czekali szlachcice dopraszający się o audiencję u Króla Imperatora, zbiegł po schodach wiodących ku bramie prowadzącej na zewnątrz, machnął na dziewczęta, by podstawily mu lektykę, wskoczył do środka, opadł ciężko na poduszki i kazał

zanieść się z powrotem do swego srebrno-czarnego pałacu.

Pałał nienawiścią do Króla-Imperatora. Przeklinał istotę, która tak bardzo go upokorzyła, znieważyla i pokrzyżowała wszystkie plany. Król Huon był głupcem we dostrzegającym potencjalnego zagrożenia ze strony Zamku Brass. Taki głupiec nie powinien sprawować władzy, nie powinien nawet dowodzić niewolnikami, a co dopiero przeszkadzać baronowi Meliadusowi, Wielkiemu Konstablowi Zakonu Wilka.

Nie miał zamiaru słuchać głupich rozkazów Króla Huona, chciał robić to, co uważał za słuszne, a gdyby Król-Imperator sprzeciwiał się, gotów był stawić mu czoło.

Niedługo potem opuścił swój pałac i wyruszył konno na czele dwudziestoosobowego oddziału dobranych starannie ludzi, gotowych udać się z nim wszędzie — nawet do Yelu.

## ROZDZIAŁ XTO

### UGORY YELU



Skrzydłolot hrabiny Flany, muskając kadłubem czubki wysokich sosen, opadał powoli ku ziemi, o włos unikając połamania skrzydeł o gałęzie brzoź, aż w końcu osiadł na wyschniętym wrzosowisku za lasem.

Dzień był chłodny i po wrzosowisku hulał porywisty wiatr, przenikający cienkie stroje ludzi. Dygocząc z zimna wysiedli z latającej maszyny i rozejrzeli się uważnie dokoła. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. D'Averc sięgnął za poję kaftana i wyciągnął płat cienkiej skóry, na którym narysowana była schematyczna mapa.

— Musimy posuwać się w tym kierunku — wskazał. — Ale przedtem powinniśmy wciągnąć skrzydłolot do lasu i ukryć go.

— Nie możemy go tu zostawić? Szansę na to, że ktoś odnajdzie go w ciągu tego dnia, są znikome — zaproponował Hawkmoon.

Ale wyraz twarzy d'Averca był niezwykle poważny.

— Nie chciałbym, by hrabinę Flanę spotkała jakaś krzywda, Dorianie. Gdyby odnaleziono tu maszynę, wszystko skrupiłoby się na niej. Chodź.

Ciągnęli i popychali metalowe ptaszysko, aż zawlekli je między sosny i dokładnie zamaskowali gałęziami. Służyło im znakomicie, dopóki nie wyczerpało się paliwo. Nie spodziewali się nawet, że

zdołają pokonać w powietrzu całą drogę do Yelu.

Ale teraz musieli ruszać na piechotę.

Cztery dni wędrowali przez lasy, przecinali wrzosowiska, wkraczając na coraz mniej żyzne obszary, w miarę jak zbliżali się do granic Yelu.

Wreszcie któregoś dnia Hawkmoon zatrzymał się.

— Spójrz, d'Avercu. Góry Yelu — pokazał.

Istotnie, na horyzoncie widać było purpurowe szczyty sięgające chmur, a przed nimi, aż do podnóża gór, rozciągała się pagórkowata kraina nagich, żółtobrunatnych skał.

Ów dziki krajobraz, jakiego księżę nigdy dotychczas nie widział, odznaczał się jednak swoistym pięknem.

— A więc są jeszcze w Granbretanie miejsca nie porażające całkowicie ludzkich oczu — westchnął.

— Owszem, to piękna kraina — przyznał d'Averc — lecz zarazem odstrasząca. Musimy gdzieś tu odszukać Mygana. Sądząc po mapie, Llandar leży o wiele mil stąd, pośród gór.

— Zatem pospieszmy się — rzekł Hawkmoon, poprawiając miecz u pasa. — Pospieszmy się. Mamy niewielką przewagę nad Meliadusem, nie można jednak wykluczyć, że już wyruszył w stronę Yelu z gorącym pragnieniem pojmania Mygana.

D'Averc stanął na jednej nodze i z żalną miną zaczął masować stopę.

— To prawda, ale obawiam się, że w tych butach nie zdołam pokonać dystansu. Wybrałem je z próżności, z powodu ich wyglądu, a nie dla solidnej roboty. Teraz widzę, że popełniłem błąd.

Hawkmoon klepnął go w ramię.

— Słyszałem, że w tych okolicach można spotkać dzikie kuce. Miejmy nadzieję, że trafimy na takie, które dadzą się oswoić.

Nie natknęli się jednak na kuce, pod stopami mieli żółty skalisty grunt, na niebie natomiast zaczęły pojawiać się plamy fioletowej radiacji. Hawkmoon z d'Avercem pojęli teraz przyczyny, dla których ludzie z Granbretanu odnosili się z taką podejrzliwością do całego tego regionu, czuło się tu bowiem coś nienaturalnego, zarówno na ziemi, jak i na niebie.

W końcu dotarli do podnóża gór.

Z bliska zauważyli, że te również zbudowane są z żółtawych, chociaż poprzątkanych ciemnoczerwonymi i zielonymi pasmami skał o szklistym, odstrasającym wyglądzie. Kiedy zaczęli wspinać się na poszarpane granie, zaczęły przed nimi umykać dziwnie wyglądające zwierzęta, a z ukrycia śledziły ich niezwykle, człekopodobne stwory o kosmatych ciałach zwieńczonych pozbawioną całkowicie włosów głową, mierzące zaledwie niecałe trzydzieści centymetrów wzrostu.

— Te istoty były kiedyś ludźmi — stwierdził d'Averc. — Ich przodkowie zamieszkiwali te ziemie. A to, co widzimy, jest wynikiem Tragicznego Millenium.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał Hawkmoon.

— Czytałem w książkach. Ze wszystkich rejonów Granbretanu właśnie tu, w Yelu, najbardziej odczuwalne były skutki Tragicznego Millenium. Dlatego teraz jest to bezludna kraina, ludzie nigdy już nie będą chcieli tu wrócić.

— Z wyjątkiem Tozera... oraz tego starca, Mygana z Llandaru.

— Owszem, o ile Tozer mówił prawdę. Możliwe, że zostaliśmy wyprowadzeni w pole, Hawkmoonie.

— Przecież Meliadus zdobył te same informacje.

— To może świadczyć tylko o tym, że Tozer jest konsekwentnym kłamcą.

Tuż przed zapadnięciem zmroku ze znajdujących się wyżej

jaskiń wyszły górskie stworzenia i zaatakowały dwóch podróżników.

Ich ciała okrywało natłuszczone futro, miały ptasie dzioby i kocie pazury. Wielkie oczy płonęły dzikim blaskiem, otwarte dzióbka obnażały kły i dobywał się spomiędzy nich przerażający syk. O ile zdążyli zauważyć w narastających ciemnościach, stanęły przed nimi trzy samice i sześć samców.

Hawkmoon dobył miecza, poprawił sępią maskę, jakby był to zwyczajny hełm, i zaparł się plecami o skalną ścianę.

D'Averc zajął pozycję u jego boku, a wówczas bestie zaatakowały.

Książę zamierzył się na pierwszą, wycinając długą, krwawą szramę w poprzek jej piersi, i stworzenie odskoczyło z wrzaskiem.

Druga padła z ręki d'Averca z przebitym sercem. Hawkmoonowi udało się rozciąć gardziel trzeciej, ale czwarta zdołała zacisnąć pazury na jego lewym ramieniu. Naprężył mięśnie, próbując odwrócić trzymany sztylet czubkiem do góry i urazić zwierzę w łapę, jednocześnie mierząc ostrzem miecza w następne stworzenie, które starało się dosięgnąć go z drugiej strony.

Zakrztusił się, z trudem opanowując nudności, od zwierząt bowiem bił potworny fetor. Wreszcie udało mu się wykręcić dłoń i zanurzyć ostrze w łapie bestii, a ta odskoczyła z warknięciem.

Hawkmoon pchnąwszy błyskawicznie w jedno z płonących ślepi sztyletem, wypuścił go z dłoni, zmuszony skoncentrować się na obronie przed kolejnym stworem.

Zapadła już noc i nie mogli się nawet zorientować, ile bestii pozostało jeszcze przy życiu. D'Averc znakomicie dawał sobie radę, wykrzykując najgorsze przekleństwa, a jego miecz uderzał

jak błyskawica to z tej, to z tamtej strony.

W pewnej chwili Hawkmoon poślizgnął się w kałuży krwi i zachwiawszy, wsparł ramieniem o występ skalny. Bestia z głośnym sykiem skoczyła na niego, więżąc go w niedźwiedzim uścisku, przyciskając obie jego ręce do boków, a groźny dziób pojawił się tuż przy jego twarzy i zacisnął na wysuniętej części sępiej maski.

Książę napiął wszystkie mięśnie, próbując rozluźnić uścisk, a jednocześnie wyszarpnął głowę z maski, zostawiając ją w dziobie zwierzęcia. Po chwili rozepchnął łapy stworzenia i uderzył je silnie w piersi. Zdumione odskoczyło do tyłu, widocznie nie mogąc zrozumieć, że sępia maska nie jest częścią ciała człowieka.

Szybko zagłębił ostrze miecza w sercu zwierzęcia, po czym odwrócił się w stronę d'Averca, który walczył z dwiema bestiami naraz.

Książę zręcznym ruchem odrąbał głowę jednej i miał już zaatakować drugą, kiedy ta z wrzaskiem odskoczyła od d'Averca i zniknęła w ciemnościach, unosząc fragment jego kaftana. Z wyjątkiem tego jednego udało im się pokonać wszystkich odrażających napastników.

Francuz krwawił z powierzchownej rany na piersi, gdzie pazury odcięły część stroju. Hawkmoon oderwał pas materiału z jego płaszczu i przewiązał ranę.

— To nic poważnego — stwierdził d'Averc. Zerwał z głowy pogiętą sępią maskę i odrzucił ją w mrok. — Okazały się użyteczne, ale nie będę dłużej nosił maski, jeśli ty straciłeś swoją. Klejnot w twoim czole nie zostawia żadnych wątpliwości, nie ma więc sensu, bym nadal dbał o przebranie! — uśmiechnął się. — Mówiłem ci, drogi Hawkmoonie, że w wyniku Tragicznego Millenium zrodziły się koszarne istoty.



— Wierzę ci. — Książę odpowiedział mu uśmiechem. — Chodź, poszukamy lepiej miejsca na nocne obozowisko. Tozer zaznaczył bezpieczne schronienia na swojej mapie. Pokaż ją, może przy blasku gwiazd uda nam się coś odczytać.

D'Averc sięgnął do swego kaftana i w tej samej chwili szczęka mu opadła z przerażenia.

— Och, Hawkmoonie! Spotkało nas nieszczęście!

— Co się stało, przyjacielu?

— W porwanej przez stworzenie części kaftana była kieszeń, w której trzymałem mapę Tozera. Jesteśmy zgubieni, Hawkmoonie!

Książę zaklął, schował miecz do pochwy i zasepił się.

— Nie zostaje nam nic innego, jak ruszyć śladami bestii — powiedział. — Była lekko ranna i mogła zostawić wyraźny krwawy trop. Możliwe, że porzuciła mapę gdzieś w drodze do swego legowiska. Pewnie będziemy zmuszeni podążać za nią aż do jej kryjówki i może w tym czasie opracujemy jakiś plan odzyskania mapy.

Francuz zmarszczył brwi.

— Czy to warto? Nie zdołamy sobie przypomnieć ważnych dla nas szczegółów?

— Obawiam się, że nie. Chodźmy, d'Avercu.

Hawkmoon zaczął wspinać się po ostrych głazach w kierunku, w którym umknęło zwierzę. Huillam z ociąganiem ruszył za nim.

Na szczęście niebo roz pogodziło się i wkrótce książę Dorian dostrzegł w blasku księżyca błyszczące ślady krwi na skałach, znaczące wyraźny trop.

— Tędy, d'Avercu! — zawołał.

Tamten westchnął, wzruszył ramionami i przyspieszył kroku.

Posuwali się tropem aż do świtu, kiedy Hawkmoon ostatecznie

zgubił ślad i zatrzymał się, kręcąc głową. Zawędrowali na wysoką grań, skąd roztaczały się piękne widoki na leżące po obu stronach doliny. Dorian przeczesał dłonią swe jasne włosy i westchnął głośno.

— Ani śladu. A byłem przecież pewien...

— Pogorszyliśmy tylko naszą sytuację — wtrącił zniechęcony d'Averc, pocierając zmęczone oczy. — Nie dość, że nie mamy mapy, to oddaliliśmy się od pierwotnego szlaku...

— Przykro mi, d'Avercu. Sądziłem, że to dobry pomysł. — Jego ramiona przygięły się ku ziemi. Lecz nagle rozpogodził się i wskazał ręką. — Tam! Widziałem jakiś ruch. Chodźmy. — Rzucił się biegiem wzdłuż skalnej ściany i po chwili zniknął Huillamowi z oczu.

D'Averc usłyszał nagły okrzyk zdumienia, po czym nastąpiła zagadkowa cisza. Dobył miecza i ruszył w ślad za przyjacielem, zachodząc w głowę, co też mogło mu się przydarzyć. Niespodziewanie ujrzał na własne oczy przyczynę zdumienia Hawkmoona. Przed nimi, nisko w dolinie, leżało miasto wzniesione z metalu; połyskliwe, czerwone, złote, pomarańczowe, niebieskie i zielone ściany budowli spinały kręte metalowe chodniki. W niebo strzelały iglice wież. Bez trudu, nawet z tego miejsca, można było dostrzec, że wyludnione miasto rozsypuje się w pył — budynki i pozostałe konstrukcje trawiła rdza.

Hawkmoon stał, spoglądając w dół. Wskazał ręką. Bestia zsuwała się po stromym skalistym zboczu grani w kierunku zabudowań.

— Widocznie ma tam swe legowisko — powiedział.

— Nie mam ochoty iść za nią aż do miasta — mruknął d'Averc.

— Tam może być zatrute powietrze, które powoduje, że ciało

odpada z twarzy, a silne konwulsje kończą się śmiercią...

— Zatrutego powietrza już od dawna nigdzie nie ma. Wiesz o tym dobrze. Nigdy zresztą i nigdzie nie utrzymywało się przez dłuższy czas. Na pewno nie ma tam zatrutego powietrza już od wieków. — Zaczął zeskakiwać po głazach w głąb doliny, w pogoni za zwierzęciem, które wciąż trzymało w pysku fragment kaftana z ukrytą w nim mapą Tozera.

— Ach, co mi tam! — jęknął d'Averc. — Przynajmniej umrzemy razem! — Ponownie ruszył śladem przyjaciela. — Jesteś nieokrzesanym, porywczym typem, książę Koln!

Spadające kamienie ostrzegły stworu przed pościgiem i teraz o wiele szybciej zaczął uciekać w stronę domów. Hawkmoon i d'Averc próbowali mu dotrzymać kroku, brakowało im jednak obeznania z górskimi ścieżkami, a w dodatku Huillam miał już buty w strzępach.

Dostrzegli tylko, jak bestia nurkuje w mroczne cienie między budynkami i znika im z oczu. W kilka chwil później oni także stanęli przed pierwszymi budowlami, z pewnym niepokojem spoglądając w górę na niebotyczne konstrukcje, zdawać by się mogło sięgające chmur, które rzucały na ziemię złowieszcze cienie.

Hawkmoon zauważył świeże ślady krwi i wyteżając w półmroku oczy ruszył ostrożnie między wsporniki i pylony budowli miasta.

Nagle rozległo się głośnie kłapanie dzioba i syczący dźwięk, szczególny rodzaj stłumionego warczenia... Zwierzę skoczyło błyskawicznie, sięgając pazurami do jego gardła i wbijając je głęboko w skórę. Poczul piekące ukłucia. Uwolnił ręce i sięgnął ku łapom napastnika, usiłując je rozewrzeć. Jednocześnie ptasi dziób zwarł się tuż przy jego karku.

Niespodziewanie rozległ się śmiertelny wrzask i skowyt, a po chwili łapy bestii zwisły bezwładnie. Hawkmoon obejrzał się. D'Averc stał z obnażonym mieczem w dłoni, spoglądając na nieruchome ciało drapieżnika.

— Te ohydne stwory są bardzo lekkomyślne — odezwał się żartobliwym tonem. — Trzeba być ostatnim głupcem, żeby atakując ciebie wystawić nie osłonięty kark jako cel dla mojego miecza. — Wyciągnął rękę i ostrożnie przekłuł czubkiem miecza oderwany fragment kaftana, który wystawał spod martwego ciała. — Oto i nasza mapa. Prawie wcale nie ucierpiała!

Hawkmoon otarł z szyi krew. Rany nie były zbyt głębokie.

— Biedne stworzenie — mruknął.

— Skąd ta litość, Hawkmoonie?! Nawet nie wiesz, jakim niepokojem napawają mnie twoje słowa. Nie zapominaj, że te bestie napadły na nas.

— Ciekaw jestem po co. Nie powinno im brakować naturalnego pokarmu w tych górach. Musi tu aż roić się od zwierząt. Dlaczego więc chciały ucztować na nas?

— Albo stanowiliśmy najlepsze źródło świeżego mięsa w ich otoczeniu — podsunął d'Averc, rozglądając się uważnie po otaczających ich ze wszystkich stron kratownicach — albo też miały powód, żeby nienawidzić ludzi.

Popisowym gestem wsunął miecz do pochwy i zrobił parę kroków w głąb lasu metalowych podpór, dźwigających ogrom znajdujących się nad nimi wież i chodników miasta. Ziemię zalegała tu gruba warstwa rdzy przemieszanej ze szczątkami rozszarpanych przez drapieżniki zwierząt.

— Zbadajmy to miasto, jeśli już tu jesteśmy — zaproponował, wspinając się po drabinie. — Możemy spędzić w nim noc.

Hawkmoon spoglądał na mapę.

— Jest tu zaznaczone — powiedział. — Nosiło nazwę Halapandur. Stąd już niedaleko w kierunku zachodnim powinna znajdować się jaskinia naszego tajemniczego filozofa.

— Niedaleko?

— Najwyżej dzień marszu przez góry.

— W takim razie odpocznijmy i wyruszmy o świcie — zaproponował d'Averc.

Książę zasepił się, lecz po chwili wzruszył ramionami.

— Dobrze — powiedział, ruszając ku drabince. Po pewnym czasie osiągnęli poziom dziwacznych, krętych, metalowych uliczek miasta.

— Poszukajmy schronienia w tamtej wieży — wskazał Francuz.

Poszli wznoszącą się nieznacznie pochylnią ku budowli o silnie błyszczących w promieniach słońca, turkusowych i zjadliwie szkarłatnych ścianach.

## ROZDZIAŁ X

### OPUSZCZONA JASKINIA



U podstawy wieży znajdowały się niewielkie drzwiczki, silnie wgniecione do środka, jakby uderzeniem gigantycznej pięści. Zaglądając ostrożnie przez szczelinę Hawkmoon i d'Averc próbowali przebić wzrokiem ciemności i dojrzeć, co znajduje się wewnątrz.

— Tam... — mruknął książę. — Jakies schody albo coś podobnego.

W końcu przedarli się przez rumowisko i stwierdzili, że w kierunku wyższych pięter wieży prowadzą nie schody, lecz pochylnia nieco podobna do tych, jakie na zewnątrz łączyły budynki.

— Czytałem gdzieś, że takie miasto zostało zbudowane na krótko przed Tragicznym Millenium — rzekł d'Averc, kiedy wspinali się krętą rampą ku górze. — Zaludniali je wyłącznie naukowcy. Zdaje się, że nazywano je Miastem Badaczy. Ze wszystkich stron świata przybywali tu specjaliści z różnych dziedzin. Przyświecała ku idea nowych odkryć poprzez krzyżowanie odrębnych gałęzi nauki. Jeśli mnie pamięć nie myli, według legend właśnie tutaj dokonano wielu niezwykłych wynalazków, chociaż większość z tych tajemnic uległa zapomnieniu.

Pochylnia zaprowadziła ich na szeroką platformę, zaopatrzoną ze wszystkich stron w okna. Większość szyb była potłuczona lub też brakowało ich całkowicie, co oczywiście nie przeszkadzało im widzieć stąd całego miasta.

— Prawie na pewno obserwowano stąd, co dzieje się w całym Halapandurze — rzekł Hawkmoon, rozglądając się dookoła. Wszędzie wały się resztki jakichś przyrządów, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć. Bez wahania ocenił ich pochodzenie jako prehistoryczne: prostokątne, obłe obudowy, pokryte rządkiem schematycznych znaków pisma, tak bardzo różnych od zaokrąglonych i bogato zdobionych liter i cyfr współczesnego druku. — Pewnie z tego miejsca w jakiś sposób kontrolowano funkcjonowanie miasta. D'Averc wyduł wargi.

— Owszem. My też możemy to wykorzystać. — Wskazał ręką. — Spójrz, Dodanie.

W oddali widać było między budowlami szereg jeźdźców w hełmach i zbrojach oddziałów Mrocznego Imperium.

Nie mieli wątpliwości co do pochodzenia żołnierzy, chociaż z tej wysokości nie mogli rozróżnić szczegółów.

— Domyślam się, że prowadzi ich Meliadus — stwierdził Hawkmoon, opierając dłoń na mieczu. — Nie zna chyba dokładnie miejsca pobytu Mygana, mógł jednak dowiedzieć się, że Tozer przebywał jakiś czas w tym mieście, a z pewnością towarzyszą mu tropiciele śladów, którzy z łatwością odnajdą jaskinię starca. Nie mamy czasu na odpoczynek, d'Avercu. Musimy wyruszać natychmiast.

Francuz skinął głową.

— Szkoda — powiedział. Schylił się, podniósł z podłogi jakiś przedmiot i schował do kieszeni kaftana. — Zdaje się, że wiem, co to jest.

— Co takiego?

— Prawdopodobnie pocisk, jakich używano kiedyś do broni palnej — odparł. — Jeśli tak, może nam się przydać.

— Przecież nie mamy broni palnej!

— Nie będzie mi potrzebna — stwierdził tajemniczo Huillam.

Zbiegli z powrotem po pochylni ku drzwiom wieży. Ryzykując, iż zostaną dostrzeżeni przez żołnierzy Mrocznego Imperium, przebiegli najszybciej, jak potrafili metalowym chodnikiem, zeszli po drabinie i stanęli na ziemi.

— Nie sądzę, żeby nas zauważyli — rzucił d'Averc. — Chodźmy. Pójdziemy tędy w stronę jaskini Mygana.

Ruszyli biegiem po zboczach w stronę szczytu grani, potykając się i ślizgając, gnani pragnieniem odnalezienia starego czarownika przed Meliadusem.

Zapadła noc, lecz oni wędrowali dalej.

Coraz silniej doskwierał im głód, nie jedli bowiem nic od czasu, kiedy zaczęli schodzić w dolinę Llandaru. Opadali także z sił. Nie poddawali się jednak i tuż przed świtem stanęli na krawędzi doliny zaznaczonej na mapie. Tutaj właśnie miał żyć czarownik Mygan.

Hawkmoon pozwolił sobie na uśmiech.

— Granbretańscy jeźdźcy z pewnością rozbili na noc obóz. Mamy niewielką przewagę, powinniśmy znaleźć Mygana, zabrać jego kryształ i zniknąć, nim tamci się tu pojawią.

— Miejmy nadzieję — odparł d'Averc. Pomyślał zaś, że przyjaciel powinien odpocząć, ponieważ oczy zaczynały mu chorobliwie błyszczeć. Pomimo to poszedł jego śladem w głąb doliny, cały czas spoglądając na mapę. — Tam w górze — powiedział. — Gdzieś tam powinna znajdować się jaskinia Mygana, ale nic nie widzę.



— Zgodnie z mapą znajduje się w połowie wysokości tamtej grani — rzekł Hawkmoon. — Musimy się tam wspiąć i dopiero wtedy rozejrzeć.

Przeszli w poprzek całą dolinę, przeskakując niewielki, kryształowo czysty strumyk, płynący płytkim korytem wyłobionym w skalnym podłożu. Tutaj też dostrzegli ślady bytności człowieka — wzdłuż potoku widniała wydeptana ścieżka, a nad brzegiem stał drewniany przyrząd służący do czerpania wody ze strumienia.

Poszli ścieżką w górę stoku i natknęli się na stare, wyślizgane otwory w skalnej ścianie. Zapewne wykuto je bardzo dawno, całe wieki temu, na długo przed przyjściem Mygana na świat.

Zaczęli wspinaczkę.

Droga była ciężka, ale po pewnym czasie osiągnęli szczyt. Na jego krawędzi stał olbrzymi głaz, a za nim widniała mroczna plama wejścia do jaskini.

Hawkmoon chciał pobiec pierwszy, nie mogąc się doczekać spotkania, lecz d'Averc ostrzegawczo położył mu dłoń na ramieniu.

— Bądź ostrożny — powiedział, dobywając miecza.

— Ten starzec nie zrobi nam krzywdy — odparł książę Dorian.

— Jesteś zmęczony, przyjacielu, i wyczerpany, w przeciwnym razie pamiętałybyś, że ów stary mędrzec, jak twierdził Tozer, może dysponować bardzo niebezpieczną bronią. Tozer powtarzał, że on nie lubi obcych, a nie ma przecież żadnego powodu, dla którego miałby przyjąć nas z otwartymi rękoma.

Hawkmoon przytaknął ruchem głowy, wyciągnął miecz i ostrożnie ruszył przed siebie. Mroczna jaskinia z pozoru wydawała się pusta, lecz po chwili dostrzegli padający gdzieś z głębi wątył blask. Posuwając się w tamtym kierunku dotarli

wkrótce do załomu korytarza.

Kiedy minęli zakręt, oczom ich ukazała się druga, znacznie większa pieczara. Znajdowało się tu wiele różnych sprzętów — przyrządy podobne do tych, jakie widzieli w Halapandurze, kilka łóżek, naczynia kuchenne, aparatura chemiczna i mnóstwo innych rzeczy. Źródło światła stanowiła kula wisząca pośrodku jaskini.

— Mygan! — zawołał d'Averc, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Przeszukali jaskinię, podejrzewając, iż musi być gdzieś przejście do kolejnej groty, ale nic nie znaleźli.

— Uciekł! — zawyrokował zdesperowany Hawkmoon, nerwowym ruchem pocierając palcami czarny kamień na czole. — Uciekł, d'Avercu! Bóg jeden wie dokąd. Możliwe, że po odejściu Tozera doszedł do wniosku, iż nie jest tu bezpieczny i postanowił się przenieść.

— Nie sądzę — odparł d'Averc. — W takim wypadku zabrałby część tych rzeczy ze sobą. — Uważnie rozglądał się po jaskini. — Mam wrażenie, że w tym łóżku jeszcze niedawno ktoś spał. Poza tym nigdzie nie widać kurzu.

Przypuszczam, że wyruszył na jakąś drobną wyprawę i wkrótce wróci. Musimy na niego poczekać.

— A co z Meliadusem, o ile faktycznie był to jego oddział?

— Trzeba po prostu łudzić się nadzieją, że nie pójdzie mu łatwo odszukanie śladów i dotrze tu dopiero po jakimś czasie!

— Jeśli aż tak bardzo rwie się do odnalezienia Mygana, jak mówiła ci to Flana, to nie będzie marnował czasu — stwierdził Hawkmoon. Podszedł do "półki, na której stały naczynia z mięsem, jarzynami oraz ziołami, i zaczął się posilać. D'Averc szybko dołączył do niego.

— Odpocznijmy tu i zczekajmy — powiedział. — Nic więcej

nie możemy zrobić, przyjacielu.

Dzień dobiegł końca, minęła noc, a starzec nie wracał. Książę robił się coraz bardziej niespokojny.

— Podejrzewam, że go schwytano — zwrócił się do d'Averca.

— Możliwe, że Meliadus natknął się na niego gdzieś w górach.

— W takim wypadku musiałby przyjechać tu razem z nim, a wówczas mielibyśmy sposobność zdobyć wdzięczność starca za uwolnienie go — odparł Francuz, siląc się na swobodny ton.

— Widzieliśmy dwudziestu jeźdźców, o ile zdążyłem zauważyć, uzbrojonych w ogniste lance. Nie damy rady dwudziestu żołnierzom, d'Avercu.

— Upadasz na duchu, mój drogi. Już nieraz dawaliśmy sobie radę z dwudziestoma, a nawet z liczniejszym oddziałem!

— Owszem — mruknął Hawkmoon, widać było jednak, że podróż wiele go kosztowała. Prawdopodobnie także czas spędzony na dworze Króla Huona wywarł na nim zdecydowanie silniejsze piętno niż na d'Avercu, który był przyzwyczajony do intryg życia dworskiego.

Po dłuższym czasie Hawkmoon nerwowym krokiem przemierzył zewnętrzną jaskinię i wyszedł na światło dzienne. Przywiódł go tu jakiś instynkt, kiedy bowiem spojrział w dolinę, zobaczył ich.

Znajdowali się na tyle blisko, że widział ich dokładnie.

Rzeczywiście oddział prowadził baron Meliadus. Ozdobna wilcza maska zwróciła się ku górze w tej samej chwili, gdy książę Koln wysunął głowę, spoglądając ze skalnej platformy w dół. Rozświetliły ją promienie słońca i przeciwnik dostrzegł go.

— Hawkmoon! — głośny okrzyk odbił się echem od skalnych grani. Zawarta w nim była mieszanina wściekłości i triumfu. Przypominał ryk wilka, który zwietrzył swoją ofiarę. —

Hawkmoon! — Meliadus zeskoczył z konia i począł wspinać się ku jaskini. — Hawkmoon!

Jego śladem ruszyli uzbrojeni ludzie. Księżę zdał sobie sprawę, że mają nikłe szansę obrony. Skoczył ku wylotowi pieczary.

— D'Avercu! Meliadus już tu jest. Pospiesz się, człowieku, inaczej odetnie nam drogę w jaskini. Musimy wspiąć się na szczyt grani.

Francuz wybiegł na platformę, zapinając pas z mieczem. Spojrzał w dół, zastanowił się przez chwilę, wreszcie skinął głową. Hawkmoon rzucił się ku ścianie i zaczął wspinaczkę, wyszukując w gładkiej skale oparcia dla rąk i nóg.

Strumień żaru z ognistej lancy uderzył w kamienie obok jego dłoni, osmalając mu skórę. Następny trafił nieco poniżej jego nóg. Księżę drapał się dalej z mazołem.

Wierzył, że na szczycie grani znajdzie odpowiednie miejsce do stoczenia walki, musiał bowiem przede wszystkim myśleć o ochronie życia swojego i d'Averca, gdyż od tego zależało bezpieczeństwo mieszkańców Zamku Brass.

— Haaawkmoooon! — rozbrzmiewały echem okrzyki pałającego żądzą zemsty Meliadusa. — Haaawkmoooon!

Księżę wdrapywał się bez chwili wytchnienia; zdzierał skórę na palcach, kaleczył sobie nogi, ryzykując odpadnięcie od stromej skalnej ściany. D'Averc wspinał się tuż za nim.

W końcu dotarli do szczytu i znaleźli się na krawędzi przestronnego płaskowyżu. Nim zdążyliby go przebiec, płomienie ognistych lanc dosięgnęłyby ich w połowie drogi.

— Tu zostaniemy i podejmiemy walkę — oznajmił Hawkmoon posępnym głosem, dobywając miecza.

— Nareszcie — uśmiechnął się Huillam.— Już myślałem, że zawodzą cię nerwy, przyjacielu. Wyglądając zza krawędzi grani

dostrzegli, że Meliadus dotarł do platformy przed jaskinią Mygana i rzucił się do środka, rozkazawszy ludziom kontynuować pościg za dwoma znieawidzonymi wrogami. Bez wątpienia spodziewał się zastać w pieczarze pozostałych — Oladahna, hrabiego Brassa, a może nawet Yisseldę, którą darzył gorącym uczuciem, z czego Hawkmoon, mimo jego żarliwych zaprzeczeń, świetnie zdawał sobie sprawę.

Wkrótce pierwszy wojownik w wilczej masce wytknął głowę ponad krawędź grani, a Hawkmoon wymierzył solidnego kopniaka w sam środek hełmu. Ale tamten nie spadł, zdołał jakimś sposobem chwycić się nóg przeciwnika, pragnąc albo wdrapać się na płaskowyż, albo pociągnąć nieprzyjaciela za sobą w przepaść.

D'Averc skoczył i wymierzył mu pchnięcie mieczem w ramię. Tamten wrzasnął, uwolnił stopy Hawkmoona, usiłując zarazem chwycić się skały, ale nie znalazł oparcia i poleciał do tyłu, wymachując rękoma, a jego przeciągły krzyk rozbrzmiewał aż do chwili, kiedy spadł na odległe dno doliny.

Lecz w tym czasie już następni zdążyli wdrapać się na płaskowyż. D'Averc zajął się jednym z nich, Hawkmoon zaś niespodziewanie znalazł się przed dwoma żołnierzami.

Walczyli zaciekle, to atakując, to znów cofając się wzdłuż krawędzi urwiska, setki metrów ponad dnem doliny.

Książę zdołał pchnąć jednego z napastników w szyję, wsuwając ostrze miecza między hełm i napierśnik, drugiego ciął przez brzuch, gdzie nie sięgała już zbroja, ale w ich miejsce stanęło dwóch następnych.

Bronili się przez godzinę, powstrzymując żołnierzy przed wejściem na płaskowyż, tych zaś, którzy zdołali stanąć na szczycie, natychmiast wiązali walką.

Nagle znaleźli się jednak w okrążeniu — ze wszystkich stron mierzyły w nich ostrza mieczy, niczym zębiska gigantycznego rekina, celujące prosto w ich gardła. Gdzieś z tyłu rozległ się pełen złośliwej satysfakcji głos Meliadusa:

— Poddajcie się, panowie, albo zginiecie na miejscu.

Hawkmoon i d'Averc opuścili miecze, spoglądając na siebie pozbawionym nadziei wzrokiem.

Wiedzieli obaj, jak straszliwą, chorobliwą wręcz nienawiścią pała do nich Meliadus. Teraz, kiedy zostali jego więźniami w jego ojczystym kraju, nie mogli nawet marzyć o ucieczce.

Baron także zdawał sobie z tego sprawę, odchylił bowiem wilczą maskę na bok i zachichotał.

— Nie wiem, jakim sposobem dostaliście się do Granbretanu, Hawkmoonie i d'Avercu, uważam was jednak za parę głupców! Czyżbyście także chcieli odnaleźć starego mędrca? Po co? Przecież dysponujecie już tym samym co i on.

— Może on wie jeszcze coś innego — stwierdził Hawkmoon, wyraźnie mając zamiar ukryć prawdę, ponieważ im mniej wiedział Meliadus, tym większe były szanse wy prowadzenia go w pole.

— Coś innego? Sądzicie, że inne jego wynalazki również mogłyby się przydać Imperium? Dziękuję za tę informację. Z pewnością starzec będzie umiał sprecyzować, o co wam konkretnie chodziło.

— Mędrzec uciekł, Meliadusie — wtrącił swobodnym tonem d'Averc. — Ostrzeżliśmy go przed twoją zgrają.

— Uciekł, powiadasz? Nie byłbym tego taki pewny, Lecz jeśli tak, z pewnością będziecie znali miejsce jego pobytu, drogi Huillamie.

— Ja nie znam — odparł d'Averc, spoglądając kątem oka, jak

żołnierze wiążąc ich razem zaciskają pętlę ze sznura pod ich ramionami.

— Przekonamy się — Meliadus ponownie zachichotał. — Z olbrzymią radością wykorzystam sposobność, którą mi stworzyliście, żeby poznać się nad wami przez chwilę. To będzie tylko przedsmak zemsty. Później, kiedy wrócimy do mojego pałacu, poznacie wszystko, co mogę wam zaoferować. Wtedy także, gdy pochwycę już tego starca i wydrę mu tajemnicę podróżowania poprzez różne wymiary... — urwał, przypomniawszy sobie, że w pierwszej kolejności będzie musiał odzyskać zaufanie Króla-Imperatora i wybłagać od Huona przebaczenie za to, że opuścił miasto bez jego zgody. Wyciągnął rękę i z lubością uderzył księcia w twarz. — Ach, Hawkmoonie... Niedługo poznasz smak kary. Już niedługo...

Księżciem Dorianem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Splunął prosto w maskę szczerzącego kły wilka.

Baron odskoczył, uniósł rękę ku masce, po czym wziął tęgi zamach i uderzył księcia Koln w usta.

— Za to czekają cię dodatkowe chwile cierpień, Hawkmoonie — ryknął rozwścieczony. — A możesz mi wierzyć, że dla ciebie chwile te będą trwały całą wieczność!

Księżę, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu i obrzydzenia, odwrócił głowę. Silne uderzenie w plecy zadane przez strażników zepchnęło go wraz z Huillamem d'Avercem poza krawędź przepaści.

Zaciśnięta wokół nich lina uchroniła ich przed upadkiem na dół. Zostali brutalnie opuszczeni na platformę przed jaskinią, gdzie wkrótce dołączył do nich Meliadus.

— Muszę przede wszystkim odnaleźć starca — oświadczył. - Podejrzewam, że ukrywa się gdzieś w okolicy. Zostawimy was

dobrze związanych w jaskini, a przy wejściu będzie czuwało kilku żołnierzy, na wypadek, gdyby udało się wam jakimś sposobem uwolnić z więzów i chcielibyście także wziąć udział w poszukiwaniach. Nie ma już ratunku dla ciebie, Hawkmoonie, ani dla ciebie, d'Avercu. W końcu obaj wpadliście mi w ręce! Wciągnijcie ich do środka i zwiążcie wszystkimi linami, jakie tam znajdziecie. I pamiętajcie, macie ich pilnować jak oka w głowie, gdyż są to teraz zabawki Meliadusa!

Przyglądał się jeszcze, jak więźniów wiązano i wciągano do pierwszej groty. Wyznaczył trzech ludzi do pilnowania wejścia do jaskini, po czym w wyraźnie radosnym nastroju zaczął z powrotem schodzić z platformy na dno doliny.

Obiecywał sobie w duchu, że już wkrótce wszyscy wrogowie znajdą się w jego mocy, ich tajemnice zostaną z nich wydarte torturami, a wówczas Król-Imperator będzie zmuszony przyznać, że to on miał rację.

A nawet jeśli nadal zostanie w niełasce Króla-Imperatora, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Meliadus miał już gotowy plan skorygowania także tego błędu.



## ROZDZIAŁ XVI

### MYGAN Z LLANDARU



**N**a zewnątrz zapadła noc. Hawkmoon i d'Averc leżeli w półmroku, rozświetlanym odrobiną blasku padającego z drugiej groty. Zostali skrepowani mocno zaciśniętymi i dokładnie powiązanymi linami, a wejście do jaskini zasłaniały szerokie plecy strażników.

Księżę wyteżał wszystkie siły, ale wkrótce przekonał się, że możliwości ruchu zostały mu ograniczone do poruszania ustami, oczami i w niewielkim zakresie do obracania głową. D'Averc znajdował się w identycznym położeniu,

— No cóż, przyjacielu, nie byliśmy wystarczająco ostrożni — odezwał się Francuz tonem tak swobodnym, jakby wciąż pozostawali wolni.

— Owszem — przyznał Hawkmoon. — Głód i zmęczenie uczynią głupców nawet z najmądrzejszych ludzi. Tylko siebie możemy winić...

— W pełni zasłużyliśmy na karę — wtrącił niezbyt stanowczo d'Averc. — A co z naszymi przyjaciółmi? Musimy myśleć o ucieczce, Hawkmoonie, choćby wydawała się nam absolutnie niemożliwa.

Księżę westchnął.

— To prawda. Jeśli Meliadusowi uda się dotrzeć do Zamku

Brass... — Przeszył go dreszcz.

Z krótkiej słownej utarczki z granbretańskim szlachcicem wywnioskował, że tamten był jeszcze bardziej zdesperowany niż kiedyś. Czy przyczyniło się do tego kilka porażek, jakich doznał w starciach z nim i ludźmi z Zamku Brass? Czyżby nie mógł uznać się za zwycięzcę, dopóki nie był w stanie zniszczyć Zamku Brass? Hawkmoon nie potrafił tego ocenić. Zauważył jedynie, że jego dawny nieprzyjaciel jeszcze mniej panuje nad swym umysłem niż poprzednio. Trudno było przewidzieć, do czego może się posunąć w tej sytuacji.

Wydało mu się w pewnym momencie, że usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z drugiej pieczary. Odwrócił głowę i zmarszczył brwi. Z tego miejsca mógł ogarnąć wzrokiem tylko niewielki wycinek oświetlonej groty. Wykręcił szyję, kiedy odgłos powtórzył się.

— Przysięgłbym, że ktoś tam jest... — szepnął d'Averc tak cicho, by strażnicy nie mogli go usłyszeć.

Po chwili padł na nich cień i ujrzeli nad sobą wysokiego starca o okrągłej, pociętej zmarszczkami, jak gdyby wyrzeźbionej w kamieniu twarzy, okolonej grzywą siwych włosów, nadającą mu wygląd lwa.

Obcy zmarszczył czoło, wodząc wzrokiem po skrępowanych linami mężczyznach. Wydał wargi, uniósł oczy ku wejściu do jaskini, gdzie tkwiło trzech strażników, i popatrzył z powrotem na Hawkmoona oraz d'Averca. Nie odezwał się ani słowem, tylko stał ze złożonymi na piersi rękoma. Książę Dorian zwrócił uwagę na pierścienie zdobiące jego dłonie — nosił je na wszystkich palcach, nawet na kciukach, z wyjątkiem małego palca lewej ręki. Musiał to być Mygan z Llandaru! Ale w jaki sposób dostał się do jaskini? Czyżby istniało jakieś sekretne przejście?

Hawkmoon popatrzył na niego pełnym rozpaczy wzrokiem, bezgłośnie zwracając się o pomoc. Olbrzym uśmiechnął się i pochylił nad nimi, by słyszeć jego szept.

— Proszę, panie. Jeśli jesteś Myganem z Llandaru, wiesz zapewne, iż masz przed sobą przyjaciół, a obecnie więźniów twoich wrogów.

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? — odparł szeptem Mygan. Jeden ze strażników przed wejściem poruszył się, jakby coś podejrzewał, i zaczął się obracać. Mygan zanurkował w głąb jaskini. Żołnierz chrząknął.

— O czym tak szepczecie? Zastanawiacie się, co baron Meliadus z wami robi? No cóż, chyba nawet nie domyślacie się, jak wspaniałe zajęcia przygotował dla was, a zwłaszcza dla ciebie, Hawkmoonie.

Księżę nie odpowiedział.

Kiedy chichoczący strażnik odwrócił się z powrotem, Mygan znów stanął obok nich.

— To ty jesteś Hawkmoon?

— Słyszałeś o mnie?

— Co nieco. Jeśli jesteś Hawkmoon, zapewne mówiłeś prawdę, bo choć sam należę do Granbretańczyków, nie mam zamiaru popierać tych Lordów, którzy rządzą w Londrze. Skąd jednak możesz wiedzieć, że są to moi wrogowie?

— Baron Meliadus z Kroiden dowiedział się o sekrecie, jaki powierzyłeś Tozerowi, goszczącemu u ciebie nie tak dawno...

— Powierzyłem?! Wydarł mi to podstępem, ukradł jeden z mych pierścieni, kiedy spałem, i z jego pomocą uciekł. Sądzę, że chciał podlizzać się swym panom w Londrze...

— Masz rację. Tozer opowiedział im o tej umiejętności, chociaż przedstawił ją jako funkcję swego umysłu, następnie

zademonstrował jej działanie i znalazł się w Kamargu...

— Na pewno przez przypadek. Nie miał pojęcia, jak należy właściwie korzystać z pierścienia.

— Doszliśmy do tego samego wniosku.

— Wierzę ci, Hawkmoonie, i zaczynam obawiać się tego Meliadusa.

— A zatem uwolnisz nas, byśmy pomogli ci uciec stąd i ochronili przed nim?

— Wątpię, czy wasza pomoc jest mi potrzebna. Mygan zniknął z zasięgu wzroku księcia.

— Zastanawiam się, co on zamierza — rzekł d'Averc, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu.

Hawkmoon pokręcił głową.

Po chwili wrócił Mygan z długim nożem w ręku. Przykucnął i zaczął przecinać więzy Hawkmoona, aż ten wreszcie zdołał się wyswobodzić, cały czas obrzucając uważnymi spojrzeniami stojących przed wejściem strażników.

— Daj mi nóż — szepnął, przejmując narzędzie z rąk Mygana i zaczął przecinać liny krępujące d'Averca. Na zewnątrz rozległy się stłumione głosy.

— Wraca baron Meliadus — powiedział jeden ze strażników. — Zdaje się, że jest w złym nastroju.

Hawkmoon rzucił Francuzowi znaczące spojrzenie, po czym obaj skoczyli na nogi. Zaalarmowany ruchem w jaskini jeden z żołnierzy odwrócił się, wykrzykując ostrzeżenie. Dwaj pozostali skoczyli do przodu. Dłoń Hawkmoona powstrzymała rękę jednego z nich sięgającą po miecz. D'Averc objął ramieniem szyję drugiego, wyciągając jego broń z pochwy. Klinga uniosła się i opadła, nim strażnik zdołał wydobyć z siebie głos.

Podczas gdy księżę Dorian zmagał się z pierwszym

wojownikiem, Francuz ruszył do walki z trzecim. Powietrze wypełnił szcęk oręża, a w głębi doliny rozbrzmiewały zdumione okrzyki Meliadusa.

Hawkmoon powalił w końcu swego przeciwnika na ziemię, wymierzając mu cios kolanem w krocze, wyciągnął sztylet, który miał przez cały czas u pasa, zerwał tamtemu maskę i zatopił klingę w jego gardle.

Równocześnie d'Averc uporał się z szermierzem i stał teraz nad nieruchomym ciałem, dysząc ciężko.

Mygan zawołał ich z głębi jaskini.

— Widzę, że nosicie kryształowe pierścienie podobne do mojego. Czy wiecie, jak się nimi posługiwać?

— Wiemy jedynie, jak wrócić do Kamargu. Obrócić pierścień w lewo...

— Dobrze. Pomogę wam, Hawkmoonie. Najpierw obróćcie kryształ w prawo, a następnie w lewo. Powtórzcie ten ruch sześć razy, a potem...

U wejścia do jaskini zamajaczyła potężna sylwetka Meliadusa.

— No, Hawkmoon! Bez przerwy mam z tobą kłopoty. Starzec! Pochwyć go natychmiast!

Reszta żołnierzy Meliadusa rzuciła się tłumnie w głąb groty. Hawkmoon i d'Averc cofnęli się pod ich naporem, desperacko wywijając mieczami.

— Bandyci! — wrzasnął z furią starzec. — Wynocha! — Rzucił się do ataku z uniesionym długim nożem.

— Nie! — krzyknął Hawkmoon. — Mygan, zostaw to nam! Cofnij się. Jesteś bezbronny wobec nich!

Lecz Mygan nie słuchał. Książę chciał go odciągnąć, ale nie zdążył; ujrzał, jak starzec pada pod ciosem jednego z żołnierzy, i skoczył w tamtą stronę, by go ratować.

Pośród zgiełku wycofywali się do drugiej groty. Brzęk mieczy niósł się głośnym echem w jaskini, a towarzyszyły mu wściekle wrzaski Meliadusa.

Hawkmoon wciągnął do pieczary rannego Mygana, z ledwością osłaniając się przed spadającymi na nich ciosami.

Nagle ujrzał mierzący w niego błyszczący miecz samego Meliadusa. Poczul piekące ukłucie w lewe ramię i materiał rękawa zaczął błyskawicznie nasiąkać krwią. Sparował kolejne pchnięcie i w odpowiedzi zaatakował, trafiając Meliadusa w rękę.

Baron jęknął i odskoczył do tyłu.

— Teraz, d'Avercu! — zawołał Hawkmoon. — Myganie! Obróćcie kryształy! To nasza jedyna szansa ucieczki!

Przekręcił kryształ w swoim pierścieniu najpierw w prawo, potem w lewo. Powtórzył ten sam ruch sześć razy. Meliadus ryknął i natarł ponownie. Książę uniósł miecz, by zablokować uderzenie.

Nagle Meliadus zniknął.

Tak samo rozplynęła się jaskinia i jego przyjaciele.

Stał osamotniony na równinie, ciągnącej się we wszystkie strony w nieskończoność. Było południe, na nieboskłonie wisiało ogromne słońce. Równinę porastała niskopienna trawa wydzielająca intensywny zapach, który przywodził na myśl pełnię wiosny.

Gdzież się znalazł? Czyżby Mygan go oszukał? Gdzie zniknęli tamci?

Niespodziewanie zaczęła się tuż obok niego materializować postać Mygana z Llandaru, leżącego na trawie i przyciskającego dłonie do najpoważniejszej rany. Na całym ciele miał z tuzin cięć od miecza, a okoloną lwią grzywą pobladłą twarz wykrzywił

grymas bólu. Hawkmoon wsunął miecz do pochwy i przyklęknął przy nim.

— Myganie...

— Obawiam się, że umieram, Hawkmoonie. Ale miałem przynajmniej swój udział w kształtowaniu twojego przeznaczenia. Magiczna Laska...

— Mojego przeznaczenia? O czym ty mówisz? Co ma do tego Magiczna Laska? Bardzo wiele słyszałem o tym tajemniczym artefakcie, ale nikt nie potrafi powiedzieć, w jaki sposób związane są z nim moje losy...

— Dowiesz się tego, kiedy nadejdzie pora. Na razie... W tej samej chwili jak spod ziemi wyrósł d'Averc, ze zdumieniem rozglądając się dookoła.

— To działa! Dzięki Magicznej Lasce! Myślałem już, że zginiemy wszyscy na miejscu.

— Ty... najpierw musisz odnaleźć... — Mygan zaniósł się kaszlem. Spomiędzy jego warg popłynął na piersi strumyk krwi.

Hawkmoon złożył dłonie i uniósł mu głowę do góry.

— Nie próbuj mówić, Myganie. Jesteś ciężko ranny. Musimy poszukać pomocy. Gdybyśmy zdołali wrócić do Zamku Brass...

Mygan pokręcił głową.

— Nie możemy.

— Nie możemy wrócić? Dlaczego? Pierścienie działają, skoro znaleźliśmy się tutaj. Jeśli obrócimy je w lewo...

— Nie. Raz użyte pierścienie muszą być ustawione w pierwotnym położeniu.

— Jak mamy tego dokonać?

— Nie powiem wam!

— Nie? Czyżbyś nie wiedział, co mamy zrobić?

— Nie. Moją intencją było przenieść ciebie poprzez przestrzeń

do tej krainy, gdzie masz wypełnić część swego przeznaczenia. Powinieneś tu odnaleźć... Och, co za ból!

— Zatem oszukałeś nas, starcze — powiedział d'Averc. — Chcesz, żebyśmy wykonali tu jakieś zadanie wymyślonego przez ciebie planu. Ale jesteś umierający. Nie możemy ci w żaden sposób pomóc. Powiedz nam, jak możemy wrócić do Zamku Brass, żeby sprowadzić kogoś, kto opatrzyłby twoje rany.

— Przeniesienie was do tej krainy nie było moją osobistą zachcianką. Kierowałem się wiedzą historyczną. Wędrowałem po wielu ziemiach i odwiedziłem różne epoki wykorzystując moje pierścienie. Wiele się dowiedziałem. Wiem, komu służysz, Hawkmoonie, oceniłem więc, że nadszedł właściwy czas, byś znalazł się tutaj.

— To znaczy gdzie? — spytał zdesperowany Hawkmoon. — Do jakiej epoki nas skierowałeś? Cóż to za kraina? Z pozoru nie ma tu nic poza tą nieskończoną równiną!

Mygan ponownie zakrztusił się krwią. Było jasne, że niewiele życia mu zostało.

— Weź moje pierścienie — wychrypiał, z trudem łapiąc oddech. — Będą ci potrzebne. Ale najpierw musisz odnaleźć Narleen i Miecz Świtu. Znajdują się tam, na południu. Później, kiedy już tego dokonasz, wyrusz na pomoc i znajdź miasto Dnark... oraz Magiczną Laskę... — Znów zaniósł się kaszlem, jego ciałem wstrząsnęły spazmatyczne dreszcze i po chwili legł bez życia.

Książę popatrzył w górę na d'Averca.

— Magiczna Laska? Czyżbyśmy znaleźli się w Azjokomunie, gdzie według podań została ukryta?

— Byłaby to ironia losu, zważywszy nasze poprzednie wcielenia — stwierdził Francuz, przyciskając chusteczkę do rany



na nodze. — Niewykluczone, że właśnie tu wylądowaliśmy. Ale nie dbam o to. Najważniejsze, że jesteśmy daleko od tego gburowatego Meliadusa i jego krwiożerczej paczki. Słoneczko przygrzewa. Gdyby nie odniesione rany, z pewnością czułbym się tu o wiele bardziej bezpieczny, niż gdziekolwiek indziej.

Książę, rozglądając się dookoła, westchnął głośno.

— Nie byłbym tego taki pewien. Jeśli eksperymenty Taragorma zakończą się sukcesem, może znaleźć sposób

na przeniknięcie do Kamargu. Wolałbym raczej być tam niż tutaj. — Musnął pierścień na palcu. — Ciekaw jestem... D'Averc chwycił go za rękę.

— Nie, Hawkmoonie. Lepiej zostaw to w spokoju. Skłonny jestem dać wiarę słowom starca. Poza tym odniosłem wrażenie, że był przychylnie nastawiony do ciebie. Z pewnością życzył ci dobrze. Prawdopodobnie miał zamiar powiedzieć ci coś więcej, udzielić dokładniejszych wskazówek co do położenia tych miejsc, o których wspomniał. Jeśli zaczniemy manipulować przy pierścieniach, trudno powiedzieć, gdzie się znajdziemy. Możliwe, że z powrotem w niezbyt przyjemnym towarzystwie, z którym rozstaliśmy się w jaskini Mygana!

Książę skinął głową.

— Chyba masz rację, d'Avercu. Ale co mamy teraz robić?

— Najpierw wypełnijmy wolę Mygana i zabierzmy jego pierścienie. Potem ruszajmy na południe, do... Jak on to nazwał?

— Narleen. To może być także imię albo nazwa przedmiotu.

— W każdym razie musimy wędrować na południe, jeśli mamy się przekonać, czy Narleen to miasto, człowiek czy też przedmiot. Chodźmy. — Pochylił się nad ciałem Mygana z Llandaru i zaczął ściągać kryształowe pierścienie z jego palców. — O ile zdążyłem rozejrzeć się w jego jaskini, musiał znaleźć te

pierścienie w Halapandurze. Cały sprzęt w grocie ewidentnie pochodził właśnie stamtąd. Wygląda na to, że wynaleźli je ludzie mieszkający w mieście przed nastaniem Tragicznego Millenium...

Hawkmoon nie zwracał uwagi na potok jego słów. Wbił spojrzenie w horyzont i po chwili wskazał ręką.

— Spójrz!

Zrywał się wiatr.

W oddali zamajaczyło coś ogromnego — miało barwę czerwono purpurową i toczyło się w ich kierunku, miotając błyskawice.

# KSIĘGA DRUGA

## Wielka Historia Magicznej Laski



**M**ygana z Llandaru, podobnie jak Dorian Hawkmoon, również służył Magicznej Lasce, tyle że w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Filozof z Yelu uznał za właściwe przeniesienie księcia do dziwnej, niegościnniej krainy, gdzie dysponując skąpych informacjami miał on realizować kolejne zadania, określone — według Mygana — przez Magiczną Laskę. Coraz bardziej zazębiały się dzieje Kamargu i Granbretanu, Granbretanu i Azjokomuny, Azjokomuny i Amareku. Splatały się losy Hawkmoona i d'Averca, d'Averca i Flany, Flany i Meliadusa, Meliadusa i Króla Huona, Króla Huona i Shenegara Trotta, Shenegara Trotta i Hawkmoona — a przeznaczeniem ich wszystkich była realizacja planu Magicznej Laski, fatum, któremu początek dał Meliadus, kierując biegiem wydarzeń poprzez złożoną na nie straszliwą przysięgę zemsty na mieszkańcach Zamku Brass. Paradoksy i przypadki, wplecione już w osnowę materii, miały stawać się coraz bardziej oczywiste dla tych wszystkich, których los został powiązany z Magiczną Laską. I tak oto Hawkmoon próbował dociec, w jakiej przestrzeni i czasie się znalazł, natomiast naukowcy Króla Huona doprowadzali do

*perfekcji działanie wciąż potężniejszych machin wojennych, dzięki którym armie Mrocznego Imperium mogły znacznie szybciej dokonywać podbojów, zatapiając kolejne krainy w morzu krwi...*

# ROZDZIAŁ I

## ZHENAK-TENG



**H**awkmoon i d'Averc patrzyli na zbliżającą się kulę, aż wreszcie z ociąganiem sięgnęli po miecze. Ich ubrania zwisały w strzępach, rany krwawiły, na pobladłych twarzach widać było zmęczenie walką, a w oczach nie tliła się nawet iskierka nadziei.

— Ach, jakże przydałaby mi się teraz moc amuletu — rzekł książę Koln, wspominając Czerwony Amulet, który za radą Rycerza zostawił w Zamku Brass.

Francuz uśmiechnął się krzywo.

— Ja wolałbym nieco zwyczajnej energii życiowej śmiertelnika — odparł. — Mimo wszystko musimy zrobić co w naszej mocy, książę Dorianie — dodał, wyprężając ramiona.

Grzmiąca kula podtoczyła się bliżej, podskakując na kępach trawy. Była ogromna, połyskująca zmiennymi barwami — nie ulegało wątpliwości, że wobec niej miecze są całkowicie bezużyteczne.

Zwolniła nagle, głośny warkot przycichł, aż wreszcie zatrzymała się tuż przed nimi.

Przy wtórze brzęczenia utworzyła się pośrodku szczelina, rozszerzając tak dalece, iż sądzić by można, że za chwilę kula rozpęknie się na połowy. Z wnętrza wypłynął obłok białego, delikatnego dymu, który powoli opadł ku ziemi.

Po chwili zaczął się rozwiewać, ukazując sylwetkę wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny. Jego długie, jasne włosy przytrzymała na czole srebrna mitra, a ciało o skórze barwy miedzi okrywała jedynie krótka, rozcięta spódniczka barwy orzechowej. Obcy nie miał przy sobie broni.

Książę obrzucił go uważnym spojrzeniem.

— Kim jesteś? — zapytał. — Czego chcesz? Właściciel kuli uśmiechnął się.

— To ja powinienem zadać podobne pytania — rzekł z dziwnym akcentem. — Widzę, że stoczyliście walkę, a jeden z was poniósł śmierć. Wygląda dość staro jak na wojownika.

— Kim jesteś? — zapytał ponownie Hawkmoon.

— Gdzie twe dobre wychowanie, wojowniku? Nazywam się Zhenak-Teng, z rodziny Tengów. Powiedz mi, z kim tutaj walczyliście. Czy były to Charki?

— Ta nazwa nic nam nie mówi. Tutaj nie walczyliśmy z nikim — odparł d'Averc. — Jesteśmy podróżnikami. Ci, z którymi toczyliśmy walkę, są teraz bardzo daleko. Uciekliśmy tu przed nimi...

— Ale wasze rany wyglądają na świeże. Czy udacie się wraz ze mną do Teng-Kamppu?

— Tak nazywa się twoje miasto?

— My nie mieszkamy w miastach. Chodźcie, pomożemy wam. Opatrzemy wam rany, a może nawet uda się ożywić waszego przyjaciela.

— To niemożliwe. On nie żyje.

— W wielu przypadkach udaje nam się przywrócić zmarłych do życia — stwierdził mężczyzna swobodnym tonem. — Pójdziecie ze mną?

— Czemu nie? — wzruszył ramionami Hawkmoon. Dźwignęli

ciało Mygana i niosąc je między sobą ruszyli za prowadzącym Zhenak-Tengiem w stronę kuli. Spostrzegli, że w jej wnętrzu znajdowała się kabina, mogąca pomieścić kilka osób. Widocznie tego typu pojazdy były tu zwykłym środkiem transportu, gdyż Zhenak-Teng nie zadał sobie nawet trudu, by im cokolwiek wyjaśnić; sami musieli zdecydować, gdzie usiąść i jakie zająć pozycje.

Przesunął dłonią nad pulpitem kontrolnym i rozcięcie w ścianie kuli zaczęło się zamykać. Niespodziewanie ruszyli z miejsca i potoczyli po trawie z niezwykłą szybkością. Nadal widzieli wszystko dokoła, chociaż krajobraz był nieco przymglony.

Równina ciągnęła się w nieskończoność. Nie widzieli ani drzew, ani skał, wzgórz czy też rzek. Hawkmoon pomyślał, że kraina ta mogła zostać stworzona sztucznie, a przynajmniej mechanicznie wyrównana kiedyś w przeszłości.

Zhenak-Teng wciskał twarz w wizjer jakiegoś przyrządu, przez który prawdopodobnie obserwował drogę. Jego dłonie spoczywały na uchwytach koła sterowego i od czasu do czasu obracał nim to w jedną, to w drugą stronę, kierując dziwnym wehikułem.

Minęli poruszającą się w oddali grupę niezwykłych obiektów, których kształty trudno było dokładniej określić poprzez wirujące ściany kuli. Hawkmoon wskazał w ich kierunku.

— To Charki — wyjaśnił Zhenak-Teng. — Jeśli dopisze nam szczęście, nie zaatakują nas.

Były szare, barwy ciemnego kamienia, zaopatrzone w wiele nóg i jakieś falujące wypustki. Trudno było ocenić, czy są to istoty żywe, maszyny, czy też jeszcze coś innego.

Mniej więcej po godzinie kula zaczęła zwalniać.

— Jesteśmy już w pobliżu Teng-Kamppu — oznajmił Zhenak-Teng.

W chwilę później pojazd zatrzymał się, a miedzianoskóry mężczyzna wyprostował się i westchnął z ulgą.

— Znakomicie — powiedział. — Dowiedziałem się tego, co było celem mojej wyprawy. Oddział Charek pożywia się na południowym zachodzie i nie powinien zanadto zbliżyć się do Teng-Kamppu.

— Czym są te Charki? — zapytał d'Averc. Podniósł się z miejsca i syknął, odczuwając dotkliwy ból poranionego ciała.

— Charki to nasi wrogowie. Te istoty zostały stworzone po to, by zniszczyć rodzaj ludzki — wyjaśnił Zhenak-Teng. — Żywią się na powierzchni gruntu, wysysając energię z ukrytych kamppów naszego ludu.

Musnął jakąś dźwignię, kulą zatrzęsło i poczęła się zanurzać w ziemi. Wyglądało to tak, jakby ziemia połknęła ich i zamknęła się nad ich głowami. Przez pewien czas kula opadała w głąb, wreszcie zatrzymała się. Otoczyło ich nagle jaskrawe światło i spostrzegli, iż znajdują się w niewielkiej, ledwie mieszczącej kulisty pojazd podziemnej komorze.

— Teng-Kampp — oznajmił lakonicznie Zhenak-Teng, dotykając przycisku na pulpicie kontrolnym. Znów pojawiło się rozcięcie w boku kuli.

Zeszli na dno komory, dźwigając ciało Mygana; pochyliwszy głowy minęli łukowato sklepione przejście i znaleźli się w drugiej komorze. Minęli ich ludzie ubrani podobnie do Zhenak-Tenga, spieszący prawdopodobnie, by zająć się kulistym pojazdem.

— Tędy — rzucił wysoki mężczyzna, wprowadzając ich do sześciennego pokoiku, który zaczął powoli wirować. Hawkmoon i d'Averc przywarli do ścian pomieszczenia, odczuwając zawroty



głowy, lecz po chwili wszystko dobiegło końca i Zhenak-Teng powiódł ich do wyściełanego grubymi dywanami pokoju, wypełnionego prostymi i wygodnymi meblami.

— To moje apartamenty — powiedział. — Wezwę teraz medyków, członków mojej rodziny, którzy być może zdołają pomóc waszemu przyjacielowi. Wybaczcie — rzekł i zniknął w następnym pokoju.

W chwilę później wrócił uśmiechnięty.

— Moi bracia wkrótce tu przybędą.

— Mam nadzieję — mruknął skrzywiony d'Averc. — Nigdy nie byłem specjalnie zachwycony towarzystwem trupów...

— To nie potrwa długo. Chodźcie, zaprowadzę was do innego pomieszczenia, gdzie będziecie mogli wypocząć.

Zostawili ciało Mygana i przeszli do pokoju, gdzie obok ułożonych w sterty poduch, tace pełne jedzenia i napojów zdawały się unosić w powietrzu, nie mając żadnego oparcia.

Idąc za przykładem Zhenak-Tenga usadowili się na miękkich poduszkach i zaczęli pożywiać. Jedzenie okazało się wyśmienite, a że byli wygłodniali, pochłaniali je w olbrzymich ilościach.

Po pewnym czasie do pokoju wkroczyło dwóch mężczyzn z wyglądu podobnych do ich gospodarza.

— Już za późno — odezwał się jeden z nich. — Przykro mi, bracie, ale nie możemy ożywić tego starca. Odniósł poważne rany i minęło zbyt wiele czasu...

Zhenak-Teng omiół d'Averca i Hawkmoona pełnym współczucia spojrzeniem.

— Obawiam się, że straciliście przyjaciela na zawsze.

— W takim razie może wyprawicie mu godziwy pochówek — rzekł Francuz z wyraźną ulgą.

— Oczywiście. Uczynimy wszystko, co niezbędne.

Dwaj mężczyźni wyszli i wrócili mniej więcej po półgodzinie, kiedy Hawkmoon i d'Averc kończyli posiłek. Pierwszy z nich przedstawił się jako Bralan-Teng, drugi miał na imię Polad-Teng. Obaj byli braćmi Zhenak-Tenga i praktykującymi medykami. Obejrzelili rany dwóch przyjaciół i opatrzyli je.

— A teraz musicie opowiedzieć mi, w jaki sposób znaleźliście się w Krainie Kamppów — powiedział Zhenak-Teng. — Z powodu Charek rzadko zjawia się tu ktoś obcy. Spragnieni jesteśmy wiadomości z innych części świata...

— Nie jestem pewien, czy będziemy umieli w sposób zrozumiały odpowiedzieć na pierwsze pytanie — rzekł Hawkmoon. — Nie wiem także, czy zadowolą cię nowiny z naszego świata. — Wyjaśnił następnie, najlepiej jak potrafił, w jaki sposób przybyli tutaj i gdzie znajdował się ich ojczysty świat.

Zhenak-Teng słuchał z napiętą uwagą.

— Tak, miałeś rację — stwierdził w końcu. — Niewiele zrozumiałem z twojej opowieści. Nigdy nie słyszałem o jakiejś „Europie” czy też „Granbretanie”, a urządzenia, które opisałeś, nie są znane naszej nauce. Wierzę ci jednak. Jakże inaczej moglibyście się tak niespodziewanie pojawić w Krainie Kamppów?

— Co to są kamppy? — zapytał d'Averc. — Powiedziałeś, że nie są to miasta.

— Nie. Stanowią domy rodzinne ludzi z jednego klanu. W naszym przypadku podziemny dom należy do rodziny Tengów. Inne mieszkające w pobliżu rodziny to Ohnowie, Sekowie i Nengowie. Przed laty było więcej, znacznie więcej rodzin, ale Charki wytropiły je i zniszczyły...

— Czymże są te Charki? — wtrącił Hawkmoon.

— To nasi odwieczni wrogowie. Zostały stworzone przez tego,

który niegdyś zamierzał wyniszczyć rodziny zamieszkujące równinę. Ostatecznie zniszczył sam siebie, przeprowadzając jakiś eksperyment zakończony eksplozją, ale jego stworzenia, Charki, nadal przemierzają równiny. Odznaczają się narkotycznymi skłonnościami do mordowania ludzi, z których wysysają całą energię życiową. — Zhenak-Teng zadrżał przy tych słowach.

— Wysysają waszą energię życiową? — zapytał d'Averc, marszcząc brwi. — A cóż to jest takiego?

— Coś, na czym bazuje życie. Jedna z podstaw życia. Zabierają nam to, zostawiając ludzi bezwolnych, bezmyślnych, niezdolnych do najmniejszego ruchu, konających powoli...

Hawkmoon otworzył już usta, by zadać kolejne pytanie, lecz nagle rozmyślił się. Wyraźnie mówienie na ten temat sprawiało Zhenak-Tengowi ból. W zamian spytał:

— A co to za równina? Według mnie nie wygląda na twór naturalny.

— Bo nie jest. Kiedyś, gdy spośród Setki Rodzin właśnie my byliśmy najpotężniejsi, znajdowały się tu nasze lądowiska. Potem nadszedł ten, który stworzył Charki. Pragnął zagarnąć dla siebie nasze bogactwa, źródła naszej potęgi. Nazywał się Shenatar-vron-Kensai i przyprowadził ze sobą ze wschodu Charki, których jedynym powołaniem stało się wyniszczenie Rodzin. Prawie dokonały już swego dzieła, została nas zaledwie garstka. Stopniowo, w nadchodzących stuleciach, Charki wywęszą nas wszystkich...

— Zdaje się, że nie macie żadnej nadziei — stwierdził d'Averc niemal oskarżycielskim tonem.

— Jesteśmy po prostu realistami — odparł bez urazy Zhenak-Teng.

— Jutro chcielibyśmy wyruszyć w dalszą drogę — powiedział

Hawkmoon. — Czy macie mapy? Albo coś innego, co pomogłoby nam dotrzeć do Narleenu?

— Mam mapę, chociaż bardzo niedokładną. Narleen było niegdyś wielkim handlowym miastem na wybrzeżu. Ale od tamtej pory minęły stulecia. Nie wiem, co z niego pozostało.

Zhenak-Teng podniósł się.

— Pokażę wam pokój, który dla was przygotowałem. Możecie spędzić tu noc, a w długą podróż wyruszyć rano.

## ROZDZIAŁ II

### CHARKI



**B**awkmoona zbudziły odgłosy bitwy. Przemknęło mu przez myśl, że wyśnił to wszystko, a tak naprawdę wciąż znajduje się w jaskini, gdzie d'Averc toczy walkę z baronem Meliadusem. Wyskoczył z łóżka i sięgnął po miecz, leżący wraz z jego zniszczonymi ubraniami na stojącym nie opodal stołku. Przebywał jednak w pokoju, w którym Zhenak-Teng zostawił ich poprzedniego wieczora, a z sąsiedniego łóżka spoglądał na niego zdumiony Francuz. Książę pospiesznie zaczął się ubierać. Zza zamkniętych drzwi dobiegały okrzyki, brzęk mieczy, mrożące krew w żyłach wycia i jęki. Gdy nałożył na siebie strój, podkraść się do drzwi i uchylił je nieco.

Ośłupiał. Miedzianoskórzy, przystojni mieszkańcy Teng-Kamppu pochłonięci byli dziełem wzajemnego mordowania się. To nie walka na miecze była źródłem charakterystycznego brzęku — wymachiwali tasakami do mięsa, żelaznymi sztabami oraz wszelkiego rodzaju sprzętami domowymi i przyrządami naukowymi, mogącymi stanowić broń. Wszystkie twarze wykrzywiały się w bestialskich, szokujących grymasach, z ust skapywała piana, a oczy płonęły szaleństwem. Musiał ich dotknąć jakiś obłąd!

Z korytarza przesączał się ciemnoniebieski dym, któremu

towarzyszył nie znany Hawkmoonowi fetor oraz odgłosy tłuczonego szkła i rozpruwanych blach.

— Na Magiczną Laskę, d'Avercu! — jęknął. — Co ich mogło nawiedzić?

Grupka zmagających się mężczyzn runęła nagle na drzwi, wpadając do wnętrza pokoju, i Hawkmoon niespodzianie znalazł się pośród nich. Przepchnął się pomiędzy ludźmi i uskoczył w bok. Nikt nie atakował ani jego, ani d'Averca. Zarzynali się nawzajem, jakby nieświadomi obecności dwóch podróżników.

— Tędy! — zawołał księżę Koln, wyskakując z pokoju z mieczem w dłoni. Zaniósł się kaszlem, a z oczu popłynęły mu łzy, gdy niebieski dym dostał się do jego płuc.

Dookoła panował chaos. Korytarz zalegały martwe ciała. Przedzierali się z trudem przez pomieszczenia, aż dotarli do apartamentów Zhenak-Tenga. Drzwi były zamknięte. Hawkmoon jak oszalały załomotał w nie głowicą rękojeści miecza.

— Zhenak-Teng! Tu Hawkmoon i d'Averc! Czy jesteś tam?

Usłyszeli jakieś poruszenie za drzwiami, które po chwili otworzyły się. Zhenak-Teng z oczyma rozszerzonymi przerażeniem wciągnął ich do środka, zatrzasnął drzwi i zarygłował je z powrotem.

— Charki — powiedział. — Musiała być jeszcze jedna grupa wężąca w pobliżu. Nie wykonałem swego zadania. Wzięły nas przez zaskoczenie. Jesteśmy zgubieni.

— Nie widzę żadnych potworów — stwierdził d'Averc. — Twoi pobratymcy walczą między sobą.

— Tak, właśnie w ten sposób Charki nas wyniszczają. Emitują promieniowanie, jakiegoś rodzaju fale mózgowe, które przywodzą nas do szaleństwa, powodują, że najbliższych przyjaciół i braci bierzemy za wrogów. Gdy my zajęci jesteśmy

walką, one przenikają do kamppów. Wkrótce tu będą!

— Co to za niebieski dym? — dopytywał się Francuz.

— On nie ma nic wspólnego z Charkami. Pochodzi z naszych spalonych generatorów. Nie dysponujemy już energią, nawet gdybyśmy potrafili się opanować, nic by to nie dało.

Gdzieś w górze rozległy się straszliwe uderzenia i tąpnięcia, wstrząsające całym pomieszczeniem.

— To Charki — mruknął Zhenak-Teng. — Niedługo ich fale dosięgną i mnie, nawet mnie...

— Dlaczego ty nie uległeś dotychczas ich oddziaływaniu? — wtrącił Hawkmoon.

— Niektórzy z nas są nieco bardziej odporni. Wygląda na to, że na was te fale w ogóle nie działają. Inni ulegają im natychmiast.

— Czy nie możemy stąd uciec? — Księżę Dorian rozglądał się po pokoju. — Kula, którą tu przybyliśmy...

— Za późno. Już za późno...

D'Averc chwycił Zhenak-Tenga za ramię.

— Chodźże, człowieku. Może zdołamy uciec, jeśli się pospieszymy. Tylko ty umiesz kierować kulą!

— Muszę umrzeć wraz z całą rodziną, do której zniszczenia zresztą sam się przyczyniłem. — W Zhenak-Tengu trudno było rozpoznać cywilizowanego, pewnego siebie mężczyznę, z którym rozmawiali poprzedniego dnia. Całkowicie upadł na duchu. Jego oczy zaczynały błyszczeć i Hawkmoon odniósł wrażenie, że już za chwilę ulegnie on straszliwej mocy Charek.

Błyskawicznie podjął decyzję, uniósł miecz i uderzył. Trafił rękojęścią w nasadę czaszki Zhenak-Tenga i ten padł bez zmysłów.

— Chodźmy, d'Avercu — rzekł posępnym tonem. — Zabierajmy go do wnętrza kuli. Szybko!

Krztusząc się coraz gęściejszym niebieskim dymem, wyśliznęli się z pokoju i powędrowali korytarzami, wlokąc między sobą bezwładne ciało. Hawkmoon pamiętał drogę do komory, w której zostawili kulę, i teraz prowadził d'Averca.

Nagle całym korytarzem wstrząsnęły gwałtowne uderzenia, tak że zmuszeni zostali do oparcia się o ścianę, by nie stracić równowagi. Jednocześnie...

— Ściana kruszy się! — krzyknął d'Averc, odskakując do tyłu.  
— Szybko poszukajmy innej drogi!

— Musimy dostać się do kuli! — zawołał Hawkmoon. —  
Ruszajmy dalej!

W dół posypały się kawałki stropu, a przez powstałą szczelinę do wnętrza korytarza przeniknęła szara, jakby wyciosana z kamienia macka. Na jej końcu widniała przyssawka, podobna do tej, jakie pokrywają odnóża ośmiornicy, która rozchyłała się niczym usta do pocałunku.

Hawkmoon wzdrygnął się i ukłął czubkiem miecza wypustkę; cofnęła się i wydeła nieco, jak gdyby dotyk ostrej stali potraktowała jako chęć nawiązania przyjaźni, po czym opadła z powrotem.

Tym razem ciął z całej siły, a gdzieś z tyłu za nimi rozległ się pomruk i głośny syk. Stworzenie musiało być zaskoczone faktem, że ktoś stawia mu opór. Hawkmoon przerzucił nieprzytomnego Zhenak-Tenga przez ramię, jeszcze raz ciął mackę mieczem, po czym przeskoczył ją i pobiegł osypującym się korytarzem.

— Szybciej, d'Avercu! Do kuli!

Francuz także przeskoczył mackę i popędził za nim. Ściana rozpadła się nagle, ukazując kłębowisko drgających odnóży, pulsującą głowę oraz twarz, będącą karykaturą rysów człowieka, rozpromienioną idiotycznym uśmiechem.



— Chce, żebyśmy go zabawili! — zawołał d'Averc z wisielczym humorem, robiąc unik przed sięgającą ku niemu macką. — Czy musisz aż tak bardzo ranić jego uczucia, Hawkmoonie?

Lecz księżę Dorian zajęty był odryglowywaniem drzwi, wiodących do komory mieszczącej kulę. Zhenak-Teng, spoczywający na podłodze obok niego, jęknął i objął rękoma głowę.

Hawkmoon, uporawszy się z zamkiem, ponownie przerzucił gospodarza przez ramię i przeszedł do pomieszczenia, gdzie spoczywała maszyna.

Nie wydobywał się z niej żaden odgłos, a barwy na powierzchni jakby wyblakły, lecz szczelina była rozwarta. Księżę wszedł po drabince; układał Zhenak-Tenga w fotelu przy pulpicie, kiedy dołączył do niego d'Averc.

— Ruszaj tym pojazdem — zwrócił się do tubylca — w przeciwnym razie zostaniemy rozszarpani przez tę Charkę, którą tam widzisz... — Wskazał mieczem gigantyczne stworzenie, usiłujące precyzyjnie się przez drzwi do komory.

Kilka macek sunęło ku nim wzdłuż ścian kuli. Jedna zdołała musnąć ramię Zhenak-Tenga, który jęknął cicho.

Hawkmoon krzyknął i ciął wypustkę mieczem, póki nie klapnęła na podłogę. Lecz natychmiast zaroilo się wokół nich od innych macek, niektóre przywarły do ciała miedzianoskórego mężczyzny, a on zdawał się akceptować ich dotknięcia z całkowitą biernością. Hawkmoon i d'Averc wrzeszczeli na niego, by natychmiast uruchamiać pojazd, podczas gdy sami cięli desperacko dziesiątki wijących się odnóży.

Księżę wyciągnął lewą rękę i ścisnął od tyłu mocno kark Zhenak-Tenga.

— Zamknij kulę, człowieku! Zamykaj kulę!

Gospodarz w końcu usłuchał, gwałtownym ruchem wcisnął guzik, pojazd zaczął szumieć i warczeć, a na jego ścianach ponownie zagrały różnorodne barwy.

Macki próbowały zablokować powolny ruch zwierających się krawędzi szczeliny. Trzy wypustki zdołały przedrzeć się przez obronę d'Averca i objęły Zhenak-Tenga, który krzyknął i stracił przytomność. Hawkmoon ponownie skoczył i zaczął je rąbać. Kula w końcu zamknęła się i ruszyła ku górze.

Macki jedna po drugiej zniknęły i książę Koln odetchnął z ulgą. Odwrócił się ku miedzianoskóremu mężczyźnie.

— Uwolniliśmy się!

Lecz Zhenak-Teng patrzył przed siebie szklistym wzrokiem, a jego ręce zwisały bezsilnie po bokach.

— Nic z tego — wycedził powoli. — To zabrało moje życie... — Wychylił się z fotela i runął na podłogę.

Hawkmoon klęknął przy nim, przykładając dłoń do piersi człowieka, żeby wyczuć bicie serca. Wstrząsnął nim dreszcz.

— On jest zimny, d'Avercu! Zupełnie zimny!

— Żyje jeszcze? — spytał Francuz. Książę pokręcił głową.

— Nie, jest martwy.

Kula przez cały czas wędrowała ku górze. Hawkmoon stanął nad pulpitem kontrolnym i obrzucił go przerażonym spojrzeniem. Nie wiedział, do czego służą poszczególne instrumenty, a nie miał odwagi niczego dotknąć, żeby nie spowodować powrotu pod ziemię, gdzie Charki ucztowały na energii życiowej mieszkańców Teng-Kamppu.

Nagle wyskoczyli na powierzchnię, podskakując nieznacznie na trawiastej równinie. Hawkmoon zasiadł za pulpitem, chwycił w dłonie drążek, naśladując ruchy Zhenak-Tenga z ostatniej podróży, po czym ostrożnie przesunął go w bok, z satysfakcją

obserwując, jak kula zaczyna się toczyć w tamtym kierunku.

— Sądzę, że uda mi się nią kierować — powiedział. — Nie potrafię jednak zgadnąć, jak ją zatrzymać albo jak otworzyć wejście.

— Dopóki oddalamy się od tych potworów, dopóty nie musimy łamać sobie nad tym głowy — rzekł d'Averc, uśmiechając się. — Skręć na południe, Dorianie. Przynajmniej będziemy podróżować w tym kierunku, w jakim powinniśmy.

Książę postąpił zgodnie z sugestią przyjaciela i przez kilka godzin toczyli się spokojnie po trawiastej równinie, aż wreszcie w zasięgu ich wzroku pojawił się las.

— Ciekaw jestem — powiedział d'Averc, kiedy Hawkmoon pokazał mu linię lasu — jak zachowa się ta kula w zetknięciu z drzewami. Nie jest przystosowana do podróży w zalesionym terenie.

## ROZDZIAŁ III

### RZEKA SAYOU



**K**ula wpadła między drzewa, rozległ się trzask łamanych gałęzi i brzęk wgniatanych blach. D'Averca i Hawkmoona, w niezbyt przyjemnym towarzystwie zimnego ciała Zhenak-Tenga, rzuciło w przeciwległy koniec pomieszczenia kontrolnego. Następnie cisnęło nimi w górę, potem w bok i gdyby ściany kabiny sterowniczej nie były miękko wyściełane, ponieśliby śmierć na miejscu; mieliby pogruchotane kości. Wreszcie pojazd zatrzymał się, pokołysał jeszcze przez chwilę i nagle rozsypał na kawałki, zrzucając pasażerów na ziemię.

D'Averc jęknął.

— Absolutnie zbędne doświadczenia dla kogoś tak osłabionego, jak ja.

Hawkmoon uśmiechnął się, po części z żartu przyjaciela, po części dlatego, że mógł się wreszcie odprężyć.

— Cóż — rzekł. — Udało nam się uciec o wiele łatwiej, niż sądziłem na początku. Wstawaj, d'Avercu. Musimy ruszać w dalszą drogę na południe.

— Myślę, że zasłużyliśmy na odpoczynek — odparł Francuz, przeciągając się i spoglądając na zieleń drzew nad ich głowami. Słońce przenikające między liśćmi zatapiało las w złotych i szmaragdowych potokach. W powietrzu unosił się intensywny

zapach sosen oraz ziemista woń brzoź, a z gałęzi spoglądała na nich wiewiórka o błyszczących, czarnych, łobuzerskich oczkach. Nie opodał, pośród splątanych korzeni i gałęzi, spoczywały szczątki kuli. Kilka małych drzewek leżało wyrwanych z ziemi, kilka zostało złamanych. Hawkmoon stwierdził w duchu, że ich ucieczka zakończyła się dość szczęśliwie. Usiłował opanować dreszcz emocji, dotarło do niego także znaczenie słów d'Averca. Przysiadł na trawiastym wzgórk, odwracając oczy od wraku pojazdu i zwłok Zhenak-Tenga, przygniecionych jedną ze ścian kuli.

Huillam położył się obok i po chwili odwrócił na wznak. Spod strzępów kaftana wydobył ciasno złożony kawałek pergaminu — plan, który Zhenak-Teng dał im poprzedniego dnia krótko przed udaniem się na spoczynek.

Rozłożył pergamin i zaczął studiować mapę. Dość szczegółowo przedstawiała równinę z zaznaczonymi różnymi kamppami narodu Zhenak-Tenga oraz czymś, co wyglądało na szlaki myśliwskie Charek. Obok większości podziemnych kompleksów widniały nakreślone krzyżyki, symbolizujące prawdopodobnie miejsca zniszczone przez Charki.

Wskazał punkt w pobliżu rogu mapy.

— Tutaj — rzekł. — Tu znajduje się las, a nieco dalej na północ zaznaczona jest rzeka o nazwie Sayou. Strzałka wskazuje kierunek południowy, do Narleenu. O ile mogę się zorientować, ta rzeka powinna zaprowadzić nas wprost do miasta.

Hawkmoon skinął głową.

— Wyruszymy zatem w stronę rzeki, gdy tylko zbierzemy siły. Im wcześniej dotrzemy do Narleenu, tym lepiej. Może tam dowiemy się wreszcie, w jakim czasie i przestrzeni jesteśmy. Niestety się złożyło, że Charki zaatakowały właśnie dzisiaj.

Gdybyśmy mieli okazję dokładniej wypytać Zhenak-Tenga, być może sami zlokalizowalibyśmy jakoś tę krainę.

Zdrzemnęli się wśród leśnej ciszy mniej więcej przez godzinę, potem wstali, doprowadzili do porządku broń oraz poszarpane ubrania, a następnie wyruszyli na północ w stronę rzeki.

Wędrowali przez gęstniejący stopniowo las, porastający wzgórza o coraz bardziej stromych zboczach, musieli przedzierać się przez zwarte zarośla, dlatego też przed wieczorem byli niezłe umęczeni, w kiepskich nastrojach i prawie nie odzywali się do siebie.

Hawkmoon wygrzebał z sakwy podwieszanej u pasa ozdobne puzderko z hubką i krzesiwem. Maszerowali jeszcze przez pół godziny, aż wyszli nad brzeg strumienia, który zasilał niewielką sadzawkę, obrzeżoną z trzech stron wysokimi skarpami. Za jeziorkiem dostrzegli małą polankę.

— Spędzimy tutaj noc, d'Avercu — zdecydował Hawkmoon.  
— Nie jestem już w stanie przebierać nogami.

Francuz skinął głową, leżał na brzuchu nad brzegiem sadzawki i zaczął łapczywie pić kryształowo czystą wodę.

— Jest tu chyba dość głęboko — stwierdził, wstając i ocierając usta.

Książę nie odpowiedział, zajęty rozpalaniem ogniska. Wkrótce zasiedli przy trzaskających płomieniach.

— Dobrze byłoby coś upolować — rzekł ociężale d'Averc. — Zaczynam odczuwać głód. Czy znasz się choć trochę na stawianiu sideł, Hawkmoonie?

— Niewiele — odparł. — Poza tym nie jestem głodny. — To rzekłszy położył się na trawie i zasnął.

Poprzez noc i chłód Hawkmoona wyrwał ze snu przeraźliwy wrzask przyjaciela.

Zerwał się na nogi, spoglądając w kierunku wskazywanym przez d'Averca i zarazem wyciągając miecz z pochwy. Głęboko wciągnął powietrze, przerażony niespodziewanym widokiem.

Z jeziorka wyłaził gigantyczny jaszczur o czarnych, błyszczących oczkach. Woda spływała strumykami po olbrzymim cielsku okrytym czarną jak noc łuską. Jedynie w szeroko otwartej paszczy widniały szeregi białych, ostrych zębów. Rozchlapując fontannami płytką wodę, potwór brodził przy brzegu sadzawki, zmierzając w ich stronę.

Hawkmoon, przypominający karzełka w porównaniu z jaszczurem, zatoczył się do tyłu. Wielki łeb pochylił się ku niemu, szczęki zatrzęsnęły zaledwie o centymetry od jego twarzy, a fala smrodliwego oddechu zatamowała mu dech w piersi.

— Uciekaj, Hawkmoonie! Uciekaj! — wrzasnął d'Averc, po czym obaj popędzili w kierunku leśnej gęstwiny.

Lecz gad zdołał wyleźć z wody i ruszył za nimi w pościg. Ryknął przeraźliwie, a jego głos zdawał się wypełniać cały las. Dwaj przyjaciele podali sobie ręce i pędzili niemal na oślep w mrok nocy, nie zważając na wyrastające przed nimi gęste zarośla.

Ponownie rozbrzmiał ogłuszający ryk, w powietrzu śmignął niczym bat długi, giętki język i zacisnął się wokół bioder d'Averca.

Francuz wrzasnął i ciął jęzor gada mieczem. Hawkmoon z bojowym okrzykiem skoczył ku niemu, nacierając ze wszystkich sił na czarny ozór. Nie wypuszczał ręki przyjaciela, zapierając się mocno obiema nogami o ziemię.

Wodna bestia nieubłaganie ściągała ich obu w stronę rozwartej paszczy. Książę pojął szybko, że tą metodą nie uratuje d'Averca. Puścił jego rękę i odskoczył w bok, stając naprzeciwko

grubego, czarnego jęzora.

Chwycił oburącz miecz, uniósł go wysoko nad głowę, po czym ciał, wkładając w ten cios wszystkie siły.

Potwór ryknął jeszcze głośniejszym głosem, aż zadrżała ziemia, a z odciętego języka bluznęła cuchnąca posoka. Ryk przeszedł w zatrważające wycie, drzewa poczęły chylić się i padać pod cielskiem sunącego ku nim potwora. Hawkmoon chwycił d'Averca i postawił go na nogi, spychając na bok odrażający koniec rozplatanego jęzora.

— Dziękuję! — wydyszał Francuz, rzucając się do ucieczki. — Zaczynam nienawidzić tej krainy. Mam wrażenie, że czyha tu więcej niebezpieczeństw niż w naszym świecie!

Gigantyczny jaszczur, to kłapiąc paszczą, to znów rycząc i zawodząc żałośnie, podążał za nimi.

— Znowu jest tuż za nami! — krzyknął Hawkmoon. — Nie uciekniemy mu!

Odwrócili się, wbijając oczy w ciemności. Wśród drzew dostrzegli jedynie dwa błyszczące punkciki oczu potwora. Książę zważył miecz w dłoni, oceniając jego ciężar.

— Mamy tylko jedną szansę! — zawołał, po czym cisnął orężem prosto w płonące nienawistnie ślepie.

Odpowiedzią był ogłuszający, żalostny ryk i ogromny łomot między drzewami. Płonące oczy zniknęły, a do ich uszu doszły odgłosy przedzierania się wielkiego stworu z powrotem przez las w stronę sadzawki.

Książę Dorian odetchnął z ulgą.

— Na pewno go nie zabiłem, ale widocznie zdecydował, że nie jesteśmy tak łatwym łupem, jak początkowo sądził. Chodźmy, d'Avercu. Musimy jak najszybciej dotrzeć do rzeki. Chciałbym wyjść wreszcie z tego lasu!



— Czyżbyś uważał, że na rzece będziemy bezpieczniejsi? — zapytał ironicznie Francuz.

Określili jednak strony świata według mchu na pniach drzew i poszli dalej przez las.

Dwa dni później wyszli z gąszczu na szczyt niewysokiego wzgórza; jego zbocze opadało łagodnie w dolinę, której środkiem toczyła wody szeroka rzeka. Nie mieli wątpliwości, że jest to Sayou.

Byli brudni, zarośnięci, a z ich ubrań pozostały żalosne strzępy. Hawkmoon był uzbrojony jedynie w sztylet. Natomiast d'Averc pozbył się resztek kaftana i wędrował nagi do pasa.

Zbiegli ze wzgórza, potykając się o korzenie i wpadając na gałęzie, nie zwracali jednak na nic uwagi, pragnąc jak najszybciej osiągnąć brzeg rzeki.

Nie mieli pojęcia, dokąd zawiedzie ich nurt, lecz ze wszystkich sił pragnęli wreszcie zostawić za sobą las i zamieszkujące go potwory. Co prawda nie natknęli się już na żadne zwierzę równie groźne jak jaszczur z sadzawki, ale z oddalenia obserwowali inne bestie, wiele razy natknęli się też po drodze na ślady łap.

Skoczyli w wody rzeki i zaczęli obmywać ciała z błota i brudu, uśmiechając się wreszcie do siebie.

— Woda to wspaniała rzecz! — oznajmił d'Averc. — Prowadź do miasta czy grodu, byle ku cywilizacji. Nie obchodzi mnie, co tam zastaniemy. Na pewno będzie to bardziej swojskie i mile przeze mnie widziane otoczenie, niż koszmar tego brudnego naturalnego środowiska.

Hawkmoon zaśmiał się; nie podzielał w pełni radości Francuza, ale rozumiał jego odczucia.

— Zbudujemy tratwę — powiedział. — Mamy szczęście, iż rzeka płynie na południe. Teraz, d'Avercu, wystarczy tylko

pozwoić zanieść się nurtowi do celu naszej podróży.

— I nałowimy ryb, Hawkmoonie. Cóż to będzie za jedzenie! Nie jestem przyzwyczajony do barbarzyńskiego jadła, którym żywiliśmy się przez ostatnie dwa dni. Jagody i korzonki! Paskudztwo!

— Nauczę cię, jak łowić ryby, d'Avercu. Może ta wiedza przyda ci się w przyszłości, gdybyś znalazł się w podobnej sytuacji! — Książę wybuchnął śmiechem, ochlapując przyjaciela wodą.

## ROZDZIAŁ 10

### YALJON ZE STARYELU



W ciągu czterech dni podróży tratwa zaniósła ich o wiele kilometrów w dół wielkiej rzeki, której brzegów nie porastały już lasy — niewysokie pagórki po obu stronach tonęły w morzu zdziczałych zbóż.

Hawkmoon i d'Averc żywili się tłustymi rybami wyławianymi z nurtu oraz warzywami i owocami, które zbierali na brzegu. Odprężeni płynęli spokojnie w stronę Narleenu.

W postrzępionych ubraniach i z dłuższymi z dnia na dzień brodami sprawiali wrażenie rozbitków z zatopionego statku, ale z ich oczu zniknął dziki wyraz, spowodowany głodem i przemęczeniem, a i nastroje znacznie się im poprawiły.

Późnym popołudniem czwartego dnia ujrzeli statek na rzece i zerwali się na nogi, wymachując rękoma, by przyciągnąć uwagę marynarzy.

— Możliwe, że są z Narleenu! — wykrzyknął Hawkmoon. — Może pozwolą nam, byśmy odpracowali koszty przetransportowania nas do miasta!

Był to statek o wysoko zadartym dziobie. Jego drewniane burty pomalowano w jaskrawe kolory, wśród których dominowały czerwony, złoty i żółty, a przez całą długość -ciągnął się błękitny spiralny ornament. Ożaglowanie i dwa maszty wskazywały, iż

jest to szkuner, lecz zaopatrzony był ponadto w wiosła, dzięki którym posuwał się teraz pod prąd rzeki. Z lin zwisały setki wielobarwnych chorągiewek, a stroje marynarzy obecnych na pokładzie były równie kolorowe.

Na statku wciągnięto wiosła i złożono je wzdłuż burt. Z pokładu wychylił się w ich stronę brodaty mężczyzna.

— Kim jesteście?

— Podróżnikami, obcymi w tej krainie. Czy możecie zabrać nas na pokład? Zapracujemy na przejazd do Narleenu! — zawołał d'Averc.

Brodacz zaśmiał się.

— W porządku, możemy was zabrać. Chodźcie, panowie.

Z góry spłynęła sznurowa drabinka, dwaj przyjaciele wspięli się po niej i stanęli na zdobionym ornamentami pokładzie.

— Ten statek to „Rzeczny Jastrząb” — oznajmił brodaty marynarz. — Nie słyszeliście o nim?

— Powiedzieliśmy, że jesteśmy tu obcy — odparł Hawkmoon.

— Aha... No cóż, jest on własnością Yaljona ze Starvelu, o którym musieliście słyszeć.

— Nie — rzekł d'Averc. — Jesteśmy mu jednak wdzięczni, że wysłał swój szkuner właśnie w tym kierunku. — Uśmiechnął się. — Zatem, przyjacielu, co powiesz na to, byśmy pracą zapłacili za przejazd do Narleenu?

— Cóż, jeśli nie macie pieniędzy...

— Nie mamy.

— Lepiej zapytajmy samego Yaljona, co mamy z wami zrobić.

Brodacz poprowadził ich ku podwyższonemu pokładowi rufowemu, gdzie stał szczupły mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w horyzont.

— Lordzie Yaljonie! — zawołał brodaty marynarz.

— O co chodzi, Ganaku?

— Wzięliśmy tych dwóch na pokład. Nie mają pieniędzy i jak sami mówią, chcieliby odpracować podróż.

— Zatem pozwól im, Ganaku, jeśli sami tego pragną. — Yaljon uśmiechnął się krzywo. — Pozwól im.

Nawet nie spojrział na Hawkmoona i d'Averca, wpatrując się bez przerwy w wijącą się przed dziobem rzekę. Odesłał ich ruchem dłoni.

Księżę poczuł się nieswojo i rozejrzał szybko dookoła. Cała załoga spoglądała na nich w milczeniu, a na twarzach żeglarzy błędziły niewyraźne uśmieszki.

— To jakiś żart? — zapytał zdezorientowany.

— Żart? — odparł Ganak. — Nie, skądże. A teraz poproszę was, panowie, żebyście zasiedli do wiosł, jeśli chcecie zarobić na podróż.

— Takiej pracy oczekujecie od nas w zamian za przewiezienie do miasta? — rzekł z ociąganiem d'Averc.

— To raczej wyczerpujące zajęcie — stwierdził Hawkmoon. — Na szczęście jesteśmy niezbyt daleko od Narleenu, jeśli nasza mapa nie kłamie. Pokaż nam, przy których wiosłach mamy usiąść, Ganaku.

Marynarz poprowadził ich wzdłuż pokładu i wkrótce znaleźli się przy drabince wiodącej w dół, ku szeregom wiosłarzy. Hawkmoona zdumiał stan, w jakim znajdowali się ci ludzie. Byli wychudzeni i brudni.

— Nie rozumiem... — zaczął. Ganak zaśmiał się.

— Wkrótce zrozumiesz.

— Cóż to za ludzie? — spytał zatrwożony d'Averc.

— To niewolnicy, panowie. Podobnie jak i wy. Nie zabieramy na pokład nikogo, kto nie przyniesie nam żadnego pożytku, a

ponieważ nie macie pieniędzy, nie możemy także liczyć na okup za was, zrobimy z was niewolników przy wiosłach. Schodźcie na dół!

D'Averc dobył miecza, a Hawkmoon sięgnął po sztylet, lecz Ganak uskoczył do tyłu, wzywając swych kompanów.

— Zajmijcie się nimi, chłopcy. Pokażcie im, co mają robić, bo zdaje się, nie rozumieją, na czym polega rola niewolnika.

Za ich plecami, dokoła luku, zaroilo się od marynarzy z połyskującymi szablami w dłoniach. Druga grupa zbliżała się od przodu.

Dwaj przyjaciele gotowi byli zginąć na miejscu, zabierając z sobą jak najwięcej żeglarzy, kiedy niespodzianie runął na nich z góry jakiś człowiek, przywiązany liną do salingu, i zadawszy im drewnianą pałką ciosy w głowę, stracił obu na pokład wioślarski.

Uśmiechnięty marynarz wylądował na krawędzi luku i odrzucił pałkę. Ganak zarechotał, po czym klepnął go po ramieniu.

— Dobra robota, Orindo. Ta sztuczka zawsze daje świetne rezultaty i chroni przed rozlewem krwi.

Kilku mężczyzn zbiegło na dół, żeby rozbroić nieprzytomnych podróżników i przywiązać ich linami do wiosł.

Gdy Hawkmoon ocknął się, spostrzegł, że tkwi obok d'Averca na twardej ławce, a na krawędzi luku nad ich głowami siedzi Orindo, radośnie wymachując nogami. Mógł mieć co najwyżej szesnaście lat, a jego twarz rozpromieniał chytry uśmiezek.

— Odzyskali przytomność! — zawołał do kogoś niewidocznego z dolnego pokładu. — Możemy ruszać z powrotem do Narleenu. — Puścił oko do Hawkmoona i d'Averca. — Zaczynamy, panowie — rzekł. — Czy bylibyście łaskawi ruszyć wiosłami? — Wyraźnie naśladował zasłyszany sposób mówienia. — Macie szczęście.

Zawracamy w dół rzeki, wasza pierwsza praca nie będzie ciężka.

Hawkmoon ironicznie skłonił się ponad wiosłem.

— Dziękujemy, paniczu. Doceniamy pańską dbałość.

— Od czasu do czasu będę wam udzielał porad, taką już mam przyjacielską naturę — dodał Orindo, podkulił nogi, zebrał w garść poły czerwono-niebieskiej kurty i odszedł, balansując na krawędzi luku.

Po chwili w tym samym miejscu pojawiła się głowa Ganaka.

— Dobrze wiosłuj, przyjacielu — rzekł, trącając Hawkmoona w ramię ostrym czubkiem bosaka — w przeciwnym razie poczujesz razy tej pałeczki we wszystkich wnętrznościach. — Marynarz zniknął, natomiast pozostali wiosłarze przystąpili do ciągnięcia wiosła i chcąc nie chcąc dwaj przyjaciele zmuszeni zostali do przyjęcia ich rytmu pracy.

Wiosłowali przez większą część dnia, aż całą przestrzeń pod pokładem wypełnił ostry zapach potu niewolników. Jedynie koło południa dostali po misce pomyj. Było to wyniszczające zajęcie, a ponieważ reszta mamrotała z wdzięcznością o tym, że posuwają się z prądem, łatwo można było sobie wyobrazić, co oznacza wiosłowanie pod prąd.

Po zmroku oparli się wycieńczeni na wiosłach, nieledwie zdolni do spożycia drugiej miski nierozpoznawalnej brei, której smak pod każdym względem był jeszcze gorszy od tego, co podano im poprzednio.

Hawkmoon i d'Averc, mimo że byli zbyt zmęczeni, żeby zamienić choć słowo, nie omieszkali podjąć próby uwolnienia się z więzów. Okazało się to jednak niemożliwe — byli zanadto wyczerpani, by rozwiązać mocno zasupłane liny.

Następnego ranka obudził ich głos Ganaka.

— Wszystkie wiosła z lewej burty do wody! Ruszać się,

szumowiny! Dotyczy to również was, panowie! Ciągnąć! Ciągnąć! Mamy łup w zasięgu wzroku. Jeśli nam ucieknie, przekonacie się, co znaczy gniew Lorda Yaljona!

Wychudzeni niewolnicy natychmiast przystąpili do działania, a Hawkmoon i d'Averc zgięli swe karki na równi z nimi. Statek zawrócił, ustawiając się dziobem pod prąd.

Z górnego pokładu docierały odgłosy bieganiny i przygotowań do walki. Ganak odbierał instrukcje swego pana, Lorda Yaljona, i krzykiem przekazywał je w głąb luku niewolnikom.

Książę pomyślał, że wysiłek ciągnięcia wiosła uśmierci go w krótkim czasie — serce mu łomotało, a ścięgna trzeszczały od nadmiernego naprężenia. Nie był ułomkiem, ale praca galernika zmuszała do obciążania głównie tych mięśni, których nigdy przedtem aż tak nie forsował. Pot lał się z niego strumieniami, pasma sklejonych włosów opadały na twarz, a otwarte spazmatycznie usta nie mogły złapać oddechu.

— Och... Hawkmoonie — wyjąkał d'Averc. — To... zajęcie... nie jest... moją... życiową... rolą...

Książę nie odpowiedział. Straszliwy ból wykręcał mu ramiona i rozsadzał piersi. Szkunerem nagle szarpnęło, kiedy jego burta szepiła się z burtą innego statku.

— Opuścić wiosła z lewej strony! — krzyknął Ganak.

Hawkmoon i pozostali galernicy natychmiast przestali pracować i opadli bez sił na wiosła. Ponad ich głowami rozbrzmiały odgłosy walki. Słyszać było brzęk mieczy, jęki konających, dobrze znaną wrzawę bitewną, lecz dla Hawkmoona niewiele różniła się ona od majaków sennych. Czuł, że jeśli jeszcze przez jakiś czas będzie ciągnął wiosła na okręcie Lorda Yaljona, niedługo pożegna się z tym światem.

Nagle tuż nad nim zabrzmiał zduszony, gardłowy jęk i jakiś



wielki ciężar zwałił mu się na kark, zadrżał konwulsyjnie, przetoczył przez niego i legł na deskach tuż przed nim. Był to potężnie zbudowany marynarz, silnie porośnięty rudym włosom. Z jego piersi wystawała wielka szabla. Jęknął raz jeszcze, zeszywniał i wyzionął ducha, a z bezwładnej dłoni wysunął się nóż.

Hawkmoon wbijał przez chwilę szkliste oczy w ten przedmiot, wreszcie jego umysł zaczął pracować. Wyprostował nogę i przekonał się, że jest w stanie dosięgnąć stopą noża. Powoli, robiąc kilkakrotnie przerwy, przyciągnął go do siebie i wsunął pod ławkę. Wreszcie z powrotem opadł zmęczony na wiosło.

Po pewnym czasie odgłosy walki przycichły, a Hawkmoon, przywołany do rzeczywistości swądem palonego drewna, rozglądał się dookoła w panice, aż wreszcie zrozumiał.

— Pali się tamten drugi statek — powiedział d'Averc. — Jesteśmy na pokładzie pirackiego okrętu, drogi przyjacielu. Pirackiego! — Uśmiechnął się szyderczo. — Co za niegodne zajęcie... w dodatku przy moim kruchym zdrowiu...

Książę, dość krytyczny wobec siebie, stwierdził, że Francuz zdecydowanie lepiej znosi te warunki od niego. Wciągnął głęboko powietrze i, na ile potrafił, wyprostował ramiona.

— Mam nóż... — zaczął szeptem, ale d'Averc energicznie pokręcił głową.

— Wiem, widziałem. Szybka reakcja, mój drogi. Poza tym nie jesteś jeszcze w tak kiepskiej kondycji. Aż do tego momentu sądziłem, że w każdej chwili możesz wyzionąć ducha!

— Musimy wypocząć tej nocy, ale tuż przed świtem spróbujemy uciec — szepnął Hawkmoon.

— Zgoda. Musimy zaoszczędzić tyle sił, ile tylko możliwe. Odwagi, Dorianie. Już wkrótce będziemy znów wolnymi ludźmi!

Przez resztę dnia popychali energicznie statek w dół rzeki, odpoczywając tylko krótko w południe przy misce pomyj. W którymś momencie Ganak przykucnął na krawędzi luku i dźgnął bosakiem ramię Hawkmoona.

— Jutro, przyjacielu, dotrzesz do celu swojej podróży. Zacumujemy w Starvelu.

— Co to jest Starvel? — wychrypiał książę. Ganak popatrzył na niego zdumiony.

— Musisz przybywać z bardzo daleka, jeśli nie słyszałeś o Starvelu. To część Narleenu, najbogatsza dzielnica. Obrzeżony murami gród, w którym mieszkają książęta tej rzeki, a wśród nich najznamienitszy jest Lord Yaljon.

— To znaczy, że wszyscy tam są piratami? — zapytał d'Averc.

— Ostrożnie, przybyszu — rzucił Ganak marszcząc brwi. — Mamy prawo do wszystkiego, co porusza się po rzece, ona bowiem należy do Lorda Yaljona i równych mu szlachciców.

Wyprostował się i odszedł. Wiosłowali aż do zapadnięcia zmroku, nim wreszcie Ganak dał rozkaz do opuszczenia wiosła. Hawkmoon miał wrażenie, że tego dnia praca była łatwiejsza — jego mięśnie i całe ciało przywykały do wysiłku — odczuwał jednak silne zmęczenie.

— Musimy spać na zmianę — mruknął do d'Averca znad miski jadła. — Najpierw zdrzemnij się ty, potem ja. Francuz skinął głową i niemal natychmiast zapadł w sen. Noc była zimna i Hawkmoon z olbrzymim trudem powstrzymywał się przed zamknięciem oczu. Słyszał hałasujących strażników, których po jakimś czasie zastąpili inni. Wreszcie z ulgą zaczął trącać d'Averca, dopóki ten nie obudził się do reszty.

Cichym pomrukiem potwierdził objęcie zmiany, a Hawkmoon zasypiając wspomniawszy jego słowa: przy odrobinie szczęścia o

świcie powinni być wolni. Najtrudniejszą część zadania stanowiło potajemne opuszczenie statku.

Obudził się czując dziwną swobodę i z rosnącą nadzieją ujrzał, że jego ręce nie są już przywiązane do wiosła. D'Averc musiał się natrudzić w nocy. Wkrótce miał nastać świt.

Zwrócił głowę w stronę przyjaciela, który uśmiechnął się, puścił do niego oko i zapytał cicho:

— Gotów?

— Tak... — odparł wzdychając. Popatrzył z zazdrością na trzymany przez d'Averca nóż.

— Gdybym tylko miał broń — rzekł — uregulowałbym rachunek z Ganakiem za kilka zniewag...

— Nie mamy na to czasu — oznajmił Francuz. — Musimy uciekać najciszej, jak tylko można.

Obaj ostrożnie wstali z ławki i wytknęli głowy ponad krawędź luku. W odległym końcu pokładu stał na warcie marynarz, natomiast na podwyższeniu rufowym majaczyła niewyraźna postać Lorda Yaljona, który tkwił z bladą twarzą skierowaną ku ginącemu w mroku nurtowi rzeki.

Wartownik był odwrócony do nich plecami, Yaljon chyba także nie zamierzał spoglądać do tyłu. Dwaj przyjaciele wysunęli się z luku i zaczęli skradać w stronę dzioba statku.

W tej samej chwili Yaljon musiał się odwrócić, gdyż przygwoździł ich jego grobowy głos.

— A to co takiego? Ucieczka dwóch niewolników?

Hawkmoona przeszył dreszcz. Tamten musiał posiadać niewiarygodny instynkt, z całą pewnością bowiem nie mógł ich zobaczyć, co najwyżej usłyszał jakiś drobny szmer. Jego głos, mimo iż niezbyt donośny, jakimś sposobem dotarł na drugi koniec statku. Wartownik odwrócił się i krzyknął.

Dopiero teraz Lord Yaljon obrócił się, a jego śmiertelnie blade oblicze skierowało się ku uciekinierom.

Spod pokładu wyskoczyło kilku marynarzy, odcinając im drogę do burty. Zawrócili, a Hawkmoon ruszył biegiem w kierunku rufy i Lorda Yaljona. Wartownik uniósł szablę do ciosu, lecz Hawkmoon w desperacji zanurkował pod głównią, chwycił marynarza za rękę i szarpnął w górę. Tamten przekoziołkował i padł na deski z wywichniętym ramieniem. Księżę, któremu dokuczała już bezczynność, błyskawicznie chwycił nieporęczną broń i ciął w głowę marynarza, po czym odwrócił się i popatrzył na Lorda Yaljona.

Herszt piratów z niezmałym spokojem przyjmował niebezpieczeństwo. Utkwił przenikliwe spojrzenie bezbarwnych oczu w twarzy wroga.

— Jesteś głupcem — wycedził powoli. — Stoisz przed Lordem Yaljonem.

— A ty przed Dorianem Hawkmoonem, księciem Koln. Toczyłem walkę i pokonałem Mrocznych Lordów Granbretanu, oparłem się ich potężnej czarnej magii, o czym może zaświadczyć ów klejnot w moim czole. Nie lękam się ciebie, Lordzie Yaljonie. Piracie!

— Więc lękaj się ich — mruknął Yaljon, wskazując kościstym palcem ponad ramieniem Doriana.

Ten odwrócił się na pięcie i ujrzał szereg marynarzy sunących w stronę rufy. D'Averc był uzbrojony jedynie w nóż.

Hawkmoon rzucił mu szablę.

— Powstrzymaj ich, d'Avercu. A ja zajmę się hersztem! — Skoczył w górę, chwycił dłońmi reling i po chwili był już na pokładzie rufowym. Lord Yaljon z wyrazem lekkiego zdumienia na twarzy cofnął się o dwa kroki.

Książę podchodził do niego z rozpostartymi ramionami. Spod luźnych szat Yaljon wyciągnął wąski miecz, wycelował nim w napastnika, nie zamierzał jednak atakować — cofał się krok po kroku.

— Niewolniku — mruknął. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie. — Niewolniku.

— Nie jestem niewolnikiem, o czym cię zaraz przekonani. — Hawkmoon zanurkował pod głównią, próbując chwycić kapitana piratów, lecz Yaljon szybko uskoczył w bok, ciągle celując w księcia czubkiem miecza.

Widocznie przypuszczony na niego atak nie miał precedensu, Yaljon bowiem po prostu nie wiedział, co robić. Sprawiał wrażenie wyrwanego z jakiegoś dziwnego transu i wbijał spojrzenie w Hawkmoona, jakby ten nie był człowiekiem z krwi i kości.

Książę natarł ponownie, robiąc unik przed wysuniętą głównią, i po raz drugi Yaljon uskoczył w bok.

Na dole d'Averc oparł się plecami o ścianę nadbudówki rufowej i powstrzymywał na dystans stłoczonych w wąskim przejściu żeglarzy.

— Lepiej się pospiesz, drogi Hawkmoonie! — zawołał. — W przeciwnym razie już niedługo mogę zostać podziurawiony jak sito.

Książę zamierzył się, by uderzyć w twarz Yaljona, i poczuł, jak jego pięść styka się z zimnym, wyschniętym ciałem. Głowa pirata odskoczyła do tyłu, a miecz wysunął mu się z dłoni. Hawkmoon pochwycił broń, szacując jej wyważenie, po czym dzwignął nieprzytomnego Yaljona na nogi i przyłożył mu ostrze miecza do piersi.

— Cofnąć się, dranie, albo wasz herszt zginie! — krzyknął. —

Cofnąć się!

Zdumieni marynarze zaczęli odstępować, zostawiwszy u stóp d'Averca trzy martwe ciała. Przez ciżbę przepchnął się Ganak. Miał na sobie tylko krótką spódniczkę, a w garści ścisnął szablę. Na widok Hawkmoona rozdziawił szeroko gębę.

— A teraz, d'Avercu, może byłbyś łaskaw dołączyć tu do mnie!  
— zawołał niemal żartobliwym tonem Hawkmoon.

Francuz okrążył nadbudówkę i po schodkach wkroczył na pokład rufowy. Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

— Dobra robota, przyjacielu.

— Zaczekamy do świtu! — oznajmił głośno Dorian. —  
Wówczas skierujecie statek do brzegu. Kiedy będziemy już wolni, być może zostawimy waszego herszta przy życiu.

Ganak skrzywił się.

— Tylko głupcy obchodzą się w ten sposób z Lordem Yaljonem. Czyżbyście nie wiedzieli, że jest on najpotężniejszy wśród władających rzeką książąt ze Starvelu?

— Nic mi nie wiadomo o Starvelu, mój drogi, lecz jeśli zdołałem stawić czoło zagrożeniom płynącym z Granbretanu, a nawet odważyłem się wyprawić do samego serca tej krainy, nie wierzę, byś mógł zaskoczyć mnie jakimiś wymyślnymi groźbami. Strach należy do tych odczuć, których bardzo rzadko doznaję. Jednego możesz być pewien: kiedyś dosięgnie cię moja zemsta. Twoje dni są policzone.

Ganak zaśmiał się.

— Szczęście pomieszało ci w głowie, niewolniku! Zemsta będzie należała do spadkobierców Lorda Yaljona!

Świt zaczynał powoli rozjaśniać niebo na horyzoncie. Hawkmoon zignorował drwiny Ganaka.

Zdawać by się mogło, że minęły wieki, nim słońce wreszcie

wzeszło na niebie, zdobiąc odległe drzewa. Statek stał zakotwiczony blisko lewego brzegu, niedaleko przytulnej zatoczki, widocznej kilkaset metrów dalej w dole rzeki.

— Wydaj rozkazy wioślarzom, Ganaku! — zawołał Hawkmoon. — Sterujcie ku lewemu brzegowi.

Marynarz skrzywił się tylko, nie mając zamiaru go słuchać.

Księżę otoczył ramieniem gardło Yaljona, który zaczynał odzyskiwać świadomość, po czym przyłożył ostrze miecza do jego szyi.

— Mogę postarać się, żeby Yaljon umierał powoli, Ganaku!

Niespodziewanie herszt piratów zachichotał szyderczo i pisnął:

— Umierał powoli... umierał powoli... Hawkmoon popatrzył na niego zdziwiony.

— Tak, wiem, gdzie zranić, byś konał długo i w straszliwych męczarniach.

Ale Yaljon nie odpowiedział — stał nieruchomo, z trudem oddychając w miążdżącym uścisku.

— Ruszaj, Ganaku! Wydaj rozkazy! — zawołał d'Averc. Marynarz wciągnął głęboko powietrze.

— Wioślarze! — krzyknął, po czym zaczął ich instruować. Zatrzeszczały wiosła, plecy niewolników pochyliły się i statek powoli popłynął ku lewemu brzegowi szerokiej rzeki Sayou.

Księżę Dorian wpatrywał się uważnie w Ganaka, gdyż tamten mógł ich oszukać, ale marynarz stał bez ruchu i tylko uśmiechał się krzywo.

W miarę zbliżania się do brzegu Hawkmoona ogarniało odprężenie. Tak niewiele już dzieliło ich od wolności. Wierzył ponadto, że na lądzie nie będą ścigani, gdyż żeglarze nie porzucą statku w nurcie rzeki.

Usłyszał nagle okrzyk d'Averca, który pokazywał coś w górze. Zadań głowę i ujrzał spadającego ku nim na linie chłopaka.

To był Orindo z dzikim uśmiechem na ustach, ściskający w garści pałkę z twardego drewna.

Hawkmoon odepchnął Yaljona i uniósł ręce w górę, żeby osłonić głowę. Dziwnym trafem nie przyszło mu na myśl, że powinien skorzystać z miecza i przebić spadającego chłopaka. Otrzymał tak silny cios w ramię, że aż zatoczył się do tyłu. D'Averc podbiegł i chwycił Orinda w pól, przyciskając mu ręce do boków.

Yaljon, który nagle odzyskał werwę, rzucił się w stronę głównego pokładu i gromady marynarzy, przeraźliwie wrzeszcząc nieludzkim głosem.

D'Averc pchnął Orinda za hersztem, klnąc głośno.

— Dwukrotnie daliśmy się nabrać na tę samą sztuczkę, Hawkmoonie. Ta lekkomyślność mogła kosztować nas życie!

Żeglarze prowadzeni przez Ganaka z wrzaskiem natarli na stojących na górnym pokładzie przyjaciół. Książę zamierzył się na Ganaka, ale brodaty marynarz zdołał sparować cios, jednocześnie szerokim łukiem wyprowadzając cięcie na jego nogi. Hawkmoon zmuszony był odskoczyć w tył i piraci wdarli się na pokład rufowy. Ganak stanął przed nim z chytrym uśmiechem na twarzy.

— A teraz, niewolniku, przekonamy się, czy potrafisz walczyć z człowiekiem!

— Nie widzę tu żadnego człowieka — odparł książę Koln — tylko dzikie zwierzę. — Zaśmiał się.

Ganak zaatakował, ale Hawkmoon miał w dłoni znakomicie wyważony miecz, który zabrał Yaljonowi. Walczyli zaciekle, to cofając się, to nacierając, podczas gdy d'Averc utrzymywał



pozostałych marynarzy na dystans. Brodacz był wyśmienitym szermierzem, lecz jego szabla nie mogła się równać z połyskliwym mieczem herszta piratów.

Wreszcie Hawkmoon natarł na jego ramię desperackim pchnięciem i miecz o mało nie wypadł mu z dłoni, kiedy trafił na osłonę szabli, jednak szybko ponowił atak i zdołał zranić przeciwnika w lewą rękę.

Tamten zawył niczym zwierzę i z impetem rzucił się na wroga.

Książę spokojnie zripostował i tym razem ciął Ganaka w prawą rękę. Strumyczki krwi pociekły po obu spalonych na brąz przedramionach, Hawkmoon zaś jak dotąd nie odniósł żadnej rany. Ganak raz jeszcze rzucił się ku niemu w ślepej desperacji.

Teraz Hawkmoon wymierzył prosto w serce, chcąc zaoszczędzić piratowi dalszych zmartwień. Ostrze miecza wniknęło w ciało, zgrzytnęło o kości i Ganak w jednej chwili padł martwy.

W tym czasie żeglarzom udało się zepchnąć d'Averca w tył i bronił się on teraz w otoczeniu, wywijając młynka szablą. Książę zostawił nieruchome ciało Ganaka i skoczył ku nim, tnąc jednego marynarza w szyję, a drugiego w bok, zanim zdążyli zdać sobie sprawę z jego obecności.

Stanąwszy plecami do siebie dwaj przyjaciele dzielnie stawiali czoło gromadzie piratów, ich szansę jednak powoli topniały, w miarę jak kolejni marynarze dołączali do oblegającej ich czeredy.

Wkrótce pokład zalegały ciała zabitych, a Hawkmoon i d'Averc byli zalani krwią sączącą się z licznych ran. Walczyli bez wytchnienia. W pewnej chwili Hawkmoon pochwycił spojrzenie stojącego przy głównym maszcie Lorda Yaljona, którego przenikliwy wzrok wbijał się w jego twarz, jak gdyby pirat pragnął zapamiętać te rysy do końca swego życia.

Księcia Doriana przeszył dreszcz, lecz zaraz musiał skierować swą uwagę ku atakującym marynarzom. Otrzymał cios płazem szabli w głowę, zachwiał się i oparł o d'Averca, pozbawiając go równowagi. Upadli razem na pokład, osłaniając się przed razami i usiłując wstać. Książę pchnął jednego z napastników w brzuch, wymierzył cios pięścią w twarz pochylonego pirata i podniósł się na kolana.

Żeglarze niespodziewanie cofnęli się, spoglądając za burzę. Hawkmoon skoczył na nogi, d'Averc stanął obok niego.

Patrzyli z zaciekawieniem na wypływający z zakola rzeki drugi statek — białe żagle szkunera łopotały w lekkiej, wiejącej z południa bryzie, pomalowane na czarno i granatowo burty błyszczały w blasku porannego słońca, a wzdłuż relingów stali uzbrojeni ludzie.

— To na pewno piracka konkurencja — rzekł d'Averc i wykorzystując moment nieuwagi ściał stojącego mu na drodze marynarza, po czym rzucił się w stronę burty. Hawkmoon poszedł za jego przykładem, zmuszeni jednak zostali — z plecami przyciśniętymi do relingu — do podjęcia walki, chociaż połowa piratów pobiegła na główny pokład, by stawić się do dyspozycji Lorda Yaljona.

Ponad wodą rozbrzmiał czyjś głos, ale nie można było rozróżnić słów.

Poprzez zgiełk walki przebił się głęboki, emanujący znudzeniem głos Yaljona, który wymówił jedno tylko słowo, ale zawarł w nim całą skondensowaną nienawiść.

Słowo to brzmiało: „Bewchard!”

Piraci natarli na nich ponownie i Hawkmoon poczuł, że ostrze szabli dosięgnęło jego twarzy. Zwrócił spojrzenie rozplómiionych oczu w stronę napastnika i wyprowadził

błyskawiczne pchnięcie, trafiając tamtego prosto w usta i sięgając ostrzem mózgu, czemu towarzyszył straszliwy jęk agonii.

Książę nie miał litości. Wyciągnął pospiesznie miecz i przebił serce następnego napastnika.

Walka potoczyła się dalej, a tymczasem czarno granatowy szkuner coraz bardziej zbliżał się do ich statku.

Hawkmoonowi przemknęło przez myśl pytanie, czy zjawiają się sprzymierzeńcy, czy kolejni wrogowie. Nie miał jednak czasu na zastanowienie, mściwi piraci atakowali bowiem zaciekle, a ich ciężkie szable błyskały w powietrzu.

## ROZDZIAŁ V

### PAHL BEWCHARD



**K**iedy czarno-granatowy statek zetknął się burta w burtę z ich okrętem, powietrze przeszył okrzyk Yaljona:

— Zostawcie niewolników! Zapomnijcie o nich! Stawajcie do walki z psami Bewcharda!

Pozostali marynarze zachowując ostrożność odstąpili od dyszących ciężko Hawkmoona i d'Averca. Księżę pogonił ich jeszcze, pozorując atak, nie miał jednak sił, by ścigać ich naprawdę.

Spoglądali na żeglarzy odzianych w jednakowe czarno-granatowe kaftany i pantalony, którzy używając lin przeskakiwali na pokład „Rzecznego Jastrzębia”. Uzbrojeni byli w ciężkie topory i szable i walczyli z taką precyzją, że piraci nie potrafili dotrzymać im pola, chociaż dawali z siebie wszystko.

Hawkmoon poszukał wzrokiem Lorda Yaljona, ale ten zniknął, prawdopodobnie kryjąc się pod pokładem. Odwrócił się do d'Averca.

— Chyba wystarczy już tych krwawych zmaganiań na dzisiaj, przyjacielu — rzekł. — Co byś powiedział na bezpieczniejsze zajęcie, na przykład uwolnienie tych nieszczęśników przywiązanych do wiosł? — Nie czekając na odpowiedź przesadził poręcz relingu, wylądował w wąskim przejściu obok

luku na pokładzie, pochylił się i zaczął ciąć mieczem liny wiążące dłonie niewolników do wiosła.

Ci unosili ze zdumieniem głowy, w większości nie rozumiejąc, co Hawkmoon i d'Averc mają zamiar z nimi zrobić.

— Jesteście wolni — oznajmił księżę Dorian.

— Wolni! — powtórzył Francuz. — Posłuchajcie naszej rady i opuśćcie jak najszybciej ten statek, nie wiadomo bowiem, jak potoczą się losy bitwy.

Niewolnicy wstawali, rozmasowując zdrętwiałe kończyny, wreszcie jeden po drugim ruszyli ku burcie i zaczęli zsuwać się do wody.

D'Averc spoglądał na nich z uśmiechem.

— Szkoda, że nie możemy pomóc tamtym przy drugiej burcie — rzekł.

— Dlaczego nie? — spytał Hawkmoon, wskazując pokrywę luku po przeciwnej stronie wąskiego przejścia. — Jeśli się nie mylę, tędy można zejść pod pokład.

Zaparł się plecami o reling i zaczął kopać rygiel pokrywy, dopóki ten po kilku uderzeniach nie odskoczył. Wkroczyli w mroczną przestrzeń pod pokładem i ruszyli ku burcie. Odgłosy bitwy rozlegały się teraz nad ich głowami.

D'Averc przystanął na chwilę i wyszczerbioną szablą rozciął leżący pod ścianą spory tłumok. Ze środka posypały się klejnoty.

— Ich łupy — powiedział.

— Nie mamy na to czasu — stwierdził Hawkmoon, lecz Francuz uśmiechnął się tylko szeroko.

— Nie miałem zamiaru ich zabierać — stwierdził — ale nie chciałbym też, by Yaljon z nimi uciekł, gdyby bitwa rozstrzygnęła się na jego korzyść. Spójrz... — wskazał dużą, okrągłą pokrywę zaklinowaną w dnie statku. — Jeśli się nie mylę, przez to można

wpuścić wody rzeki do wnętrza okrętu, przyjacielu!

Książę skinął głową.

— Zajmij się tym, a ja spróbuję uwolnić resztę niewolników.

Zostawił d'Averca mocującego się z osłoną i podszedł ku widniejącym w oddali drzwiom. Wyciągnął kołek mocujący rygiel.

Drzwi odskoczyły i wpadli przez nie dwaj siłujący się mężczyźni. Jeden z nich miał na sobie barwy atakującego statku, drugi był człowiekiem Yaljona. Hawkmoon błyskawicznym ruchem przeszył pirata mieczem. Drugi z walczących popatrzył na niego zdziwiony.

— Ty jesteś jednym z tych, których widzieliśmy broniących się na pokładzie rufowym! — wykrzyknął. Książę przytaknął ruchem głowy.

— Do kogo należy wasz okręt?

— To statek Bewcharda — odparł tamten, ocierając pot z czoła. Powiedział to takim tonem, jakby nazwisko właściciela stanowiło wystarczające wyjaśnienie.

— A kto to jest Bewchard? Mężczyzna w mundurze zaśmiał się.

— No cóż, to zaciekły wróg Yaljona, jeśli to chciałbyś wiedzieć. On także podziwiał walkę na rufie i był zafascynowany waszymi umiejętnościami.

— To możliwe — Hawkmoon odpowiedział z uśmiechem. — Byliśmy dzisiaj w dobrej formie. Poza tym, bądź co bądź, walczyliśmy o życie!

— To wystarczający powód, by uczynić z nas wszystkich odpowiednio zręcznych szermierzy — przyznał marynarz. — Nazywam się Culard, a ponieważ jesteście wrogami Yaljona, możecie uważać mnie za przyjaciela.

— Zatem ostrzeż swoich kamratów — rzekł książę. — Mamy zamiar zatopić statek. Spójrz. — Wskazał d'Averca mocującego się z okrągłą pokrywą.

Culard pospiesznie skinął głową i zniknął w sekcji wioślarzy.

— Zobaczymy się po bitwie, przyjaciele — rzucił przez ramię. — O ile przeżyjemy!

Hawkmoon poszedł za nim wąskim przejściem, rozcinając po drodze pęta niewolników.

Sądząc po odgłosach na pokładzie, ludzie Bewchara spychali piratów Yaljona ku rufie. W pewnym momencie Hawkmoon poczuł, że statek wyraźnie drgnął i po chwili ujrzał d'Averca wybiegającego z za drzwi.

— Myślę, że powinniśmy zmykać na brzeg — rzekł uśmiechnięty Francuz, wskazując kciukiem niewolników zsuwających się za burtę. — Za ich przykładem.

Książę skinął głową.

— Ostrzegłem ludzi Bewchara. Sądzę, że odpłaciliśmy się już Yaljonowi — oznajmił, wsuwając miecz pirackiego herszta pod pachę. — Postaram się nie stracić tej broni. To najlepszy oręż, jaki kiedykolwiek miałem w ręku. Z jego pomocą zdystansuję nawet najbardziej wytrawnego szermierza!

Podbiegł do krawędzi pokładu i stwierdził, że ludzie Bewchara, którzy przedtem zepchnęli piratów ku przeciwległej burcie, teraz nagle zaczęli się wycofywać. Widocznie Culard zdążył przekazać wiadomość.

Woda z bulgotem wdzierała się do środka, statek nie mógł zbyt długo jeszcze utrzymać się na powierzchni. Hawkmoon zerknął za siebie. Odległość między obiema jednostkami była niewielka, najlepszą metodą ucieczki wydawało się przejście na pokład szkunera Bewchara.

Poinformował d'Averca o swoim planie i Francuz przyznał mu rację. Obaj wdrapali się na reling, skoczyli i wylądowali na deskach drugiego statku.

Nie było tu galerników przy wiosłach i Hawkmoon, który przystanął na chwilę, pojął, że wiosłarze Bewchara byli ludźmi wolnymi, biorącymi obecnie udział w walce. Stwierdził w duchu, iż jest to bardziej ekonomiczne rozwiązanie, nie wymagające brania niewolników. Nim zdążył ruszyć dalej, zatrzymał go czyjś głos nawołujący z pokładu „Rzecznego Jastrzębia”.

— Hej, przyjacielu! Ty z czarnym kamieniem na czole! Czyżbyś miał zamiar zatopić także mój statek?

Księżę odwrócił się i ujrzał przystojnego, młodego mężczyznę w czarnym skórzanym stroju i granatowej zakrwawionej pelerynie zsuniętej z ramion na plecy. W jednej dłoni trzymał topór, w drugiej zaś miecz, którym wskazywał w jego stronę ponad relingiem pirackiej galery.

— Ruszamy w swoją drogę — odparł Hawkmoon. — Wasz statek jest bezpieczny...

— Zaczekajcie chwilę! — Mężczyzna wskoczył na poręcz relingu „Rzecznego Jastrzębia” i przez moment chwycił równowagę. — Chciałbym wam podziękować za wykonanie dla nas dobrej roboty.

Księżę z wyraźnym wahaniem zaczął, aż tamten przeskoczy na pokład swojego okrętu i podejdzie do nich.

— Nazywam się Pahl Bewchard i jestem właścicielem tego szkunera — powiedział. — Wiele tygodni czyhałem na „Rzecznego Jastrzębia”. Nie wiem, czy udałoby mi się, gdybyście nie związali walką większej części załogi, dając mi w ten sposób czas na wyślizgnięcie się z zatoczki...

— Owszem — wtrącił Hawkmoon. — Ale nie mamy dłużej



zamiaru uczestniczyć w waśniach piratów...

— Obrażasz mnie, panie — odparł swobodnym tonem Bewchard. — Przysięgałem, że oczyszczę tę rzekę z piratów służących Lordom Starvelu. Jestem ich zaciekłym wrogiem.

Marynarze Bewcharda zaczęli tłumnie wracać na pokład, odcinając liny łączące oba statki. „Rieczny Jastrząb” powoli obrócił się niesiony nurtem rzeki. Jego ster wystawał już ponad powierzchnię wody. Jacyś piraci zeskakiwali z pokładu, nigdzie jednak nie było widać samego Yaljona.

— Gdzie mógł się podziać ich herszt? — zapytał d'Averc, spoglądając na odpływający wrak.

— To szczur — stwierdził Bewchard. — Prawdopodobnie uciekł po kryjomu, gdy tylko utwierdził się w przekonaniu, że dzisiejsza bitwa nie przyniesie mu zwycięstwa. Bardzo nam pomogliście, panowie. Yaljon był najgorszym ze wszystkich piratów. Proszę przyjąć moje wyrazy wdzięczności.

D'Averc, nie tracący nigdy rezonu, gdy w grę wchodziło dobre wychowanie oraz jego własny interes, odparł szybko:

— My także jesteśmy wdzięczni, kapitanie Bewchard, za pańskie przybycie w tej właśnie chwili, kiedy znaleźliśmy się na straconej pozycji. Długi zostały wyrównane, jak sądzę — uśmiechnął się szeroko.

Bewchard skłonił głowę.

— Moje uznanie. O ile wolno mi przejść do spraw bardziej przyziemnych, myślę, panowie, że przydałby się wam odpoczynek. Obaj jesteście ranni, a stan waszych strojów... po prostu nie przystoi takim dżentelmenom jak wy. Krótko mówiąc, byłbym zaszczycony, gdybyście zechcieli przyjąć gościnę na pokładzie mojej galery, a później, kiedy przybijemy do brzegu, gościnę w mym domu.

Hawkmoon w zamyśleniu zmarszczył brwi. Ten młody kapitan zaczynał mu się podobać.

— A gdzie pan ma zamiar rzucić kotwicę...?

— W Narleenie — odparł Bewchard. — Tam mieszkam.

— Prawdę mówiąc, podróżowaliśmy właśnie do Narleenu, nim zostaliśmy schwytani przez Yaljona... — zaczął.

— W takim razie koniecznie musicie popłynąć ze mną. Gdybym mógł wam czymś służyć...

— Dziękujemy, kapitanie Bewchard — rzekł Hawkmoon. — Z chęcią skorzystamy z pańskiej pomocy w dotarciu do Narleenu. Mam też nadzieję, że w czasie podróży zechce pan nam udzielić wielu niezbędnych informacji.

— Z przyjemnością. — Bewchard wskazał dłonią drzwi do pomieszczeń pod pokładem rufowym. — Zapraszam panów do mojej kajuty.

# ROZDZIAŁ VI

## NARLEEN



Przez niewielkie okrągłe okienka obserwowali z kabiny kapitana Bewcharda spienioną grzywę za rufą mknącego pod pełnymi żaglami statku.

— Musimy rozwijać dużą szybkość — wyjaśnił Bewchard. — W przeciwnym razie nie mielibyśmy szans przy spotkaniu z kilkoma pirackimi jednostkami naraz.

Kucharz przyniósł posiłek i zaczął ustawiać naczynia na stole. Było tam kilka rodzajów mięs, ryby, jarzyny oraz owoce i wino. Hawkmoon starał się nie jeść nazbyt łapczywie, a chciał zarazem spróbować przynajmniej każdej potrawy. Obawiał się, że jego żołądek może nie być jeszcze zdolny do przyjęcia dość ciężko strawnych dań.

— To posiłek świąteczny — oświadczył kapitan z radością w głosie. — Od miesiący polowałem na Yaljona.

— Kimże jest Yaljon? — zapytał Hawkmoon między kolejnymi kęsami. — Wyglądał mi na straszliwego dziwaka.

— Zupełnie nie pasował do moich wyobrażeń o piratach — dodał d'Averc.

— Piractwo jest ich tradycją rodzinną — wyjaśnił Bewchard. — Jego przodkowie łupili pływające po rzece jednostki już przed wiekami. Przez długi czas handlarze płacili olbrzymie podatki

Lordom ze Starvelu, lecz parę lat temu zbuntowali się i Yaljon powrócił do piractwa. Wówczas kilku z nas podjęło decyzję o budowie okrętów wojennych podobnych do tych pirackich, po to, by zaatakować łupieżców na rzece. Znajdujecie się właśnie na jednym z takich okrętów, a ja nim dowodzę. Byłem kupcem, ale teraz muszę zajmować się rzemiosłem wojennym, przynajmniej do czasu uwolnienia Narleenu od Yaljona i jemu podobnych.

— Jak wygląda wasza sytuacja? — zapytał książę.

— Niezbyt pomyślnie. Yaljon i inni rezydują wciąż niepokonani w swym grodzie, Starvel leży bowiem w granicach Narleenu i stanowi miasto w mieście. Do tej pory udało nam się zaledwie ograniczyć nieco ich piracki proceder. Nie zdarzyła, się jeszcze okazja do poważniejszej próby sił.

— Według pańskich słów piractwo jest tradycją rodzinną Yaljona... — zaczął d'Averc.

— Tak, jego przodkowie przybyli do nas wiele setek lat temu. Mieli za sobą potęgę, a my byliśmy wówczas słabi. Legendy mówią, że jeden z przodków Yaljona, Batach Gerandiun, zaprzął do pomocy czarną magię. Otoczyli Starvel, zagarniętą przez nich dzielnicę Narleenu, murami i od tamtej pory nim władają.

— W jaki sposób Yaljon odpowiada na ataki skierowane przeciwko jego statkom? — zapytał Hawkmoon, pociągnąwszy tęgi łyk wina.

— Stara się wziąć odwet wszelkimi możliwymi sposobami, choć ostatnio zachowuje jednak ostrożność, zapuszczając się na rzekę. Wiele jeszcze przed nami. Zabiłbym Yaljona, gdyby było to możliwe. Jestem przekonany, że tym sposobem zniszczyłbym potęgę całego pirackiego bractwa. Lecz jemu zawsze udaje się zbiec. Jakiś instynkt ostrzega go przed niebezpieczeństwem i za każdym razem wychodzi z oparów bez szwanku.

— Życzę wam szczęścia, byście go przyłapali — powiedział Hawkmoon. — Proszę nam powiedzieć, kapitanie Bewchard, czy wiadomo panu coś o orężu zwanym Mieczem Świtu? Powiedziano nam, że należy go szukać w Narleenie.

Bewchard sprawiał wrażenie zdumionego.

— Owszem, słyszałem o nim. Wiąże się z legendą, o której już wspominałem, dotyczącą przodka Yaljona, Batacha Gerandiuna. Podobno w mieczu tym zawierała się czarodziejska moc Batacha... Piraci okrzyknęli Gerandiuna bogiem, otoczyli czcią i uczynili przedmiotem kultu w swej świątyni, zwanej od jego imienia Świątynią Batacha Gerandiuna. Stanowią zabobonną społeczność. Ich zwyczaje i obrządkie są niepojęte dla takiego praktycznego, kupieckiego umysłu jak mój.

— Gdzie obecnie znajduje się ten oręż? — wtrącił d'Averc.

— Cóż, krążą pogłoski, że właśnie ów miecz piraci czczą w świątyni. Ma symbolizować ich potęgę, pochodzącą od Batacha. Czyżbyście chcieli go zdobyć, panowie?

— Nie jestem... — zaczął Hawkmoon, ale Francuz nie dał mu dojść do słowa.

— Owszem, kapitanie. Mamy krewnego, wielkiego uczonego rodem z północy, który dowiedział się o istnieniu miecza i chciałby go zbadać. Wysłał nas, byśmy zasięgnęli języka, czy można go kupić...

Bewchard wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście, można go kupić, przyjaciele, ale ceną jest krew pół miliona walecznych ludzi. Piraci będą do ostatniego tchu bronili Miecza Świtu. Jest to dla nich najcenniejsza spośród wszystkich rzeczy tego świata.

Hawkmoon zachmurzył się. Czyżby konający Mygan powierzył im niewykonalne zadanie?

— No cóż — mruknął d'Averc, obojętnie wzruszając ramionami. — Możemy w takim razie tylko żywić nadzieję, że kiedyś uda się panu pokonać Yaljona i innych Lordów, a następnie wystawić ich własność na aukcji.

Kapitan skwitował tę wypowiedź uśmiechem.

— Nie sądzę, by zdarzyło się to za mego życia. Ostateczne pokonanie Yaljona zabierze nam wiele lat — rzekł, powstając od stołu. — Proszę mi wybaczyć, muszę przez chwilę zająć się moim statkiem.

Skłonił się kurtuazyjnie i wyszedł z kajuty.

Hawkmoon zmarszczył brwi.

— I cóż teraz, d'Avercu? Spotkały nas wyłącznie kłopoty w tej dziwnej krainie, nie jesteśmy też w stanie zdobyć tego, czego szukamy. — Wysypał z sakiewki na otwartą dłoń pierścienie Mygana. Było ich jedenaście, ponieważ dorzucili dwa, które zdjęli ze swych palców. — Na szczęście nadal są w naszym posiadaniu. Czy nie powinniśmy z nich skorzystać, zdać się na przypadek i przenieść w inny wymiar z nadzieją dotarcia do Kamargu? Francuz parsknął pogardliwie.

— Moglibyśmy wylądować ni stąd, ni zowąd na dworze Króla Huona lub też stanąć twarzą w twarz z jakimś groźnym potworem. Proponuję, żebyśmy Udali się do Narleenu, spędzili tam jakiś czas i przekonali się, czy zdobycie pirackiego miecza jest rzeczywiście tak trudnym zadaniem. — Sięgnął do swojej sakiewki. — Dopiero teraz przypomniałem sobie, że mam tę małą rzecz. — Wysupłał z woreczka nabój do broni palnej, znaleziony w Halapandurze.

— Do czegoż może nam się to przydać? — zapytał Hawkmoon.

— Już ci mówiłem, Dorianie. Możemy mieć z tego spory pożytek.

— Bez karabinu?

— Owszem, bez karabinu — stwierdził d'Averc.

Ledwie zdążył schować nabój z powrotem do sakiewki, kiedy w drzwiach ponownie stanął wyraźnie zadowolony Pahl Bewchard.

— Za niecałą godzinę, przyjaciele, zacumujemy w Narleenie — powiedział. — Mam nadzieję, że spodoba się wam nasze miasto. A przynajmniej ta część, którą nie władają Piraccy Lordowie — dodał, uśmiechając się szeroko.

Hawkmoon i d'Averc stali na pokładzie, przyglądając się, jak sprawnie statek zawija do portu. Niebo było czyste i błękitne, a słońce grzało mocno, pozłacając swym blaskiem budowlę miasta. Dominowała tu niska zabudowa, rzadko który budynek miał więcej niż trzy piętra, a większość z nich pokrywały bogate, sprawiające wrażenie bardzo starych, rokokowe ornamenty. Barwy były wyblakłe, wyraźnie nadgryzione zębem czasu, a jednak w jakiś dziwny sposób nadal wyraziste. Główny materiał konstrukcyjny stanowiło drewno — kolumnady, balkony, nawet całe frontony wykonane były z rzeźbionych belek, gdzieś tam tylko widniały poręcze i drzwi z krytego farbą metalu.

Na nabrzeżu piętrzyły się skrzynie i paki, załadowywane bądź wyładowywane ze stłoczonych w porcie stateczków. Rozebrani do pasa, złani potem ludzie albo spuszczaali ciężary z pomocą dźwigów w głąb ładowni, albo układali je na brzegu, przenosząc ładunki po drewnianych pomostach.

Wszędzie panował zgiełk i hałas, lecz Bewchard, prowadząc dwóch przyjaciół po trapie, następnie przedzierając się przez rosnący szybko tłum, sprawiał wrażenie, jakby napawał się tymi odgłosami. Po chwili otoczyli ich zwartą masą ludzies.

— Jak wam się powiodło, kapitanie?

— Czy znaleźliście Yaljona?

— Ilu marynarzy straciliście?

W końcu Bewchard zatrzymał się i zaśmiał głośno.

— No cóż, drodzy mieszkańcy Narleenu! — zawołał. — Widzę, że muszę wam powiedzieć, gdyż inaczej nie przepuścicie nas. Owszem, zatopiliśmy statek Yaljona...

W tłumie rozległo się chóralne westchnienie i zapadła cisza. Bewchard wskoczył na stojące opodal skrzynie i uniósł ręce w górę.

— Zatopiliśmy statek Yaljona, „Rzecznego Jastrzębia”. Lecz zapewne uciekłyby nam, gdyby nie dwaj obecni tu przyjaciele.

Zmieszany d'Averc popatrzył na Hawkmoona. Mieszkańcy przyglądali się im ze zdumieniem, jak gdyby nie mogli uwierzyć, że ci dwaj obszarpani włóczędzy nie są li tylko mało znaczącymi niewolnikami.

— Nie ja, lecz oni dwaj są waszymi bohaterami — mówił dalej Bewchard. — Sami związali walką całą piracką załogę, zabili Ganaka, porucznika Yaljona, i dzięki temu statek stał się dla nas łatwym łupem. A potem zatopili „Rzecznego Jastrzębia”!

W tłumie rozbrzmiały głośne owacje.

— Poznajcie ich imiona, mieszkańcy Narleenu. Pamiętajcie, że są przyjaciółmi naszego miasta i nie odmawiajcie im niczego. Oto przed wami Dorian Hawkmoon, Rycerz Czarnego Klejnotu, oraz Huillam d'Averc. Nie widzieliście bardziej odważnych i lepszych od nich szermierzy!

Hawkmoon, zawstydzony jak dziecko podobnym przyjęciem, dawał głową znaki Bewchardowi, by ten przestał ich wychwalać.

— A co z Yaljonem? — zapytał ktoś z tłumu. — Nie żyje?

— Uciekł — odparł kapitan z żalem w głosie. — Uciekł jak szczur. Ale dostaniemy go któregoś dnia.



— Albo on ciebie, Bewchard! — stwierdził bogato odziany, przepychający się do przodu mężczyzna. — Potrafisz go tylko rozwścieczać! Przez lata płaciłem podatki ludziom Yaljona i pozwalali mi żeglować po rzece w spokoju. Teraz ty i tobie podobni mówicie: „Nie płacicie podatków”, więc nie płacimy. Ale nie mogę w spokoju przewozić towarów, nie umiem zasnąć bez obawy o to, co Yaljon ze mną zrobi. Sami zmuszacie go do brania odwetu. Pamiętaj, że nie tylko na tobie będzie chciał się zemścić! A co z resztą, z tymi wszystkimi, którzy nie szukają sławy, a pragną jedynie spokoju? Zagrażasz nam wszystkim!

Bewchard zaśmiał się.

— To przecież ty, Yeroneeg, o ile mnie pamięć nie myli, pierwszy zacząłeś utyskiwać na piratów, narzekać, że nie jesteś w stanie płacić olbrzymich podatków, to ty wspierałeś nas silnie, kiedy tworzyliśmy oddziały do walki z Yaljonem. No cóż, Yeroneeg, walczymy z nim i nie jest łatwo, ale zwycięstwo będzie należało do nas, nie martw się o to!

Tłum ponownie zareagował aplauzem, chociaż wiwaty nie były już tak głośne, a ludzie zaczęli się rozchodzić.

— Yaljon będzie szukał zemsty, Bewchard — odparł Yeroneeg. — Twoje dni są policzone. Krążą plotki, że Piraccy Lordowie łączą swoje siły, że do tej pory jedynie zabawiali się z nami. Mogliby zrównać z ziemią całe Narleen, gdyby tylko chcieli!

— I zniszczyć jedyne źródło ich utrzymania? To byłoby z ich strony głupotą! — Bewchard wzruszył ramionami, jakby chciał zapomnieć o argumentach kupca w średnim wieku.

— Owszem, głupotą, ale nie mniejszą niż twoje napaści! — zaskomlał Yeroneeg. — Jeśli doprowadzisz do tego, że zaczną nas nienawidzić, wówczas owa nienawiść może przysłonić im prawdę, iż stanowimy źródło ich utrzymania!

Bewchard z uśmiechem pokręcił głową.

— Powinieneś odpocząć, Yeroneeg. Rygory kupieckiego życia zbyt dają ci się we znaki.

Tłum rozszedł się już niemal zupełnie, a na twarzach garstki pozostałych ludzi w miejsce niedawnej euforii wywołanej bohaterskimi czynami malował się niepokój.

Bewchard zeskoczył ze stosu skrzyń i otoczył rękoma ramiona przyjaciół.

— Chodźcie, panowie, nie będziemy dłużej słuchać biednego, starego Yeroneega. Potrafi umniejszyć znaczenie każdego sukcesu swą posępną gadaniną. Pójdziemy do mego domu i zobaczymy, czy uda nam się dobrać bardziej odpowiednie dla takich dżentelmenów stroje. A jutro wybierzemy się do miasta i zakupimy dla was obu nowy ekwipunek!

Powiódł ich rojnymi uliczkami Narleenu — wijącymi się na pozór bez jakiegokolwiek koncepcji architektonicznej — wąskimi i wypełnionymi tysiącami najróżniejszych zapachów, po których krążyli tłumnie żeglarze i żołnierze, kupcy i robotnicy portowi, starsze kobiety i piękne dziewczęta. Straganiarze zachwalali swoje towary, a pomiędzy pieszymi z trudem przedzierali się konni. Minęli brukowane uliczki, wspięli na szczyt stromego wzgórza i znaleźli na zabudowanym z trzech stron placu, którego czwarty bok wychodził na otwarte morze.

Bewchard zatrzymał się na chwilę i popatrzył na migoczące w promieniach słońca drobne fale.

— Pływacie za ocean? — spytał d'Averc, wskazując w stronę morza.

Bewchard zdjął ciężką pelerynę i przerzucił ją przez ramię. Rozpiął kołnierzyk koszuli i z uśmiechem pokręcił głową.

— Nikt nie wie, co znajduje się za morzem. Prawdopodobnie

nie ma tam niczego. Przewozimy towary wyłącznie wzdłuż brzegu, jakieś trzysta czy czterysta kilometrów w obu kierunkach. Wzdłuż wybrzeża leży wiele bogatych miast, które niezbyt poważnie ucierpiały wskutek Tragicznego Millenium.

— Rozumiem. A jak nazywacie ten kontynent? Czy nie jest to przypadkiem Azjokomuna?

— Nigdy nie słyszałem takiej nazwy, ale nie jestem uczonym. — Bewchard zmarszczył brwi. — Nazywano go różnie, Yarshai, Amarek albo Nishtay. — Wzruszył ramionami. — Nie umiałbym nawet powiedzieć, jakie jest jego położenie w stosunku do innych kontynentów, które według legend rozrzucone są po całym świecie.

— Amarek! — wykrzyknął Hawkmoon. — Zawsze uważałem, że to legendarna ojczyzna nadludzkich istot...

— A ja sądziłem, że Magiczna Laska znajduje się w Azjokomunie! — d'Averc zaśmiał się. — Znaczy to, drogi Hawkmoonie, że nie powinniśmy zbyt dawać wiary legendom! Mimo wszystko może się okazać, że Magiczna Laska w rzeczywistości nie istnieje!

Książę przytaknął ruchem głowy.

— Niewykluczone.

Bewchard znowu zmarszczył brwi.

— Magiczna Laska? Legendy? O czym wy mówicie, panowie?

— Są to domysły owego uczonego, o którym już wspominaliśmy — pośpiesznie odparł d'Averc. — Wyjaśnienia byłyby długie i nużące.

— Nie będziemy się teraz zanudzać, przyjaciele — stwierdził kapitan wzruszając ramionami, po czym poprowadził ich dalej.

Byli już poza granicami handlowej części miasta; posiadłości na wzgórzu sprawiały wrażenie bogatszych, a po ulicach krążyło

o wiele mniej ludzi. W ogrodach otaczających domy, o ile mogli to dostrzec ponad wysokimi murami, rosły kwitnące drzewa i szemrały fontanny.

Bewchard zatrzymał się w końcu przed bramą posesji otoczonej kamiennym murem.

— Witajcie w moim domu, drodzy przyjaciele — rzekł łomocząc w bramę.

Otwarto niewielkie, zakratowane okienko i ukazało się w nim czyjeś oko. Po chwili została otwarta brama, a służący skłonił się nisko przed Bewchardem. — Witaj w domu, panie. Czy pańska podróż zakończyła się pomyślnie? Siostra oczekuje na pana.

— Bardzo pomyślnie, Per! Aha, Jeleana przybyła, żeby nas powitać. Na pewno ją polubicie, przyjaciele!

## ROZDZIAŁ VII

### OGIEŃ



**J**eleana była piękną, młodą, niezwykle żywą dziewczyną o kruczoczarnych włosach, od pierwszej też chwili oczarowała d'Averca. Wieczorem przy obiedzie flirtował z nią, zauroczony jej dowcipem.

Bewchard spoglądał na szczebioczącą parę z uśmiechem, lecz Hawkmoon czuł się trochę nieswojo — dziewczyna przypominała mu jego żonę, Yisseldę, czekającą na niego tysiące kilometrów stąd, za morzem, a może i także w innej, odległej o setki lat epoce, nie wiedział bowiem, czy moc kryształowego pierścienia przeniosła ich tylko w przestrzeni.

Gospodarz pochwycił chyba melancholijne spojrzenia gościa, gdyż próbował rozweselić go anegdotami i zabawnymi historyjkami o swoich poprzednich potyczkach z piratami ze Starvelu.

Hawkmoon starał się nie dać po sobie nic poznać, nie mógł jednak przestać myśleć o swej ukochanej, córce hrabiego Brassa, i jej losie. Czy Taragorm udoskonalił już swe maszyny do podróżowania w czasie? Czy Meliadusowi udało się znaleźć sposób dotarcia do Zamku Brass? W miarę upływu czasu z coraz większym trudem przychodziło mu podtrzymywanie luźnej rozmowy. W końcu powstał i skłonił się z szacunkiem.

— Proszę mi wybaczyć, kapitanie Bewchard — rzekł. — Jestem bardzo zmęczony. Po dniach spędzonych na galerze, po dzisiejszej walce...

Jeleana i Huillam d'Averc tak byli zajęci sobą, że chyba nawet nie zwrócili na niego uwagi.

Bewchard szybko wstał z za stołu, jego oblicze wyrażało zatroskanie.

— Oczywiście. To ja bardzo przepraszam, mistrzu Hawkmoonie, za moją bezmyślność... Księżę uśmiechnął się niewyraźnie.

— Nie jest pan bezmyślny, kapitanie. Pańska gościnność jest godna podziwu. Jednakże...

Bewchard sięgał już do dzwonka, aby przywołać służącego, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

— Wejść! — zawołał kapitan.

W drzwiach stanął dysząc ciężko ten sam służący, który otwierał im bramę wejściową.

— Kapitanie Bewchard! Ogień przy nabrzeżu! Płonie statek.

— Jaki statek?

— Pański, kapitanie. Ten sam, którym pan dzisiaj żegłował.

Bewchard rzucił się w stronę drzwi, Hawkmoon i d'Averc ruszyli pospiesznie za nim. Jeleana także wybiegła.

— Przyrowadź powóz, Per. Szybko, człowieku! Powóz!

Po chwili przed front domu zajechał kryty powóz zaprzężony w cztery konie. Bewchard wskoczył do środka, czekając z niecierpliwością, aż dwaj przyjaciele uczynią to samo. Jeleana również chciała wsiąść, lecz on pokręcił tylko głową.

— Nie, Jeleano. Nie wiemy, co czeka nas na nabrzeżu. Zostań tutaj!

Zaprzęg ruszył i powóz, przyspieszając raptownie, z

grzechotem potoczył się po bruku w stronę portu.

Wąskie uliczki oświetlone były pochodniami wetkniętymi w uchwyty wystające ze ścian budynków. Przemykali nimi z głośnym turkotem — jak wielki czarny cień.

W końcu wypadli na nabrzeże. Port rozświetlały nie tylko pochodnie, lecz także strzelające ze szkunera płomienie. Dokoła panował harmider, kapitanowie zaganiali marynarzy na pokłady, chcąc jak najszybciej odpłynąć od płonącego okrętu, by nie stracić własnych statków.

Bewchard wyskoczył z powozu, Hawkmoon i d'Averc pobiegli tuż za nim. Dotarli do krawędzi nabrzeża, przepychając się przez gawieź, lecz tu kapitan zatrzymał się i smętnie zwiesił głowę.

— To beznadziejne — mruknął żałośnie. — Już po statku. To mogła być tylko sprawka ludzi Yaljona...

Yeroneeg, ze spoconą, zalewaną czerwonym blaskiem ogni płonącego okrętu twarzą, wynurzył się z tłumu.

— Sam widzisz, Bewchard! Yaljon bierze odwet! Ostrzegałem cię!

Odwrócili się wszyscy na odgłos galopującego konia i spostrzegli jeźdźca ściągającego wodze rumaka niedaleko od nich.

— Bewchard! — zawołał mężczyzna. — Pahl Bewchard, który utrzymuje, że zatopił „Rzecznego Jastrzębia"! Kapitan uniósł głowę.

— To ja nazywam się Bewchard. Kim jesteś?

Jeździec miał na sobie dziwaczny, zdobny strój, a w dłoni ścisnął zwój pergaminu, którym wymachiwał na lewo i prawo.

— Jestem żołnierzem Yaljona, posłańcem! — wykrzyknął i rzucił pergamin pod nogi Bewcharda. Ten stał nieruchomo.

— Co to jest? — spytał przez zaciśnięte zęby.

— Rachunek, Bewchard. Rachunek za pięćdziesięciu żołnierzy i czterdziestu niewolników, za statek i jego oprzyrządowanie oraz za skarb wartości dwudziestu pięciu tysięcy smygarów. Yaljon także potrafi przestrzegać kupieckich reguł!

Kapitan wbił wzrok w posłańca. Blask ogni z płonącego okrętu sprawiał, że po twarzy żołnierza pełzały cienie. Po chwili Bewchard kopnął zwitek pergaminu, strącając go do wody, po której pływały różne odpadki.

— Widzę, że chcecie mnie zastraszyć, odgrywając ten melodramat! — wycedził. — Zatem przekaz Yaljonowi, że się go nie boję i nie mam zamiaru płacić żadnego rachunku. Powiedz mu, o ile dalej będzie chciał przestrzegać kupieckich reguł, że on i jego zachłanni przodkowie winni są mieszkańcom Narleenu znacznie więcej niż suma przedstawiona na jakimkolwiek rachunku. Będę nadal stopniowo niwelował ów dług.

Jeździec otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale rozmyślił się, ściągnął wodze konia, zawrócił go i galopem zniknął w ciemnościach.

— On teraz cię zabije, Bewchard — stwierdził niemal triumfująco Yeroneeg. — Na pewno cię zabije. Mam jedynie nadzieję, że zdaje sobie sprawę, iż nie wszyscy z nas są takimi głupcami jak ty!

— A ja mam nadzieję, że nie wszyscy są takimi głupcami jak ty, Yeroneeg — rzekł pogardliwie Bewchard. — Jeśli Yaljon zaczyna mi grozić, to znaczy, że przynajmniej w jakiejś części odniosłem sukces wyprowadzając go z równowagi!

Poszedł szybko w stronę powozu i zatrzymał się przy drzwiczkach, czekając, aż Hawkmoon i d'Averc wejdą do środka. Wreszcie wskoczył sam i zastukał rękojęścią miecza w dach, sygnalizując woźnicy, żeby jechał z powrotem do domu.



— Czy ma pan pewność, że Yaljon jest tak słaby, jak wynikało z pańskich słów? — spytał zafrasowany Hawkmoon.

Bewchard uśmiechnął się szeroko.

— Mam pewność, że jest o wiele silniejszy, niż sugerowałem. Prawdopodobnie nawet silniejszy, niż przypuszcza Yeroneeg. Według mojej opinii Yaljon jest wciąż jeszcze do tego stopnia zaskoczony naszym dzisiejszym lekkomyślnym atakiem na jego statek, że nie zdążył dokonać należytej oceny środków, jakimi dysponuje. Nie musiałem jednak mówić o tym Yeroneegowi, prawda, przyjaciele?

Księżę popatrzył na Bewcharda wzrokiem pełnym podziwu.

— Ma pan wiele odwagi, kapitanie.

— To raczej tylko desperacja, mistrzu Hawkmoonie. Księżę skinął głową.

— Chyba wiem, co pan ma na myśli — rzekł. Zastali otwartą bramę, więc podjechali wprost ku wejściu do domu. W drzwiach oczekiwała ich pobladła Jeleana.

— Czy nic ci się nie stało, Pahl? — spytała, kiedy wysiedli z powozu.

— Oczywiście — odparł Bewchard. — Sprawiasz wrażenie przerażonej, Jeleano.

Odwróciła się i weszła do budynku. Zatrzymała się dopiero w jadalni, gdzie na stole wciąż jeszcze stała nie sprzątnięta po kolacji zastawa.

— To... nie pożar statku przeraził mnie do tego stopnia — powiedziała drżącym głosem. Popatrzyła na brata, potem przeniosła wzrok na d'Averca, w końcu na Hawkmoona. Miała rozszerzone ze strachu oczy. — Podczas waszej nieobecności mieliśmy gościa.

— Gościa? Kto to był? — zapytał Bewchard, otaczając ręką jej

rozdygotane ramiona.

— On... przyszedł sam... — zaczęła.

— A cóż dziwnego w tym, że gość przyszedł sam? Gdzie jest teraz?

— To był Yaljon, Pahl. Lord Valjon ze Starvelu we własnej osobie. On... — urwała i zakryła twarz dłońmi. — Uderzył mnie w twarz... Patrzył tymi nie widzącymi, nieludzkimi oczyma, przemawiał tym swoim głosem...

— Co powiedział? — zapytał nagle Hawkmoon posępnym tonem. — Co takiego powiedział, pani?

Ponownie jej wzrok prześlizgnął się po twarzach mężczyzn i zatrzymał na księciu Koln.

— Stwierdził, że tylko bawi się z Pahl'em, że jest zbyt dumny na to, by marnotrawić swój czas i siły na szukanie zemsty, że jeśli Pahl nie ogłosi jutro na rynku, iż przestanie naprzykrzać się Pirackim Lordom swym... swym „bezsensownym nękanie ich”, zostanie ukarany w sposób odpowiedni do jego występków. Powiedział, iż spodziewa się usłyszeć proklamację Pahl'a jutro w samo południe.

Bewchard zmarszczył brwi.

— Przyszedł tutaj, do mojego domu, żeby jak sądzę, okazać mi swą pogardę. Spalenie statku było jedynie demonstracją, a zarazem podstępem, by zwabić mnie do portu. Rozmawiał z tobą, Jeleano, gdyż chciał udowodnić mi, że może dosięgnąć najbliższych mi, ukochanych osób, kiedy tylko zechce. — Westchnął głośno. — Nie mam już teraz wątpliwości, że nastaje nie tylko na moje życie, ale także na życie moich bliskich. Powinienem był spodziewać się podobnej sztuczki... — Przeniósł spojrzenie na Hawkmoona, a w jego oczach pojawiło się zmęczenie. — Możliwe, że postąpiłem jak głupiec. Być może

Yeroneeg miał rację.

Nie powinienem zadzierać z Yaljonem, w każdym razie nie teraz, kiedy jego chronią mury Starvelu. Nie zwykłem posługiwać się bronią podobną do tej, jaką on wykorzystał przeciwko mnie!

— Nie umiem panu nic poradzić — powiedział cicho Hawkmoon. — Mogę jednak ofiarować swoją oraz d'Averca pomoc w pańskiej walce, jeśli zdecyduje pan ją kontynuować.

Bewchard popatrzył mu wprost w oczy, a po chwili zaśmiał się wyprostowując ramiona.

— Oczywiście, to nie jest rada, Dodanie Hawkmoonie, Rycerzu Czarnego Klejnotu, tylko wskazanie mi, co powinienem myśleć o sobie, jeśli odrzucę pomoc dwóch tak wyśmienitych szermierzy jak wy. Owszem, będę walczył. Jutro wypoczniemy, ignorując ostrzeżenie Yaljona. A ciebie, Jeleano, otoczę ochroną. Poślę po ojca i poproszę, by przybył razem ze swymi ludźmi i zaopiekował się tobą. Hawkmoon, d'Averc i ja pójdziemy jutro po zakupy, jakby nic się nie stało. — Wskazał dłonią pożyczone ubrania, które dwaj przyjaciele mieli na sobie. — Obiecałem wam nowe stroje, mistrzu Hawkmoonie, a także dobrą pochwę do tego zdobycznego miecza. Będziemy się zachowywać zupełnie normalnie. Pokażemy Yaljonowi, a co ważniejsze, ludziom w mieście, że nie ulegniemy jego pogróżkom.

D'Averc pokiwał głową z powątpiewaniem.

— No tak, jest to jedyny sposób na podtrzymanie ducha wśród mieszkańców miasta — rzekł. — Pańska ewentualna śmierć będzie śmiercią bohatera, inspirującą tych, którzy pójdą w pańskie ślady.

— Mam nadzieję, że jeszcze nie zginę — odparł uśmiechnięty Bewchard — ponieważ bardzo kocham życie. Zobaczymy, przyjaciele. Zobaczymy.



## ROZDZIAŁ VIII

### MURY STARVELU



Następny dzień wstał równie upalny jak poprzedni. Pahl Bewchard wyruszył z przyjaciółmi po zakupy. Podążając ulicami miasta przekonali się, iż wielu mieszkańców musiało już wiedzieć o ultimatum Yaljona i z zainteresowaniem oczekiwało odpowiedzi na nie.

Ale Bewchard nie wygłosił oświadczenia. Uśmiechał się do napotykanym ludzi, ucałował dłonie kilku kobiet, serdecznie pozdrawiał znajomych i prowadził Hawkmoona oraz d'Averca w kierunku centrum do polecanego przez siebie sklepu zbrojmistrza.

To, że sklep ten znajdował się zaledwie o kilka kroków od murów Starvelu, mogło wydatnie dopomóc Bewchardowi w realizacji jego celu.

— Po południu — stwierdził — powinniśmy odwiedzić zbrojmistrza. Ale przedtem posilimy się w pewnej tawernie. Jest usytuowana w pobliżu centralnego placu miasta i wielu szanowanych obywateli wpada tam, by się napić wina. Zobaczą nas odprężonych i spokojnych. Będziemy rozmawiali o mało ważnych rzeczach, nie wspominając ani słowem o groźbie Yaljona, choćby nawet starano się poruszyć ten temat.

— Podejmuje pan bardzo poważne wyzwanie, kapitanie

Bewchard — stwierdził d'Averc.

— Możliwe. Mam jednak wrażenie, że wiele zależy od wydarzeń tego dnia, chyba nawet więcej, niż mogę przypuszczać. Zdaję się na ryzyko, gdyż dzień dzisiejszy może przynieść albo moje zwycięstwo, albo porażkę.

Hawkmoon przytaknął ruchem głowy, lecz nie odezwał się. On także wyczuwał, że coś wisi w powietrzu, nie miał więc zamiaru podawać w wątpliwość przeczuć Bewcharda.

Odwiedzili tawernę, zjedli posiłek i wypili wino, jakby nie dostrzegając, iż znajdują się w centrum zainteresowania, i sprytnie unikając wszelkich rozmów na temat tego, w jaki sposób chcą odpowiedzieć na ultimatum Yaljona.

Nadeszło południe, minęło, a Bewchard siedział dalej, gawędząc z przyjaciółmi, i dopiero po dobrej godzinie wstał od stołu, odstawił kielich i powiedział głośno:

— A teraz, panowie, chodźmy do zbrojmistrza, o którym wam mówiłem...

Pomaszerowali zatem swobodnym krokiem dziwnie wyludnionymi ulicami, z każdą chwilą przybliżając się do centrum miasta. W mijanych domach poruszały się zasłony, migały twarze ludzi w oknach; Bewchard uśmiechał się tylko, jakby smakował wzrastające napięcie.

— Jesteśmy dziś jedynymi aktorami na scenie, przyjaciele — rzekł. — Musimy dobrze odegrać swoje role.

Wreszcie Hawkmoon po raz pierwszy ujrzał mury Starvelu. Wznosiły się ponad dachy domostw, białe, niedostępne i zagadkowe — nigdzie także nie było widać jakiegokolwiek bramy.

— Istnieje kilka niewielkich furtek — wyjaśnił Bewchard — ale rzadko są używane. Piraci wykorzystują gigantyczne podziemne kanały i zbiorniki, łączące się bezpośrednio z rzeką.

Kapitan skręcił w boczną uliczkę i wskazał szyld widniejący kilkadziesiąt metrów dalej:

— Oto i nasz zbrojmistrz, przyjaciele.

Weszli do sklepu wypełnionego belami ubrań, stosami płaszczy, kaftanów i spodni, różnego rodzaju mieczami i sztyletami, najlepszymi zbrojami, hełmami, kapeluszami, butami, pasami oraz wszystkim, co tylko potrzebne było do skompletowania męskiego stroju. Właściciel sklepu, obsługujący właśnie klienta, był dobrze zbudowanym, sympatycznym mężczyzną w średnim wieku o czerwonej twarzy i całkiem siwych włosach. Powitał Bewchara uśmiechem, klient zaś spojrzął przez ramię — oczy młodzieńca wyraźnie rozszerzyły się na widok trzech mężczyzn stojących przy drzwiach. Mruknął coś i ruszył w stronę wyjścia.

— Nie chce pan tego miecza? — spytał zdumiony zbrojmistrz.

— Mogę obniżyć cenę o pół smygara, ale nie więcej.

— Kiedy indziej, Pyahr. Kiedy indziej — rzucił pośpiesznie młody człowiek, kłaniając się Bewchardowi i wybiegając ze sklepu.

— Kto to był? — zapytał Hawkmoon uśmiechając się.

— Syn Yeroneega, o ile dobrze pamiętam — odparł Bewchard i wybuchnął głośnym śmiechem. — Po ojcu odziedziczył tchórzostwo!

Podszedł do nich właściciel sklepu.

— Dzień dobry, kapitanie Bewchard. Nie spodziewałem się zobaczyć pana dzisiaj. Nie złożył pan oświadczenia, którego oczekiwano?

— Nie, Pyahr. Nie złożyłem. Tamten uśmiechnął się.

— Miałem przecucie, że pan tego nie zrobi, kapitanie. Znalazł się pan jednak w wielkim niebezpieczeństwie. Valjon będzie

musiał wykonać następny krok, prawda?

— Będzie musiał chociażby spróbować, Pyahr.

— Wkrótce da o sobie znać, kapitanie. On nie lubi tracić czasu. Czy na pewno rozsądne z pańskiej strony było zjawienie się tak blisko murów Starvelu?

— Musiałem pokazać, że nie boję się Yaljona — odparł Bewchard. — Dlaczego zresztą miałbym przez niego zmieniać moje plany? Przyrzekłem obecnym tu przyjaciołom, że będą mogli kupić ubrania na zmianę u najlepszego zbrojmistrza w Narleenie, a nie mam w zwyczaju zapominać o takich obietnicach!

Pyahr machnąwszy lekceważąco dłonią na komplement, uśmiechnął się.

— Życzę panu szczęścia, kapitanie. Zatem, panowie, czy znaleźliście już coś odpowiadającego waszym gustom?

Hawkmoon sięgnął po płaszcz w kolorze ciemnego szkarłatu i obracał w palcach złotą broszę.

— Owszem, wiele rzeczy mi się bardzo podoba. Ma pan wspaniałą sklep, mistrzu Pyahrze.

Bewchard zagłębił się w rozmowie z kupcem, natomiast Hawkmoon i d'Averc chodzili po całym sklepie, sięgając to po parę spodni, to znów -po buty. Minęły dwie godziny, nim wreszcie dokonali wyboru.

— Czy nie chcieliby panowie przejść teraz do przebieralni i przymierzyć te stroje? — spytał Pyahr. — Sądzę, że świetnie wybraliście.

Dwaj przyjaciele weszli za zasłonę przebieralni. Księżę miał jedwabną koszulę w odcieniu ciemnej lawendy, kaftan z miękkiego, jasnego zamszu, purpurową szarfę oraz wytworne bufiaste spodnie z purpurowego jedwabiu, harmonizujące z



przerzuconą przez ramię szarfą. Nogawki spodni wsunął w cholewki zamszowych butów o tej samej barwie co kaftan, który zostawił nie zapięty. Na biodrach zapiął szeroki skórzany pas, a na ramiona narzucił ciemnoniebieski płaszcz.

D'Averc wybrał dla siebie szkarłatną koszulę i także spodnie, błyszczący kaftan z czarnej skóry i dobrane do niego wysokie buty, sięgające mu prawie do kolan. Na wierzch nałożył płaszcz z grubego jedwabiu w kolorze ciemnej purpury. Sięgał właśnie po pas z mieczem, kiedy w sklepie rozległy się okrzyki.

Hawkmoon szybko odsunął zasłonę przebieralni.

Sklep był pełen ludzi — bez wątpienia piratów ze Starvelu. Otoczyli Bewcharda, który nie zdążył nawet dobyć miecza.

Księżę odwrócił się błyskawicznie, wyciągnął ze sterty porzuconych w nieładzie ubrań swój miecz i skoczył w stronę wrogów. Zderzył się z cofającym Pyahrem; z rozciętej szyi zbrojmistrza płynęła krew.

Piraci wycofywali się już gromadnie ze sklepu i Hawkmoon nie zdołał dostrzec pomiędzy nimi Bewcharda.

Pchnął najbliższego napastnika prosto w serce i osłonił się przed ciosem drugiego.

— Nie próbuj z nami walczyć — warknął mężczyzna, usiłując go powstrzymać. — Chcemy tylko Bewcharda!

— Będziecie więc musieli nas zabić, żeby go pojmać! — krzyknął d'Averc, stając obok księcia.

— Bewchard pójdzie z nami i zostanie ukarany za znieważenie Lorda Yaljona — rzekł pirat i ruszył do natarcia.

Francuz odskoczył do tyłu, a jego miecz wystrzelił jak błyskawica, wytrącając tamtemu oręż z ręki. Jego przeciwnik ryknął, zamierzył się trzymanym w drugiej dłoni sztyletem, ale d'Averc pozbawił go szybko również i tej broni, po czym ciął

przez gardło.

Mniej więcej połowa piratów zawróciła i zaatakowała obu przyjaciół, spychając ich ku tylnej ścianie sklepu.

— Tamci uciekają z Bewchardem — syknął zdesperowany Hawkmoon. — Musimy mu pomóc.

Rzucił się jak oszalały w tłum napastników, próbując wyrąbać sobie drogę w kierunku grupy uprowadzającej kapitana, kiedy nagle usłyszał za sobą okrzyk d'Averca.

— Przysłali posiłki! Wdzierają się tylnym wejściem!

Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszał. Otrzymał mocne uderzenie ręką miecza w podstawę czaszki i padł bez czucia na stertę ubrań.

Ocknął się poturbowany i powoli przetoczył na wznak. Wnętrze sklepu tonęło w półmroku, panowała także niezmacona cisza.

Z trudem dźwignął się na nogi, wciąż ściskając w garści swój miecz. Pierwsze, co zobaczył, to ciało Pyahra, rozciągnięte na podłodze przy wejściu do przebieralni.

Po chwili dostrzegł także ciało d'Averca spoczywające na beli pomarańczowego materiału, z twarzą niemal całą zalaną krwią.

Podszedł do przyjaciela, wsunął dłoń pod jego kaftan i z ulgą wyczuł bicie serca. Wyglądało na to, że podobnie jak on Francuz został tylko ogłuszony. Bez wątpienia piraci świadomie pozostawili ich przy życiu — pragnęli, żeby ktoś powiedział mieszkańcom Narleenu, co czeka takich jak Pahl Bewchard — tych, którzy zbuntują się przeciwko Lordowi Yaljonowi.

Hawkmoon powlókł się na zaplecze sklepu i znalazł dzban z wodą. Wrócił do nieprzytomnego d'Averca, wysączył nieco wody między wargi przyjaciela, a następnie oderwał z beli skrawek materiału i obmył mu twarz. Krew płynęła z szerokiej, lecz

płytkiej rany na skroni.

D'Averc poruszył się, otworzył oczy i popatrzył w twarz księcia.

— Bewchard —jęknął. — Musimy go uratować, Hawkmoonie.

Księżę Dorian pokiwał głową.

— Owszem, ale on jest już za murami Starvelu.

— Nikt o tym nie wie oprócz nas — rzekł Francuz, dźwigając się do pozycji siedzącej. — Gdybyśmy go ocalili i przywiedli z powrotem, a potem opowiedzieli o wszystkim mieszkańcom miasta, czy wiesz, jak wpłynęłoby to na morale ludzi?

— Masz rację. Powinniśmy złożyć wizytę w Starvelu. I modlić się, by Bewchard żył jeszcze. — Schował swój miecz. — Musimy w jakiś sposób wdrapać się na mury, d'Avercu. Potrzebny nam będzie ekwipunek.

— Sądzę, że wszystkie potrzebne rzeczy znajdziemy tu, w sklepie — odparł Huillam. — Chodźmy. Musimy się pospieszyć. Wkrótce zapadnie noc.

Hawkmoon musnął palcami czarny kamień na czole. Jego myśli znów powędrowały ku Yisseldzie, hrabiemu Brassowi, Oladahnowi i Bowgentle'owi. Niepokoił się o nich.

Miał w tej chwili ochotę zapomnieć o Bewchardzie, zlekceważyć polecenia Mygana, legendarny Miecz Świtu i równie legendarną Magiczną Laskę, wykraść jeden ze statków w porcie, pożeglować przez morze i spróbować odnaleźć ukochaną. Jednakże westchnął tylko i wyprostował się. Nie mogli zostawić Bewcharda własnemu losowi. Musieli podjąć próbę uwolnienia go albo umrzeć.

Pomyślał o wznoszących się w pobliżu niedostępnych i prawdopodobnie silnie strzeżonych murach Starvelu. Chyba nikt przedtem nie próbował ich pokonać. Mieli wkrótce przekonać

się, czy w ogóle jest to możliwe.

## ROZDZIAŁ IX

# ŚWIĄTYNIA BATACHA GERANDIUNA



**H**awkmoon i d'Averc powtykali za pasy ponad dwadzieścia sztyletów każdy i zaczęli wspinać się na mury Starvelu.

Książę ruszył pierwszy. Owijał rękojeść sztyletu połą płaszczą, wyszukiwał odpowiednią szczelinę między kamieniami, wpychał w nią ostrze, po czym wbijał je po cichu, modląc się przez cały czas, by nie dosłyszał go nikt z góry i żeby zaklinowany w ścianie nóż wytrzymał ciężar jego ciała.

Wspinali się powoli, skrupulatnie kontrolując wytrzymałość prowizorycznych uchwytów. W pewnej chwili Hawkmoon poczuł, że sztylet osuwa mu się pod stopą. Zacisnął pospiesznie dłoń na tym, który właśnie wbijał nad głową, lecz ten również nie trzymał dobrze. Znajdował się już jakieś trzydzieści metrów nad poziomem ulicy. Błyskawicznie sięgnął do pasa po kolejny nóż, znalazł odpowiednią szczelinę i zagłębił w niej ostrze. W tym momencie sztylet wysunął mu się spod stopy i z cichym brzękiem wylądował na bruku. Książę zawisł, nie mogąc posunąć się ani w górę, ani w dół, i czekał, aż d'Averc umocuje mu pod nogą inne oparcie. Udało mu się to i Hawkmoon odetchnął z ulgą. Znajdowali się już blisko celu, do szczytu ściany pozostało zaledwie kilka metrów. Nie mieli pojęcia, co czeka ich na górze i po drugiej stronie muru.

Możliwe, że ich wysiłki były daremne, a Bewchard już nie żył. W tej chwili nie istniał żaden sposób rozstrzygnięcia tej kwestii.

Tuż przy szczycie muru podwoili ostrożność. Książę usłyszał odgłos kroków nad głową i domyślił się, że to wartownik. Zamarł w bezruchu. Wbijał właśnie ostatni sztylet, dzięki któremu mógłby wdrapać się na sam szczyt. Spojrzał w dół na uśmiechniętego d'Averca stojącego w blasku księżyca. Kroki ucichły i Hawkmoon zaczął wbijać do końca nóż między kamienie.

Kiedy podciągał się już na szczyt muru, odgłos kroków, tym razem zdecydowanie szybszych, rozbrzmiał ponownie. Spojrzał w górę, prosto w twarz zdumionego pirata.

Ryzykując życie podskoczył, uchwycił się krawędzi ściany, przerzucił nogę i wtoczył się na górę, uderzając ze wszystkich sił w nogi wyciągającego miecz strażnika.

Pirat wciągnął głęboko powietrze, usiłując złapać równowagę i po chwili bezgłośnie runął w dół.

Dyszając ciężko Hawkmoon wyciągnął rękę i pomógł d'Avercowi wdrapać się na szczyt muru. W ich stronę zbliżało się biegiem dwóch kolejnych wartowników.

Książę skoczył na nogi, dobył miecza i stanął gotów do walki.

Rozległ się brzęk stali, kiedy obaj stawili czoło piratom. Potyczka nie trwała długo, dwaj przyjaciele byli zdesperowani i nie mieli czasu do stracenia. Niemal równocześnie ich miecze zagłębiły się w ciała strażników, dosięgnęły serc i wysunęły z powrotem, a napastnicy padli bez życia.

Hawkmoon i d'Averc rozejrzeli się szybko wzdłuż muru. Wyglądało na to, że nie zostali jeszcze dostrzeżeni przez innych. Książę wskazał schody prowadzące w dół na ulicę. Francuz skinął głową i obaj w pośpiechu zaczęli zbiegać po nich, starając

się nie czynić hałasu.

W dole zalegał mrok i panowała cisza, miasto sprawiało wrażenie wymarłego. Daleko w centrum Starvelu paliła się silna latarnia, ale reszta tonęła w ciemnościach, jeśli nie liczyć odblasków sączących się przez szpary w okiennicach i drzwiach.

Kiedy znaleźli się między budynkami, do ich uszu dotarły stłumione hałasy — czyjś gardłowy śmiech, odgłosy hulanki.

Jedne z drzwi stanęły otworem, ukazując wnętrze pełne pijanych ludzi. Pojawił się w nich ledwie stojący na nogach pirat, zaklął głośno i padł twarzą na bruk. Drzwi zamknięto, a mężczyzna nie drgnął nawet.

Budynki w Starvelu były znacznie skromniejsze od tamtych po drugiej stronie muru. Nie miały tak bogatych zdobień jak domy w Narleenie i gdyby Hawkmoon nie znał prawdy, pomyślałby po prostu, że zamieszkują je biedniejsi ludzie. Ale Bewchard powiedział, iż bogactwo piratów można poznać tylko po wykończeniu ich statków, po noszonej odzieży oraz po wystroju tajemniczej Świątyni Batacha Gerandiuna, gdzie miał jakoby znajdować się Miecz Świtu.

Z naszymi mieczami zagłębili się w uliczki miasta. Zakładali, że Bewchard jeszcze żyje, nie mieli jednak przecież żadnego pojęcia, gdzie może być więziony, mimo to jakiś instynkt wiodł ich w stronę latarni w centrum miasta.

Kiedy byli już blisko placu, powietrze przeszył nagle posępny łomot bębnow, odbijający się echem w mrocznych, pustych zaułkach. Po chwili usłyszeli odgłos marszowych kroków i towarzyszący im tętent końskich kopyt.

— Co się dzieje? — syknął d'Averc. Wyrzał ostrożnie za róg budynku i błyskawicznie cofnął głowę. — Idą prosto na nas — rzekł. — Cofamy się!

W ulicy przed nimi zatańczyły odbłaski pochodni i pojawiły się gigantyczne cienie. Hawkmoon i d'Averc zanurkowali z powrotem w ciemność, spoglądając na wyłaniającą się procesję.

Prowadził ją sam Yaljon ze ściągniętą, ponurą, bladą twarzą i wzrokiem utkwionym w dal. Dosiadał czarnego rumaka i kierował się w stronę placu oświetlonego przez latarnię. Za nim postępowali dobosze, wybijając powolny, monotony rytm. Dalej pojawiła się grupa uzbrojonych, bogato odzianych jeźdźców, prawdopodobnie innych Lordów Starvelu. Wszyscy mieli nieruchome jak maski twarze i tkwili w siodłach sztywno niczym posągi. Następnie ukazał się ktoś, czyj widok natychmiast przyciągnął uwagę dwóch obserwatorów.

Bewchard.

Przywiązany za ręce i nogi, rozciągnięty na wielkiej ramie z wygiętych wielorybich kości, umocowanej na platformie na kołach, ciągniętej przez szóstkę koni. Prowadzili je odziani w liberie piraci. Nagie ciało kapitana złane było potem, a twarz okrywała niezwykła bladość. Widocznie wiele musiał wycierpieć, lecz wargi miał mocno zaciśnięte. Jego piersi pokrywały wykonane farbą dziwne symbole, a podobne znaki widniały na policzkach. Napręzał wszystkie mięśnie, usiłując zerwać więzy, ale liny były dobrze zaciśnięte wokół jego nadgarstków i kostek nóg.

D'Averc uczynił krok, jakby chciał skoczyć na pomoc, ale Hawkmoon powstrzymał go.

— Nie — szepnął. — Pójdźmy za nimi. Możliwe, że nadarzy nam się lepsza sposobność ocalenia go.

Poczekali, aż minie ich reszta procesji, wreszcie ruszyli za nimi. Posuwali się powoli przez jakiś czas, w końcu wyszli na obszerny plac oświetlony wielką latarnią umieszczoną nad



wejściem do wysokiej budowli o dziwnej, asymetrycznej architekturze, na pierwszy rzut oka sprawiającej wrażenie tworu naturalnego, zbudowanego ze szklistej, wulkanicznej substancji. W jej wyglądzie było coś złowieszczego.

— To na pewno Świątynia Batacha Gerandiuna — mruknął Hawkmoon. — Ciekaw jestem, po co go tam prowadzą.

— Przekonamy się — odparł d'Averc, śledząc wkraczający do wnętrza świątyni posępny orszak.

Przemknęli obaj przez plac i ukryli się w cieniu obok wejścia. Drzwi pozostawiono uchylone, najwyraźniej ich nie pilnowano. Widocznie piraci byli pewni, że nikt nie odważy się wejść tam, gdzie tylko oni mieli prawo wstępu.

Rozglądając się dookoła, czy nie są obserwowani, książę Koln podkradł się do drzwi i pchnął je, poszerzając nieco wejście. Przed nim był mroczny pasaż. Zza załomu ściany padał czerwonawy poblask i dobiegały odgłosy chóralnego śpiewu. Mając d'Averca tuż za plecami Hawkmoon ruszył ostrożnie w głąb korytarza.

Zatrzymał się przed załomem ściany. Poczul w powietrzu

Jedne z drzwi stanęły otworem, ukazując wnętrze pełne pijanych ludzi. Pojawił się w nich ledwie stojący na nogach pirat, zaklął głośno i padł twarzą na bruk. Drzwi zamknięto, a mężczyzna nie drgnął nawet.

Budynki w Starvelu były znacznie skromniejsze od tamtych po drugiej stronie muru. Nie miały tak bogatych zdobień jak domy w Narleenie i gdyby Hawkmoon nie znał prawdy, pomyślałby po prostu, że zamieszkują je biedniejsi ludzie. Ale Bewchard powiedział, iż bogactwo piratów można poznać tylko po wykończeniu ich statków, po noszonej odzieży oraz po wystroju tajemniczej Świątyni Batacha Gerandiuna, gdzie miał jakoby

znajdować się Miecz Świtu.

Z naszymi mieczami zagłębili się w uliczki miasta. Zakładali, że Bewchard jeszcze żyje, nie mieli jednak przecież żadnego pojęcia, gdzie może być więziony, mimo to jakiś instynkt wiódł ich w stronę latarni w centrum miasta.

Kiedy byli już blisko placu, powietrze przeszył nagle posępny łomot bębnow, odbijający się echem w mrocznych, pustych zaułkach. Po chwili usłyszeli odgłos marszowych kroków i towarzyszący im tętent końskich kopyt.

— Co się dzieje? — syknął d'Averc. Wyjrzał ostrożnie za róg budynku i błyskawicznie cofnął głowę. — Idą prosto na nas — rzekł. — Cofamy się!

W ulicy przed nimi zatańczyły odbłaski pochodni i pojawiły się gigantyczne cienie. Hawkmoon i d'Averc zanurkowali z powrotem w ciemność, spoglądając na wyłaniającą się procesję.

Prowadził ją sam Yaljon ze ściągniętą, ponurą, bladą twarzą i wzrokiem utkwionym w dal. Dosiadał czarnego rumaka i kierował się w stronę placu oświetlonego przez latarnię. Za nim postępowali dobosze, wybijając powolny, monotony rytm. Dalej pojawiła się grupa uzbrojonych, bogato odzianych jeźdźców, prawdopodobnie innych Lordów Starvelu. Wszyscy mieli nieruchome jak maski twarze i tkwili w siodłach sztywno niczym posągi. Następnie ukazał się ktoś, czyj widok natychmiast przyciągnął uwagę dwóch obserwatorów.

Bewchard.

Przywiązany za ręce i nogi, rozciągnięty na wielkiej ramie z wygiętych wielorybich kości, umocowanej na platformie na kołach, ciągniętej przez szóstkę koni. Prowadzili je odziani w liberie piraci. Nagie ciało kapitana złane było potem, a twarz okrywała niezwykła bladość. Widocznie wiele musiał wycierpieć,

lecz wargi miał mocno zaciśnięte. Jego piersi pokrywały wykonane farbą dziwne symbole, a podobne znaki widniały na policzkach. Napręzał wszystkie mięśnie, usiłując zerwać więzy, ale liny były dobrze zaciśnięte wokół jego nadgarstków i kostek nóg.

D'Averc uczynił krok, jakby chciał skoczyć na pomoc, ale Hawkmoon powstrzymał go.

— Nie — szepnął. — Pójdźmy za nimi. Możliwe, że nadarzy nam się lepsza sposobność ocalenia go.

Poczekali, aż minie ich reszta procesji, wreszcie ruszyli za nimi. Posuwali się powoli przez jakiś czas, w końcu wyszli na obszerny plac oświetlony wielką latarnią umieszczoną nad wejściem do wysokiej budowli o dziwnej, asymetrycznej architekturze, na pierwszy rzut oka sprawiającej wrażenie tworu naturalnego, zbudowanego ze szklistej, wulkanicznej substancji. W jej wyglądzie było coś złowieszczego.

— To na pewno Świątynia Batacha Gerandiuna — mruknął Hawkmoon. — Ciekaw jestem, po co go tam prowadzą.

— Przekonamy się — odparł d'Averc, śledząc wkraczający do wnętrza świątyni posępny orszak.

Przemknęli obaj przez plac i ukryli się w cieniu obok wejścia. Drzwi pozostawiono uchylone, najwyraźniej ich nie pilnowano. Widocznie piraci byli pewni, że nikt nie odważy się wejść tam, gdzie tylko oni mieli prawo wstępu.

Rozglądając się dookoła, czy nie są obserwowani, książę Koln podkradł się do drzwi i pchnął je, poszerzając nieco wejście. Przed nim był mroczny pasaż. Zza załomu ściany padał czerwonawy poblask i dobiegały odgłosy chóralnego śpiewu. Mając d'Averca tuż za plecami Hawkmoon ruszył ostrożnie w głąb korytarza.

Zatrzymał się przed załomem ściany. Poczul w powietrzu dziwny, odrażający smród, zarazem obcy, jak i coś przypominający. Wzdrygnął się i cofnął o krok. Na twarzy Francuza widniał grymas obrzydzenia.

— Fúj! Cóż to takiego? Hawkmoon pokręcił głową.

— Trochę podobny do zapachu krwi, a jednak zupełnie inny...

Oczy d'Averca rozszerzyły się, jakby miał zamiar zaproponować, żeby wyszli ze świątyni. Jednak pochylił tylko ramiona i zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza. Zsunął szarfę, którą nosił przerzuconą przez ramię, po czym zasłonił nią nos i usta gestem tak charakterystycznym dla siebie, że Hawkmoon uśmiechnął się, poszedł jednak jego śladem i także zakrył twarz szarfą.

Ruszył dalej, mijając zakręt korytarza.

Światło przybierało na sile, chociaż różowa poświata w niczym nie przypominała koloru świeżej krwi. Sączyła się z wąskiego przejścia na końcu korytarza, jak gdyby pulsując w rytm coraz głośniejszego zawodzenia, w którym wyczuwało się nutę straszliwej groźby. W miarę jak podchodzili bliżej, smród stawał się nie do zniesienia.

W pewnej chwili w przejściu mignęła jakaś postać. Zamarli w bezruchu, nie zostali jednak zauważeni. Człowiek zaraz zniknął, a Hawkmoon i d'Averc zaczęli posuwać się dalej.

Dziwny odór porażał zmysł węchu, a śpiew stawał się denerwujący. Nie było w nim żadnej harmonii, jak gdyby miał na celu jedynie szarpanie nerwów ludzi. Na wpół oślepieni czerwonym blaskiem, mieli wrażenie, że wszystkie ich zmysły zostały zaatakowane jednocześnie. Nadal jednak parli do przodu, aż stanęli tuż przy otworze wejściowym.

Roztoczyła się przed nimi sceneria wywołująca dreszcz lęku.

Strop nieregularnie kolistej sali zwisał na bardzo zróżnicowanych wysokościach — w jednym miejscu zaledwie kilka metrów nad podłogą, w innym nie można go było dostrzec w zadymionym powietrzu. Prawdopodobnie odzwierciedlał dokładnie zewnętrzne kształty budowli, sprawiającej wrażenie tworu naturalnego, a więc wznosił się i opadał w sposób całkowicie przypadkowy. Szkliste ściany silnie odbijały różową poświatę, tak że całe pomieszczenie tonęło w czerwonym blasku.

Źródło światła znajdowało się wysoko pod dachem i Hawkmoon skierował wzrok w tamtą stronę.

Rozpoznał natychmiast wiszący tam, dominujący nad całą salą przedmiot. Bez wątpienia właśnie po niego wysłał ich Mygan, wydając polecenia w ostatniej chwili przed śmiercią.

— Miecz Świtu — szepnął d'Averc. — Ten ohydny przedmiot z pewnością nie może mieć nic wspólnego z naszym przeznaczeniem!

Księżę, z posępnym grymasem na twarzy, wzruszył ramionami.

— Nie po to się tu zakradliśmy. Przyszliśmy po niego... — wskazał palcem.

Dokładnie pod mieczem widniało tuzin postaci rozciągniętych na ustawionych w półkolu ramach z wielorybich kości. Byli tam mężczyźni i kobiety, niektórzy martwi, większość jednak znajdowała się w stanie agonii.

D'Averc początkowo zdjęty skrajnym przerażeniem odwrócił twarz, lecz zaraz zmusił się do uniesienia oczu.

— Na Magiczną Laskę! — jęknął. — To... to barbarzyński obrzęd.

Z przeciętych żył nagich postaci powoli wypływała krew.

Ofiary pozostawiono rozpięte na ramach, żeby wykrwawiły

się na śmierć. Ci, którzy jeszcze żyli, zwijali się w mękach, lecz ich ruchy stopniowo słabły w miarę upływu krwi ściekającej do umieszczonego poniżej wielkiego basenu, wykutego w monolitycznym bloku obsydianu.

W basenie tym coś się poruszało, jakieś ciemne kształty wypływały na powierzchnię, jakby po to, żeby łyknąć spływającej świeżej krwi, a następnie zanurzały się z powrotem.

Jak głęboki był ten zbiornik? Ile tysięcy ludzi musiało umrzeć, by zapełnić go swą krwią? Jakież szczególne właściwości musiał mieć ów basen, że krew w nim nie tężała?

Wokół zbiornika zgromadzili się Piracy Lordowie Starvelu — z twarzami uniesionymi ku Mieczowi Świtu intonowali pieśń, kołysząc się na boki. Bezpośrednio pod mieczem ustawiono ramę, do której przywiązany był Bewchard.

W dłoni Yaljona błysnął nóż; nie ulegało wątpliwości, że ma zamiar zrobić z niego użytek. Bewchard popatrzył w dół, zaklął i dodał coś, czego Hawkmoon nie mógł usłyszeć. Ostrze noża połyskiwało, jakby pokryte świeżą krwią. Pieśń przybrała na sile, a ponad nią wybił się dudniący głos Yaljona.

— Mieczu Świtu, w którym znalazł schronienie duch naszego boga i przodka; Mieczu Świtu, dzięki któremu niezwyciężony Batach Gerandiun stworzył naszą potęgę; Mieczu Świtu, który powodujesz, że martwi ożywają, a żywi mogą żyć wiecznie, który czerpiesz swój blask ze świeżej krwi człowieka; Mieczu Świtu, przyjmij naszą nową ofiarę razem z przysięgą, iż będziesz nadal otoczony czcią w Świątyni Batacha Gerandiuna, by dzięki tobie Starvel przetrwał wieczność! Przyjmij ofiarę z naszego wroga, nikczemnego Pahla Bewcharda, należącego do przeklętej kasty, zwącej siebie kupcami!

Bewchard przemówił ponownie, jego wargi poruszyły się, lecz

słowa ugrzęzły w histerycznym zawrocie Pirackich Lordów.

Yaljon uniósł nóż ponad ciałem Bewchara i w tym momencie książę Dorian nie zdołał już dłużej panować nad sobą. Z jego piersi wydobył się nieludzki okrzyk, poprzedzający zawołanie bitewne przodków:

— Hawkmoon! Hawkmoon!

Rzucił się między zgromadzone wampiry, w kierunku cuchnącego basenu i jego odrażających mieszkańców, szeregu ram z rozpiętymi ciałami martwych lub konających ofiar oraz błyszczącego, budzącego lęk miecza.

— Hawkmoon! Hawkmoon!

Piracy Lordowie odwracali głowy, pieśń umilkła. Oczy Yaljona rozszerzyły się z wściekłości, odrzucił do tyłu luźne szaty i wydobył miecz bliźniaczo podobny do tego, który trzymał intruz. Cisnął trzymany w dłoni nóż do wypełnionego krwią basenu i uniósł w górę miecz.

— Głupcze! Czyżbyś nie wiedział, że żaden śmiertelnik wkraczający do Świątyni Batacha nie może jej opuścić, dopóki z jego ciała nie wypłynie cała krew?

— Dzisiaj z twojego ciała popłynie tu krew, Yaljonie! — krzyknął Hawkmoon, ruszając do ataku.

Na jego drodze ku hersztowi wyrosło dwudziestu piratów z obnażonymi głowniami.

Skoczył na nich z furją. W gardle dusił odrażający fetor, oczy oślepił blask bijący od miecza, poprzez który dostrzegł jednak Bewchara szamoczącego się w więzach. Pchnął jednego z piratów prosto w serce, ciął drugiego, który odskoczył, runął do basenu i został natychmiast wciągnięty pod powierzchnię przez żyjące w nim stwory, natarł na trzeciego, odcinając mu rękę. D'Averc dzielnie dotrzymywał mu kroku, spychając

przeciwników do tyłu.

Przez chwilę wydawało się, że atakując desperacko zdołają wyrąbać sobie przejście i uwolnić Bewcharda. Hawkmoon przedostał się już nad samą krawędź potwornego, wypełnionego krwią zbiornika i broniąc się przed atakami piratów usiłował drugą ręką przeciąć więzy Bewcharda. Lecz nagle pośliznął się i osunął, zanurzając stopę po kostkę w basenie. Poczul pod nogą coś odrażającego, łukowato wygiętego, wyrwał stopę pospiesznie, ale w tym czasie piraci zdołali unieruchomić mu rękę. — Odrzucił głowę do tyłu i zawołał:

— Przykro mi, Bewchard! Działiałem instynktownie. Ale nie miałem czasu!

— Nie powinienes być podążać za mną! — wykrzyknął zrozpaczony kapitan. — Teraz na równi ze mną staniesz się ich ofiarą i pokarmem dla potworów żyjących w basenie! Nie powinienes być iść moim śladem, Hawkmoonie!



## ROZDZIAŁ X

# PRZYJACIEL Z MROKÓW



Obawiam się, drogi Bewchardzie, że na próżno okazywałeś nam swą szczodrość! Nawet w takiej sytuacji d'Averc nie potrafił powstrzymać się od ironicznych uwag.

Byli rozpięci po obu stronach Bewcharda na dwóch ramach, z których odcięto dwoje martwych już ludzi. Pod nimi czarne stworzenia bezustannie wynurzały się i zapadały z powrotem pod powierzchnię krwi wypełniającej zbiornik. Czerwona poświata z wiszącego nad głowami Miecza Świtu zalewała całe wnętrze, okrywała blaskiem zwrócone ku górze twarze wyczekujących Pirackich Lordów, padała na oblicze Yaljona, którego nieruchome oczy pałające triumfem wbijały się w obnażone ciała dwóch przyjaciół, pokryte takimi samymi jak u Bewcharda dziwaczными symbolami.

Z basenu dobiegały mlaszczące odgłosy, potwory pływały w cuchnącej mazi, czekając bez wątpienia na dopływ świeżej krwi. Hawkmoona przeniknął dreszcz obrzydzenia, z trudem opanowywał skurcze żołądka. Czuł pulsowanie w głowie, a zdrętwiałe kończyny przeszywał dokuczliwy ból. Jego myśli skierowały się ku Yisseldzie, ojczystej ziemi oraz nie wyrównanym rachunkom z Mrocznym Imperium. Miał oto już nigdy więcej nie ujrzeć żony, nie odetchnąć powietrzem

Kamargu, nie zaznać smaku zwycięstwa nad Granbretanem, o ile takie mogło kiedykolwiek nastąpić. Utracił to wszystko próbując ratować obcego, niedawno dopiero poznanego człowieka, którego walka nic nie znaczyła wobec zmagania z siłami Mrocznego Imperium.

Teraz, o krok od śmierci, było już za późno na rozpatrywanie tego wszystkiego. Miał bowiem wkrótce umrzeć w straszliwy sposób, zarżnięty niczym prosię, czując, jak siły życiowe opuszczają go z każdym uderzeniem serca.

Yaljon uśmiechnął się.

— Nie wykrzykujesz już śmiałego zawołania bitewnego, niewolniku? Jesteś dziwnie milczący. Czyżbyś nie chciał mnie o nic zapytać? Nie będziesz skamlał o życie? Nie będziesz błagał o to, by znów zostać niewolnikiem? Nie będziesz prosił o wybaczenie za zatopienie mojego statku, zabicie moich ludzi i znieważenie mnie?

Hawkmoon splunął w jego kierunku, ale nie trafił.

Yaljon jakby od niechcienia wzruszył ramionami.

— Czekam na nowy nóż. Kiedy zostanie przyniesiony i poświęcony według rytuału, przetnę twoje żyły w kilku tylko miejscach, żeby mieć pewność, iż będziesz konał powoli, że będziesz mógł zobaczyć, jak te stworzenia w dole żywią się twoją krwią. A twój bezkrwisty zewłok wyślemy burmistrzowi Narleenu, o ile się nie mylę, wujowi Bewchara, jako dowód, że Starvel nie będzie tolerował żadnego nieposłuszeństwa.

Do sali wkroczył jeden z piratów, ukląkł przed Yaljonem i podał mu długi, ostry nóż. Herszt przyjął go i człowiek wycofał się szybko.

Yaljon zaczął mrużyć coś cicho, to pochylając głowę nad nożem, to znów spoglądając w górę na Miecz Świtu. Następnie

przełożył nóż do prawej dłoni i uniósł go, niemalże dotykając ostrzem uda Hawkmoona.

— Teraz zaczniemy od początku — rzekł w końcu, intonując pieśń i rozpoczynając litanie, którą słyszeli poprzednio.

Książę napiął wszystkie mięśnie, próbując zerwać więzy, aż poczuł w gardle gorycz żółci. Słowa dudniły mu w uszach, chóralny śpiew nasilał się, zbliżając do histerycznego wycia.

— ...Mieczu Świtu, który powodujesz, że martwi ożywają, a żywi mogą żyć wiecznie...

Czubek noża oparł się o skórę na udzie Hawkmoona.

— ...który czerpiesz swój blask ze świeżej krwi człowieka...

Książę półprzytomnie zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście jest to możliwe, by różowy miecz jakimś szczególnym sposobem czerpał swój blask z krwi. Nóż dotknął jego kolana. Hawkmoon przeklął Yaljona, szamocząc się jak opętany w więzach.

— ...będziesz nadal otoczony czcią w Świątyni Batacha Gerandiuna...

Valjon urwał nagle i wciągnął głęboko powietrze, utkwivszy wzrok w górze, ponad Hawkmoonem. Książę wykręcił szyję i syknął ze zdumienia.

Miecz Świtu opadał ku nim spod dachu!

Kiedy zbliżył się nieco, Hawkmoon dostrzegł, iż zawieszony był w sieci z grubego drutu, a teraz obok niego stał człowiek.

Jego głowę skrywał wysoki hełm, zbroja i cały strój były w barwach czarnej i złotej, a u boku wisiał olbrzymi obusieczny oręż.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Rozpoznał tego człowieka — o ile był to człowiek.

— Rycerz w Czerni i Złocie! — wykrzyknął.

— Do waszych usług — rozbrzmiał ironicznie głęboki,

dudniący wewnątrz hełmu głos.

Yaljon ryknął z wściekłości i cisnął w Rycerza nożem, lecz ostrze zadzwoniło tylko o zbroję, odbiło się i wpadło do basenu.

Przybysz ostrożnie zacisnął skrytą w rękawicy dłoń na rękojeści Miecza Świtu, zawisł na nim i spokojnie przeciął sznury mocujące nadgarstki Hawkmoona.

— Ty... ty bezczęścisz nasz święty obiekt — jęknął z niedowierzaniem Yaljon. — Dlaczego nie spotkała cię kara? Nasz bóg, Batach Gerandiun, będzie musiał wyrzucić zemstę. To jego miecz, jest w nim zaklęta jego dusza.

— Ja wiem lepiej — odparł Rycerz. — To miecz Hawkmoona. Kiedyś Magiczna Laska zdecydowała wykorzystać twojego przodka, Batacha Gerandiuna, do własnych celów, udostępniając moc zawartą w tym różowym mieczu, ale teraz owa moc musi przejść w posiadanie obecnego tu Hawkmoona!

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł zmieszany Yaljon. — Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś? Czy jesteś... czy ty możesz być Batachem Gerandiunem?

— Mogę być — mruknął Rycerz. — Mogę być wieloma rzeczami, różnymi ludźmi.

Księżę błagał los, by Rycerz opamiętał się w porę. Yaljon kiedyś musiał oprzytomnieć. Mając wolne ręce chwycił się mocno kościanej ramy, wziął z rąk Rycerza wyciągnięty w jego stronę nóż i zaczął energicznie rozcinać sznury zasupłane wokół kostek nóg.

Yaljon pokręcił głową.

— To niemożliwe. Jesteś złudą. — Odwrócił się ku pozostałym piratom. — Czy wy także to widzicie? Człowieka uwieszonego na naszym mieczu?

Ci z zasepionymi minami pokiwali głowami, po czym jeden z

nich rzucił się biegiem w stronę wyjścia ze świątyni.

— Sprowadzę ludzi. Posiłki...

Hawkmoon skoczył ku stojącemu najbliżej Pirackiemu Lordowi i zacisnął dłoń na jego gardle. Tamten wrzasnął, próbował rozewrzeć uścisk, lecz księżę Dorian odchylił mu głowę daleko do tyłu, aż rozległ się głośny trzask, błyskawicznie wyciągnął jego miecz z pochwy i opuścił martwe ciało na posadzkę.

Zamarł w bezruchu — nagi, skąpany w blasku bijącym od wielkiego miecza — Rycerz w Czerni i Złocie począł zaś rozcinać więzy jego przyjaciół.

Yaljon uczynił krok do tyłu.

— To niemożliwe... To niemożliwe — powtarzał, a w jego oczach malowało się niedowierzenie.

D'Averc zeskoczył z ramy i stanął u boku Hawkmoona, a po chwili dołączył do nich Bewchard. Obaj byli nadzy i nie uzbrojeni.

Zdeprymowani widocznie wahaniem swojego dowódcy piraci stali w miejscu. Za plecami trzech nagich mężczyzn poruszał się jedynie uwieszony miecza i próbujący ściągnąć go niżej Rycerz w Czerni i Złocie.

W końcu Yaljon wrzasnął, skoczył w jego kierunku i wyciągnął miecz z drucianej siatki.

— Jest mój! Należy mi się według prawa! Rycerz spokojnie pokręcił głową.

— Należy do Hawkmoona! On ma do niego prawo! Yaljon skierował miecz ku niemu.

— A więc nie dostanie go! Zabijcie ich!

Do wnętrza świątyni zaczęli wbiegać ludzie z pochodniami w rękach. Piraccy Lordowie sięgnęli po broń, zbliżając się ku

czterem mężczyznom stojącym na brzegu basenu. Rycerz w Czerni i Złocie wydobył swój olbrzymi miecz i zamachnął się nim jak kosą, odganiając napastników do tyłu i przecinając kilku z nich.

— Weźcie ich broń — rozkazał. — Musimy z nimi walczyć.

Bewchard i d'Averc wypełnili polecenie Rycerza i posuwając się tuż za nim ruszyli do ataku. Mogłoby się здаwać, że teraz w sali tłoczył się już tysiąc piratów, a oczy ich wszystkich płonęły niepohamowaną żądzą krwi.

— Musisz odebrać miecz z rąk Yaljona, Hawkmoonie! — zawołał Rycerz, przekrzykując szcęk oręża. — Zabierz mu go, inaczej wszyscy zginiemy!

Zostali ponownie zepchnięci nad brzeg zbiornika, z którego bez przerwy dobiegały mlaszczące odgłosy. Księżę spojrzał szybko przez ramię i wrzasnął z przerażenia.

— One wyłażą z basenu!

Teraz, kiedy stworzenia wypełzały na brzeg, Hawkmoon dojrzał, iż są to zaopatrzone w macki potwory, podobne do zwierzęcia, z którym toczyli walkę w lesie, tyle że mniejsze. Prawdopodobnie były spokrewnione z tamtymi i sprowadzone do miasta przed wiekami przez przodków Yaljona, gdzie stopniowo zaadaptowały się do życia w ludzkiej krwi!

Poczuł, jak macka dotyka jego nagiego ciała i przeniknął go dreszcz grozy. Obecność potwora za plecami dodała mu nowych sił i rzucił się jak szalony w tłum piratów, próbując wyrębać sobie drogę ku Yaljonowi, który stał nie opodal, wsparty na Mieczu Świtu i zatopiony w bijącym od głowni niezwykłym czerwonym blasku.

Yaljon, czując niebezpieczeństwo, zacisnął dłoń na rękojeści, wyrecytował jakieś słowa i czekał niecierpliwie. Nic się jednak

nie wydarzyło i herszt sapnąwszy, uniósł miecz wysoko nad głowę i natarł na Hawkmoona.

Ten wykonał unik i z ledwością zablokował cios, na wpół oślepiony blaskiem. Yaljon wrzasnął i raz jeszcze zamierzył się różowym mieczem. Hawkmoon zanurkował pod głównią i pchnął błyskawicznie, trafiając przeciwnika w ramię. Tamten ryknął jak dzikie zwierzę, natarł raz i drugi, ale nagi mężczyzna zwinnie uskakiwał przed jego ciosami.

Stanął w końcu, spoglądając w twarz Hawkmoona wzrokiem pełnym przerażenia i zdumienia.

— Jak to możliwe? — mruknął. — Jak to możliwe? Książę zaśmiał się głośno.

— Nie pytaj mnie, Yaljonie, gdyż dla mnie jest to taką samą tajemnicą jak dla ciebie. Polecono mi jednak, bym zabrał ci miecz, i uczynię to! — W tej samej chwili natarł na niego, lecz hersztowi piratów udało się szybkim ruchem Miecza Świtu sparować pchnięcie.

Yaljon stał odwrócony plecami do basenu. Hawkmoon spostrzegł, że ohydne stwory, których obłe cielska ociekały krwią, zaczynają pełznąć po posadzce. Zaatakował z furją, spychając Pirackiego Lorda coraz bardziej do tyłu, ku przerażającym zwierzętom. Wreszcie jedna z macek dosięgnęła nóg Yaljona, który wrzasnął ze strachu, zamierzając się na nią mieczem.

Hawkmoon skoczył do przodu i z całej siły walnął pięścią w twarz Pirackiego Lorda, jednocześnie zaś drugą ręką wyszarpnął miecz z jego dłoni.

Stanął, spoglądając z posępnym wyrazem twarzy na wroga, ściąganego powoli ku zbiornikowi.

Yaljon wyciągnął ręce do księcia.

— Ocal mnie... Proszę, ocal mnie, Hawkmoonie.

Lecz ten stał niewzruszony, oparł dłonie na rękojeści Miecza Świtu i spoglądał szklistym wzrokiem na wleczoną w stronę wypełnionego krwią basenu ofiarę.

Pirat nie powiedział już nic, tylko zakrył twarz dłońmi. Po chwili jedna jego stopa, a potem druga pogrążyły się w cuchnącej zawartości zbiornika.

W końcu powietrze przeszył przeciągły historyczny wrzask zakończony przerażającym bulgotem, kiedy głowa Yaljona zniknęła pod powierzchnią.

Hawkmoon odwrócił się szybko, wając w rękę ciężki miecz i sycąc oczy bijącym od niego blaskiem. Ujął go obiema dłońmi i powiódł wzrokiem, chcąc się przekonać, jak radzą sobie jego przyjaciele. Stali razem, stawiając czoło liczniejszemu napastnikom, i było jasne, że znajdują się w bardzo trudnym położeniu, nawet gdyby nie zważać na stwory wpełzające z ohydneho zbiornika.

Rycerz spostrzegł, że księżę Dorian trzyma już w dłoniach miecz i krzyknął coś do niego, ale słowa ugrzęzły w bitewnym zgiełku. Hawkmoon, zmuszony do zasłonięcia się przed nacierającymi kilkoma naraz piratami, szybko przeszedł do ataku, chcąc przedrzeć się ku przyjaciołom.

Stwory zamieszkujące zbiornik kłębiły się na jego krawędzi i rozpełzały po posadzce. Księżę zrozumiał, że ich pozycja jest z góry przegrana, gdyż zostali wzięci w kleszcze przez horde piratów z jednej strony, a krwiożercze bestie z drugiej.

Rycerz w Czerni i Złocie ponownie coś zawołał, ale Hawkmoon wciąż nie mógł go zrozumieć. Walczył jak opętany, usiłując przebić się ku Rycerzowi. Pod jego ciosami spadały głowy, obcinał ręce, a tajemniczy sprzymierzeniec był coraz bliżej. Głos



Rycerza rozbrzmiał ponownie i tym razem Hawkmoon zrozumiał.

— Wezwij ich! Przywołaj Legion Świtu, Hawkmoonie! W przeciwnym razie zginiemy! Książę zmarszczył brwi.

— O co ci chodzi?

— Masz teraz prawo rozkazywać Legionowi. Wezwij ich! W imię Magicznej Laski, człowieka, wezwij ich!

Hawkmoon sparował cios, a następnie ściął atakującego go pirata. Odniósł wrażenie, że blask miecza przygasa, ale mogło to być jedynie złudzenie, gdyż w sali płonęły obecnie liczne pochodnie.

— Wezwij swoich ludzi, Hawkmoonie! — wrzasnął zdesperowany Rycerz w Czerni i Złocie.

Książę wzruszył ramionami i niezbyt wierząc w to wszystko zawołał:

— Przyzywam Legion Świtu!

Nic się nie stało. Niczego zresztą się nie spodziewał, zawsze podkreślał swoją niewiarę w tego typu legendy.

Nagle zauważył, że wśród piratów podniósł się wrzask — nie wiadomo skąd zaczęły pojawiać się między nimi nowe postacie. Były to dziwne zjawy emanujące różowym blaskiem, które z niezwykłą gwałtownością uderzały na lewo i prawo, siekąc zastępy piratów.

Hawkmoon odetchnął głęboko, zdumiony tym widokiem.

Przybysze mieli na sobie bogato zdobione zbroje, najwyraźniej pochodzące z minionych epok. Uzbrojeni byli we włócznie przybrane pękami barwionych włosów oraz olbrzymie karbowane maczugi pokryte misternymi wzorami. Z dzikim wyciem i okrzykami uderzali na piratów z niewiarygodną szybkością. W ciągu kilku chwil zepchnęli ich ku wyjściu ze

świątyni.

Skóra widmowych sprzymierzeńców miała brązowy odcień, spomiędzy barwnych wzorów pokrywających twarze wyzierały olbrzymie czarne oczy, a z gardeł płynęła dziwna, zawodząca pieśń.

Piraci bronili się zawzięcie, tnąc rzucających różowe światło wojowników. Lecz jeśli któryś z nich padał, ciało znikało i w jego miejsce pojawiał się znikąd następny. Hawkmoon próbował dostrzec, skąd się biorą, nie mógł jednak nadążyć — na moment zaledwie odwracał wzrok i w tej samej chwili spostrzegł nowego wojownika.

Dysząc ciężko podszedł do przyjaciół. Nagie ciała Bewcharda i d'Averca pokrywały liczne, chociaż niegroźne rany. Stali w milczeniu spoglądając, jak Legion Świtu dokonuje rzezi piratów.

— To wojownicy, którzy służą mieczowi — wyjaśnił Rycerz w Czerni i Złocie. — Przy ich pomocy, jako że odpowiadało to wówczas Magicznej Lasce i jej kolei losów, przodkowie Yaljona zbudowali swą potęgę, siejąc strach wśród mieszkańców Narleenu i okolic. Lecz teraz miecz obrócił się przeciwko ludziom Yaljona, pozbawiając ich tego, czym przedtem obdarował.

Hawkmoon poczuł, że coś dotyka jego stopy, obejrzał się i krzyknął z przerażenia.

— Stworzenia ze zbiornika! Zapomniałem o nich! — Ciął mackę mieczem i odskoczył do tyłu.

Natychmiast pomiędzy nim a bestiami wyrosło kilkunastu emanujących blaskiem wojowników. Zdobione włócznie opadły jak błyskawice, rozległy się uderzenia maczug — stworzenia próbowały uciekać, ale Żołnierze Świtu nie pozwolili im się cofnąć. Okrążyli je, cięli i młócili, aż na posadzce pozostała jedynie czarna, cuchnąca, nierozpoznawalna masa.

— Po wszystkim — oznajmił jakby z niedowierzaniem Bewchard. — Zwyciężyliśmy. Potęga Starvelu została wreszcie złamana. — Schylił się i podniósł pochodnię. — Chodźmy, drogi Hawkmoonie, poprowadź swych widmowych wojowników na ulice miasta. Wybijemy wszystkich piratów, spalimy...

— Dobrze... — zaczął książę Dorian, ale Rycerz w Czerni i Złocie znacząco pokręcił głową.

— Nie! Nie po to Legion został ci przekazany, Hawkmoonie. Masz z jego pomocą wypełnić wolę Magicznej Laski.

Książę zawahał się.

Rycerz położył dłoń na ramieniu Bewcharda.

— Teraz, kiedy większość Pirackich Lordów nie żyje, a potęga Yaljona została rozbita, nic nie powstrzyma ciebie i twoich ziomków przed powrotem do Starvelu i dokończeniem dzieła rozpoczętego dziś w nocy. Hawkmoon i jego miecz są potrzebni do wyższych celów. Musimy wkrótce wyjechać.

Książę poczuł narastającą złość.

— Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Rycerzu w Czerni i Złocie, że przybyłeś nam z pomocą. Ale chciałbym ci przypomnieć, że nie znalazłbym się tutaj, gdyby nie knowania twoje i nieżyjącego już Mygana z Llandaru. Muszę wracać do domu, do Zamku Brass i mojej ukochanej. Jestem człowiekiem niezależnym, Rycerzu. Niezależnym! Ja będę decydował o moim własnym losie.

Rycerz wybuchnął nagle głośnym śmiechem.

— Wciąż odznaczasz się naiwnością, Dorianie Hawkmoonie. Uwierz mi, jesteś sługą Magicznej Laski. Sądzisz, że przybyłeś do tej świątyni tylko po to, by pomóc przyjacielowi w potrzebie. Ale to wszystko należy do planu Magicznej Laski! Nie odważyłbyś się wystąpić przeciwko Pirackim Lordom, gdyby chodziło jedynie o zdobycie Miecza Świtu, ponieważ nie wierzysz w jego legendę.

Odważyłeś się jednak, pragnąc ratować Bewcharda. Sieć zdarzeń, którą plecie Magiczna Laska, jest bardzo złożona. W takich przypadkach ludzie nigdy nie zdają sobie sprawy z rzeczywistych celów własnych działań. Teraz musisz wypełnić drugą część misji w Amareku. Powinieneś udać się na północ, najlepiej wzdłuż wybrzeża, jestem bowiem pewien, że Bewchard pożyczy ci jakiś statek. Musisz odnaleźć Dnark, Miasto Wielkiej Dobroci, które potrzebuje twojej pomocy. Znajdziesz tam również dowód na to, że Magiczna Laska istnieje w rzeczywistości.

— Nie interesuje mnie rozwiązywanie tajemnic, Rycerzu. Muszę wiedzieć, co spotkało moją żonę i przyjaciół. Powiedz mi, czy znajdujemy się w tej samej epoce.

— Tak — odparł Rycerz. — Przebywałeś w tym samym czasie, który opuściłeś w Europie. Wiesz chyba jednak, że Zamek Brass istnieje wszędzie...

— Wiem o tym — Hawkmoon w zamyśleniu zmarszczył czoło. — Cóż, Rycerzu. Może zgodzę się wziąć statek Bewcharda i pożeglować do Dnark. Może...

Rycerz skinął głową.

— Chodźmy zatem — powiedział. — Opuśćmy to odrażające miejsce i wracajmy do Narleenu. Przedyskutujemy z Bewchardem sprawę statku.

Kapitan uśmiechnął się.

— Wszystko, co posiadam, Hawkmoonie, należy do ciebie. Uczyniłeś tak wiele dla mnie i całego mojego miasta. Ocaliłeś mi życie i dzięki tobie został pokonany odwieczny wróg Narleenu. Jeśli zapragniesz, możesz mieć dwadzieścia statków.

Książę zamyślił się głęboko. Zastanawiał się właśnie, jak oszukać Rycerza w Czerni i Złocie.



# ROZDZIAŁ XI

## ROZSTANIE



Następnego dnia po południu Bewchard odprowadził ich na nabrzeże. Wszędzie witani byli przez mieszkańców Narleenu owacjami. Do Starvelu wysłano oddział żołnierzy, który rozgromił niedobitki piratów. Bewchard położył dłoń na ramieniu Hawkmoona.

— Chciałbym, żebyś został, drogi przyjacielu. Będziemy świętować jeszcze przez długie tygodnie, a ty wraz z kompanami powinieneś być wśród nas. Będzie mi przykro ucztować bez was, gdyż to nie ja, a wy jesteście prawdziwymi bohaterami Narleenu.

— To prawdziwe szczęście, kapitanie Bewchard, że dobry los połączył nasze ścieżki. Wy pozbyliście się wrogów, a my zdobyliśmy to, czego szukaliśmy. — Księżę uśmiechnął się. — Czas odpływać.

Bewchard pokiwał głową.

— Skoro tak musi być, niech będzie. — Popatrzył uważnie na Hawkmoona i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Nie przypuszczam, byście nadal wierzyli, że wciąż jestem pod wrażeniem opowieści o uczonym krewnym, który bardzo interesuje się tym mieczem.

Księżę zaśmiał się głośno.

— Nie, ale mówiąc szczerze, kapitanie, nadal nie mogę

przedstawić bardziej wiarygodnej historyjki. Sam nie wiem, z jakiego powodu musiałem zdobyć Miecz Świtu... — Poklepał obszerną pochwę chroniącą legendarny oręż. — Rycerz w Czerni i Złocie utrzymuje, że to wszystko jest częścią wielkiego przeznaczenia, a ja jestem jedynie bezwolnym niewolnikiem losu. Ze swej strony pragnąłbym tylko znaleźć nieco miłości i nieco ukojenia, a także odpłacić się tym, którzy złupili mój kraj ojczysty. Mimo to znalazłem się tutaj, na kontynencie odległym o tysiące kilometrów od miejsc, w których chciałbym przebywać, i wyruszam na poszukiwanie kolejnego legendarnego przedmiotu. Nie czynię tego z ochotą. Może kiedyś zrozumiemy to wszystko do końca.

Bewchard spojrział na niego z troską.

— Sądzę, że służyysz wielkiej sprawie, Hawkmoonie. Twe dzieje przejdą do historii. Książę ponownie zaśmiał się.

— A przecież nie zależy mi na wzniosłej przyszłości, wystarczy, jeśli będzie ona bezpieczna.

— Może i tak — odparł Bewchard. — Oto, przyjaciele, przygotowałem dla was i wyposażyłem mój najlepszy statek. Najznakomitsi marynarze z Narleenu prześcigali się, by mieć sposobność pożeglować z wami. Macie wyśmienitą załogę. Życzę ci powodzenia, Hawkmoonie. I tobie także, d'Avercu.

Francuz zakasłał w mankiet.

— Jeśli Hawkmoon jest bezwolnym sługą owej wielkiej sprawy, to kimże ja jestem? Czyż tylko wielkim głupcem? Nie dopisuje mi zdrowie, chronicznie jestem w złej kondycji, a wciąż ciągną mnie po całym świecie w służbie mitycznej Magicznej Laski. Przypuszczam, że to mnie dobije.

Książę skwitował jego słowa uśmiechem, po czym zatroskany odwrócił się na pięcie w stronę trapu wiodącego na pokład

statku. Rycerz w Czerni i Złocie poruszył się niecierpliwie.

— Dnark, Hawkmoonie — przypomniał. — Musisz odnaleźć w Dnarku Magiczną Laskę.

— Dobrze — rzucił Hawkmoon. — Słyszałem cię, Rycerzu.

— Miecz Świtu jest także potrzebny w Dnarku — kontynuował niezrażony Rycerz w Czerni i Złocie — a tylko ty możesz go dzierżyć.

— Będę musiał postąpić zgodnie z twymi radami, Rycerzu — odparł swobodnym tonem książę. — Czy popłyniesz z nami?

— Muszę zająć się innymi sprawami.

— Nie wątpię jednak, że jeszcze się spotkamy.

— Z pewnością.

D'Averc zakasłał i uniósł dłoń.

— Żegnaj zatem, Rycerzu. Dziękujemy za pomoc.

— To ja wam dziękuję — odparł enigmatycznie Rycerz.

Hawkmoon wydał rozkaz wciągnięcia trapu i przygotowania wioseł.

Wkrótce statek minął zatokę i znalazł się na otwartym morzu. Książę stał przy burcie, spoglądając na sylwetki Bewchara oraz Rycerza w Czerni i Złocie, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie z tajemniczym uśmiechem odwrócił głowę w stronę d'Averca.

— Jak myślisz, przyjacielu, dokąd płyniemy?

— Przypuszczam, że do miasta Dnark — odparł niewinnie Francuz.

— Do Europy, d'Avercu. Nie dbam o przeznaczenie, z którym nieustannie muszę się borykać. Chcę znów ujrzeć moją żonę. Przepłyniemy przez ocean, d'Avercu, do Europy. Tam wykorzystamy pierścienie, żeby dostać się do Zamku Brass. Zobaczę wreszcie Yisseldę.



Huillam nie odpowiedział, spojrział tylko w górę na piętrzące się nad ich głowami białe żagle, dzięki którym statek nabierał szybkości.

— Co ty na to, d'Avercu? — zapytał uśmiechnięty Hawkmoon, klepiąc przyjaciela po plecach. Ten wzruszył ramionami.

— Rzekłbym, że z wielką przyjemnością odpocząłbym przez jakiś czas w Zamku Brass.

— A jednak w twoim głosie, przyjacielu, pobrzmiewa wyraźna nutka sarkazmu... — Hawkmoon zmarszczył brwi. — O co chodzi?

D'Averc posłał mu powłóczyście spojrzenie, świetnie pasujące do ironicznego tonu.

— Może po prostu nie jestem tak jak ty przekonany,

Hawkmoonie, iż ten statek zdoła dotrzeć do Europy. Może ja mam więcej respektu dla Magicznej Laski...

— Ty... wierzysz w podobne legendy? Przecież Amarek miał jakoby stanowić ojczyznę ludzi podobnych bogom. Jednak bardzo się różnił od tego obrazu, prawda?

— Mimo wszystko sędzę, że zbyt ulegasz przekonaniu, iż Magiczna Laska nie istnieje. Przypuszczam też, że kieruje tobą przede wszystkim tęsknota za Yisseldą.

— Możliwe.

— Cóż, Hawkmoonie — mruknął, spoglądając w stronę morza.

— Czas pokaże, na ile potężna jest Magiczna Laska.

Księżę popatrzył na niego zdumiony, a po chwili wzruszył ramionami i poszedł wzdłuż pokładu.

D'Averc uśmiechnął się i pokiwał głową, wpatrując się w plecy odchodzącego przyjaciela.

Następnie raz jeszcze obrzucił spojrzeniem białe żagle, zastanawiając się w skrytości ducha, czy kiedykolwiek jeszcze

będzie mu dane ujrzeć Zamek Brass.

KONIEC TOMU III

# Miecz Świtu

*W całym Zamku Brass, podobnie jak w leżącym u jego stóp miasteczku, wyczuwało się napięcie. Ludzie chodzili zamyśleni, uradowani skuteczną ucieczką przed terrorem Mrocznego Imperium, niepewni jednak, czy zdołają na dłużej zapuścić korzenie w tej kralnie, tak ludzaco podobnej do porzuconego Kamargu. Na początku, kiedy się tu znaleźli, otoczenie wydawało się im zniekształconym odbiciem Kamargu i mieniło się wszystkimi kolorami tęczy, te jednakże z upływem czasu stopniowo, jakby pod wpływem wspomnień ludzi, zmieniały się w naturalne barwy, tak że obecnie trudno było dostrzec jakąkolwiek różnicę w krajobrazie. Żyły tu stada rogatych koni, oswajające się łatwo białe bydło oraz szkarłatne flamingi, które można było wytresować jako skrzydlate wierzchowce, mimo to z umysłów mieszkańców nie zniknęło poczucie zagrożenia ze strony Mrocznego Imperium, szukającego sposobu, by dosięgnąć ich nawet w tym wymiarze.*

*Dla Hawkmoona i hrabiego Brass — a chyba także i dla d'Averca, Bowgentle'a i Oladahna — świadomość ta nie wiązała się z tak silnym poczuciem zagrożenia. Chwilami powitałby z radością jakąś realną napaść ze świata, z którego uciekli.*

*Podczas gdy hrabia Brass podziwiał krajobrazy, szukając sposobu przeniknięcia ich tajemnic, Dorlan Hawkmoon wyruszał galopem ścieżkami wzdłuż brzegów lagun w poszukiwaniu wroga, płasząc stada bydła i koni oraz podnosząc w powietrze ciężkie flamingi.*